

Alicja Nr 3

Zygmunt Zeydler-
Zborowski



Ali-Baba

Zeydler Zborowski Zygmunt

Alicja nr3

ROZDZIAŁ I

Moja pierwsza żona, Joanna, mieszka w Rzymie. Zrezygnowała z poszukiwania towarzysza życia wśród rodaków i postanowiła poślubić Włocha.

Alfredo, uroczy starszy pan, emerytowany admirał, nie jest typowym przedstawicielem swego narodu. Cichy, spokojny, raczej flegmatyczny, nigdy nie podnosi głosu, nie krzyczy, nie gestykułuje i nie jest skłonny do sprzeczki. Łagodność, ogromna cierpliwość i wyrozumiałość - to podstawowe cechy jego charakteru, pozwalające mu na harmonijne współżycie z Joanną. Nie chcę przez to powiedzieć, że Joanna ma przykre usposobienie. Uchowaj Boże. To kobieta pełna wdzięku, sympatyczna, inteligentna, ale... No cóż... Będę zupełnie szczery. Jest nieco despotyczna i zawsze lubi postawić na swoim. Dlatego mężczyzna, który się z nią zwiąże, musi być obdarzony przez naturę ową ogromną cierpliwością i wyrozumiałością. To jest warunek sine qua non szczęśliwego małżeństwa.

Z Joanną rozstałem się w najlepszej zgodzie. Żadnych pretensji, żalów. Po prostu pewnego dnia oboje doszliśmy do wniosku, że wystarczająco długo byliśmy razem, i wzięliśmy rozwód, pozostając nadal dobrymi przyjaciółmi.

Kiedyś, dawno, bardzo dawno temu spędziliśmy całe trzy lata pod słonecznym niebem Italii. Potem często moje myśli krążyły wokół tego pełnego uroku kraju. Bardzo chciałem tam jeszcze wrócić, choćby na krótko, odwiedzić Marka Aureliusza, Forum Romanum, Colosseum, przejść się po via del Corso, zajrzeć na Płac Hiszpański, wrzucić parę lirów do Fontanny di Trevi.

Joanna wiedziała o tych moich tęsknotach i postanowiła ściągnąć mnie na parę tygodni do Rzymu. Posługując się łagodną, a jednocześnie niezwykle sugestywną perswazją, doprowadziła do tego, że poczciwy Alfredo doszedł do

przekonania, iż po prostu marzy o tymi abym ich odwiedził i zainstalował się w ich skromnym mieszkanku na Parioli. Napisał do mnie bardzo serdeczny list, do którego Joanna dołączyła zaproszenie, poświadczone przez polską ambasadę.

W ten sposób moja podróż do Italii zaczęła nabierać konkretnych kształtów. Należało wystarać się o paszport, zdobyć wizę, kupić bilet i... przekonać Bożenę. Ta ostatnia sprawa była chyba najbardziej skomplikowana.

Musiałem stracić sporo energii, zanim udało mi się wmówić w żonę, że moja wyprawa do Rzymu jest nieodzowna. Próbowałem używać różnych argumentów, które jednak nie bardzo do niej trafiały. Ustąpiła dopiero wtedy, gdy roztoczyłem przed nią wspaniałą wizję moich książek przetłumaczonych na język włoski i, oczywiście, milion lirów na koncie. „Jedź - powiedziała. - Nawiaż kontakty z wydawcami. Może któryś z nich kupi od ciebie prawo wyłączności na całe Włochy?”

- Może - mruknąłem bez przekonania. Przesadny optymizm Bożeny zawsze mnie trochę peszy.

Bez żadnych trudności otrzymałem paszport, nie miałem również kłopotu z wizą włoską. Dali mi wielokrotną. Nie protestowałem. Niech będzie wielokrotna. Wszystko mi jedno.

Teraz należało powziąć męską decyzję. Samolot czy pociąg? Z Warszawy do Rzymu nie można dostać miejsca sypialnego za złotówki. Trzeba płacić dolarami. W obie strony około pięćdziesięciu dolarów. Szkoda dewiz na spanie. A jeszcze do tego wszystkiego przesiadka w Wiedniu. Nie czułem się na siłach, aby dwie noce spędzić w pociągu na siedząco. Zdecydowałem się na samolot. Można zapłacić złotówkami, leci się parę godzin, kosztuje mniej niż pociąg, ale...

Nie lubię podróżować samolotem. Zapewne z powodu nadmiernie rozwiniętej wyobraźni. Bo co to właściwie jest samolot? Samolot, czyli aeroplan, jest to olbrzymi zbiornik benzyny umieszczony w pobliżu iskrzącego silnika, a nawet paru silników, i poruszający się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów z szybkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Jeżeli więc człowiek to wszystko sobie wyobrazi...

Co tu ukrywać, byłem w strachu. Jest to uczucie niezwykle przykre i upokarzające. Lepiej się od razu do tego szczerze przyznać. To niewątpliwie sprawia pewną ulgę. Niewielką, ale jednak...

Bożena jest osobą spostrzegawczą i podczas śniadania na pewno nie omieszkałaby drwić okrutnie z mej rozterki duchowej, gdyby nie była zajęta swoimi sprawami. Tego ranka wybierała się do klubu na konną jazdę i jej myśli uparcie krążyły wokół problemu, czy zdoła utrzymać się w siodle, czy też nie. Dlatego spożywała w milczeniu płatki owsiane na mleku, nie zwracając uwagi na mój niepokój.

Wreszcie nadeszła decydująca chwila. Obrzuciłem melancholijnym spojrzeniem nasze przytulne mieszkanko i westchnąwszy niezbyt lekko, zacząłem wynosić do windy mój bagaż: potężną walizę, maszynę do pisania oraz imponujących rozmiarów kosz. W koszu tym wiozłem dla Joanny i Alfreda artykuły spożywcze - chleb razowy, suchą kielbasę, czekoladki, śledzie w oliwie, śledzie w occie, makowce i babki od Gajewskiego oraz jeszcze kilka drobiazgów. Zbliżały się urodziny Alfreda i nie wypadało, mi pojawić się u nich z pustymi rękami.

Taksówkarz krytycznym spojrzeniem obrzucił mój bagaż i skrzywił się z widoczną dezaprobatą. „Jadę na Grochów” - mruknął niechętnie, dowiedziawszy się, że pragnę dostać się na lotnisko. Dopiero obietnica premii za bagaż skłoniła go do załadowania walizy i kosza z wiktuałami.

Ruszyliśmy. Drogę na Okęcie odbyliśmy w nieomal zupełnym milczeniu. Bożena, która tą samą taksówką miała pojechać do klubu jeździeckiego, pogrążona była w głębokiej zadumie, nie mogąc się pozbyć obsesyjnej myśli o siwym wałachu, ja również nie zdradzałem ochoty do rozmowy, mając ciągle przed oczami ów nieszczęsny zbiornik z benzyną, czyli samolot odrzutowy.

Na lotnisku nie było czasu, żeby się rozczulać. Ja zabrałem się do załatwiania formalności podróży - odprawa celna, kontrola paszportowa - Bożena zaś obdarzyła mnie przelotnym pocałunkiem i wróciła do taksówki. Nie odniosłem wrażenia,

aby zegnała się ze mną na zawsze. Powiedziała: „Ja na koniu, a ty w samolocie. Pa”.

Trzeba przyznać, że Polskie Linie Lotnicze karmią swych pasażerów bardzo dobrze, a nawet luksusowo. Nie zdążyłem się solidnie przestraszyć, kiedy schludna, zgrabna dziewczyna w eleganckim uniformie podała mi z czarującym uśmiechem tacę zastawioną obfitym śniadaniem. Artykuły spożywcze nigdy nie były mi obojętne, toteż zapominając o owym gigantycznym zbiorniku z benzyną, zająłem się z dużym zapałem soczystą szynką, znakomitą polędwicą oraz wybornym schabem pieczonym. Potem były owoce, sery, ciasto, herbata.

Zajęty spożywaniem tych doskonałości, puściłem mimo uszu złowieszczy komunikat podany przez megafon, że lecimy na wysokości dziesięciu tysięcy metrów z szybkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Nie chciałem się już nad tym zastanawiać, nie chciałem psuć sobie śniadaniowego nastroju. Zresztą w tym momencie wszelkie refleksje były właściwie cokolwiek spóźnione. Nie pozostawało mi nic innego, jak wierzyć w mą szczęśliwą gwiazdę i oddać się pod opiekę Mikołaja Kopernika. Samolot, którym leciałem, został nazwany właśnie imieniem wielkiego astronoma.

Spożyte śniadanie wprawiło mnie w dobry nastrój. Uczucie lęku i zdenerwowanie ustąpiły nieomal całkowicie, zacząłem natomiast z żywym zainteresowaniem przyglądać się stewardesom. Wszystkie były młode, zgrabne i przystojne. Tylko ich zawodowe uśmiechy, chłodne i bezosobowe, działały jak sprawnie funkcjonująca lodówka „Polar”. Nie mogę wymagać, żeby te młodziutki dziewczęta zakochały się od pierwszego wejrzenia w starszym panu o siwej, mocno już przerzedzonej czuprynie i zaczerwienionych oczach - pomyślałem melancholijnie.

Po pewnym czasie poczułem się tak dziarsko, że zdecydowałem się nawet wyjrzeć przez okienko i popatrzeć na chmury. Była to iście bohaterska decyzja.

Powoli, ostrożnie zacząłem odwracać głowę w prawą stronę (siedziałem przy przejściu). Zanim jednak ujrzałem wypełniony białymi obłokami krajobraz, uwagę moją przykuło coś zupełnie

innego, a mianowicie kolano. Nieczuły na subtelne niuanse piękna czytelnik może pomyśleć: „No cóż... kolano jak kolano. Każdy normalnie zbudowany człowiek ma dwa kolana. Nic nadzwyczajnego”. O nie! To nie było takie sobie zwyczajne kolano, jakich setki widzujemy na ulicy, w parku, w kinie, w teatrze. To był poemat nie kolano, krągłe, niebanalnie zarysowane, perwersyjne, powodujące jeszcze większy zawrót głowy aniżeli „Mikołaj Kopernik” (oczywiście mam na myśli samolot).

Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać oczu od tego wspaniałego kolana, godnego każdej z bogiń Olimpu. Bałem się spojrzeć wyżej, żeby czar nie prysł. Albowiem często się zdarza, że do kolan wszystko w porządku, a im wyżej, tym gorzej. Tym razem jednak nie doznałem rozczarowania. I wyższe kondygnacje były w pierwszorzędnym gatunku, kategoria „S”.

„Co za kretyn ze mnie, że od razu nie spostrzegłem, koło kogo siadam” - pomyślałem, dokonując błyskawicznej samokrytyki - „Taka śliczna dziewczyna siedzi tuż obok mnie, leci razem ze mną, wśród chmur, a ja zajmuję się wyłącznie schabem i polędwicą. Zgroza I” Trzeba było natychmiast odrobić stracony czas. Mogłem przecież nawiązać uroczą znajomość Ale w jaki sposób? Od czego zacząć?

Musiałem działać błyskawicznie, bo samolot posuwał się z szybkością dziewięciuset kilometrów na godzinę i czasu było niewiele.

- Czy pani leci do Rzymu? - spytałem głupio. Wiedziałem przecież, że nasz odrzutowiec nie ląduje ani w Koluszkach, ani w Lubartowie.

Mogła ze mnie zadrwić okrutnie, ale nie uczyniła tego. Skinęła tylko głową w milczeniu. Rozczuliła mnie jej szlachetna wspaniałomyślność.

- Wyśmienity był ten schab - powiedziałem po chwili.

- Mnie bardziej smakowała polędwica - skonstatowała obojętnie.

- Polędwica także była doskonała - wykrzyknąłem z zapalem, nie chcąc jej zrazić do siebie.

Konwersacja na temat wędlin zaczęła się pomyślnie rozwijać. Trudno było jednak w nieskończoność podtrzymywać masarskie tematy. Należało czym prędzej zweekslować naszą rozmowę na inne tory. Zdobyłem się na wewnętrzną nonszalancję i z pozorną beztroską spojrzełem przez okienko samolotu. Poszarpane kształty białych chmur rysowały się wyraziście na tle błękitnego nieba.

- Baśniowo - głos mój zabrzmiał bardziej nastrojowo, niż sobie tego życzyłem.

- Co baśniowo? - spytała.

- Tam... pod nami... te chmury... - sapnąłem. Uśmiechnęła się.

- Jest pan w poetyckim nastroju.

- A pani?

- Ja staram się nie poddawać żadnym nastrojom.

- Czy to nie smutne?

- Może smutne, ale znacznie bezpieczniejsze. Wyczułem, że za tym stwierdzeniem kryje się jakieś gorzkie doświadczenie życiowe. Nie chciałem naszej rozmowy zabarwiać melancholijnymi akcentami, zmieniłem więc temat.

- Czy pani jedzie na prywatne zaproszenie czy służbowo? - spytałem.

- Na prywatne zaproszenie. A pan? Wyjaśniłem, że po zakończeniu wojny spędziłem w słonecznej Italii trzy lata, a obecnie otrzymałem zaproszenie od mojej byłej żony.

- O, to pan zapewne dobrze mówi po włosku?

- Kiedyś mówiłem bardzo dobrze - pochwaliłem się. - Teraz zapewne wyszedłem z wprawy, ale chyba dam sobie radę.

- Zazdroszczę panu. Próbowałam uczyć się włoskiego. Jakoś mi to nie idzie. Te tryby, te czasy, te czasowniki nieregularne. Nie mam pewnie zdolności do języków.

- Założę się, że nauczyłbym panią włoskiego w przeciągu trzech miesięcy - powiedziałem odważnie.

Spojrzała na mnie niedowierzająco. Jej oczy były niezwykle piękne. Ogromne, brązowe, z fascynującym, aksamitnym połyskiem.

- W przeciągu trzech miesięcy? Niemożliwe.

- Ależ zupełnie możliwe - zapalałem się coraz bardziej do tego projektu. - Możemy zacząć choćby od jutra.

Roześmiała się.

- Jest pan w gorącej wodzie kąpany. Czy wobec wszystkich napotkanych przypadkowo ludzi zdradza pan taki zapal pedagogiczny?

- Nie, nie wobec wszystkich - przyznałem szczerze i w tej chwili, nie wiadomo dlaczego, przypomniała mi się Bożena... „Ona tam, biedaczka, galopuje na siwym wałachu, a ja podrywam w chmurach jakąś dziewczynę” - pomyślałem zawstydzony. - „Ale przecież nie ma w tym nic złego” - próbowałem się tłumaczyć przed samym sobą. - „Zwykła, banalna rozmowa z przygodną towarzyszką podróży”.

- Nad czym się pan tak zadumał? - spytała. - Czyżby nad włoską gramatyką?

- Nie, nie, nie nad gramatyką. Ot, tak sobie. Pomyślałem, że dam pani mój rzymski telefon. Może pani do mnie któregoś dnia zadzwoni...

Potrząsnęła głową.

- Wątpię. Będę bardzo zajęta. Ale niech mi pan da telefon. Kto wie...?

- Gdzie mógłbym zapisać?

Wyjęła z torebki duży kwadratowy notes. Pomyślałem, że to zapewne nie krajowa produkcja. Wyglądał na towar importowany, a w najlepszym wypadku na jakiś odrzut z eksportu.

Zapisałem numer telefonu i kwadratowy notes wrócił do czarnej torebki. Wtedy pomyślałem, że czas najwyższy, aby się przedstawić.

Dokonałem oficjalnej prezentacji, na siedząco jednak, ponieważ właśnie w tym momencie samolot zaczął się jakoś dziwnie kolebać. Przy okazji dowiedziałem się, że moja urocza towarzyszką podróży nazywa się Sarnowska i nosi wdzięczne imię Alicja. Alicja Sarnowska...

Uczucie lęku zniknęło zupełnie, najwidoczniej za sprawą czarodziejskiej Alicji. Imponując sam sobie, siniało patrzyłem na kłębiące się pod nami chmury. Ogromny zbiornik z

benzyną, zawieszony w przestrzeni, w kosmosie, szybkość dziewięćset kilometrów na godzinę... Ogarnęła mnie jakaś przedziwna ekstaza. Pomyślałem, że zapewne takich doznań doświadczają ludzie znajdujący się w stanie nieważkości. Nirwana, niebyt, kosmos i Alicja z krainy czarów.

- Pasażerowie proszeni są o zapięcie pasów i zgaszenie papierosów. Za chwilę lądujemy w Rzymie na lotnisku Fiumicino. - Suchy, urzędowy głos wyrwał mnie z tego niezwykłego błogostanu, w którym byłem pogrążony.

Odrzutowiec sprowadzał nas z obłoków na ziemię. Zapiąłem posłusznie pas, ale papierosa nie zgasilem, ponieważ jestem od urodzenia człowiekiem niepalącym.

Samolot rażno schodził do lądowania. Za chwilę poczułem leciutki wstrząs. To „Mikołaj Kopernik” dotknął ziemi.

Tak się dzieje, że u kresu podróży nasi towarzysze z pociągu, ze statku czy samolotu przestają być dla nas ważni. Natychmiast zamieniają się w szary, bezimienny tłum, który nas nic nie obchodzi. I tym razem stało się podobnie. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale nagle moje niedawne zainteresowanie Alicją przygasło i zaczęło gwałtownie zanikać. Skinęła mi głową na pożegnanie. Ukłoniłem się uprzejmie, ale jakby z pewną rezerwą. Myślam, byłem już gdzie indziej.

Formalności paszportowe trwały jeden moment. Następnie ustawiłem się przy szerokim czarnym pasie, na którym wyjeżdżały bagaże. Czekałem dość długo, zanim pojawiła się moja olbrzymia waliza oraz kosz z wiktuałami. Celnik miał ochotę pogrzebać w nim, co napełniło mnie przerażeniem. Nie wyobrażałem sobie bowiem, abym potem mógł to wszystko własnoręcznie zapakować. Opowiedziałem więc obrazowo, co zawiera mój bagaż i że artykuły żywnościowe przywiozłem na uroczystość rodzinną, ponieważ mąż mojej byłej żony obchodzi urodziny. Przedstawiciel dogany przyjrzał mi się uważnie, pokiwał głową i zrezygnował z kontroli.

Joanna i Alfredo oczekiwali mnie z niecierpliwością. Powitanie było bardzo serdeczne. Nawet się trochę wzruszyłem. Oboje świetnie wyglądali, zdrowo i dziarsko. Zaczęli mnie wypytywać, jak zniósłem lot i jak się czuję po

podróży. Byłem nieco oszołomiony, odpowiadałem więc krótkimi, chaotycznymi zdaniami.

Tymczasem tragarz cierpliwie popychał przed sobą mały wózek, na którym były umieszczone mój kosz i waliza, i rozglądał się za efektownym samochodem, którym niewątpliwie powinna przyjechać po mnie ta elegancka para.

Samochód był, ale nie taki znów efektowny. Stary, rozklekotany, pamiętający dawne czasy fiacik 500 Z największym wysiłkiem udało mi się wepchnąć mój bagaż na jego tylne siedzenie, a następnie samemu wcisnąć się i usadowić obok walizy. Maszynę musiałem postawić na kolanach. Joanna zajęła, jak zwykle, miejsce dla kierowcy. Alfredo usiadł obok niej.

Nigdy nie miałem zbytniego zaufania do kobiet za kierownicą. Muszę jednak przyznać, że Joanna prowadzi po mistrzowsku. Pewnie, ostrożnie, bez cienia zbędnej brawury. Inna sprawa, że ten zabytkowy pojazd nie nadaje się do żadnej brawury i zmusza do bardzo uważnej i rozsądnej jazdy. W każdym razie Joanna zaimponowała mi. Nie podejrzewałem jej o takie motoryzacyjne talenty. A prowadzenie wozu w Rzymie nie jest rzeczą prostą, o nie.

Początkowo próbowałem zabawiać ich rozmową, wkrótce jednak zrezygnowałem z tego, spostrzegłszy skupioną i pełną napięcia twarz Joanny. Tak więc w pogodnym milczeniu zajechaliśmy na miejsce.

- Oto nasza wspaniała rezydencja - powiedziała z uśmiechem Joanna.

Pochwaliłem dom i przytulny ogródek, a następnie zająłem się wydobywaniem z fiata kosza i walizy, by na koniec żwawo, choć z dyskretnym sapaniem wnieść cały bagaż do mieszkania.

Mieszkańko mają niewielkie, ale przytulne i wygodnie urządzone. Trzy pokoje, reprezentacyjna kuchnia, w której się jada, dwa przedpokoje, łazienka. Nie jest to żaden luksus, ale na dwie osoby zupełnie wystarcza. Ja byłem trzecią osobą.

W swoich listach Joanna donosiła mi, iż wynajmie dla mnie pokój u sąsiadki, która mieszka piętro niżej. W ostatniej jednak chwili plan ten musiał ulec zmianie. Okazało się bowiem, że

sąsiadka po dłuższym namyśle nie zdecydowała się wpuścić obcego mężczyzny do swego mieszkania. Miało to jakoby zagrażać jej dobrej reputacji, o którą Włosi bardzo dbają. Warto tu dodać na marginesie, że sąsiadka ma sześćdziesiąt cztery lata i waży sto dziesięć kilogramów netto. Szczerze mówiąc, nie powinna lękać się, iż ktokolwiek będzie nastawał na jej cześć. Zażywna jejmość postawiła jednak sprawę na ostrzu noża i zdecydowanie odmówiła przyjęcia mnie na kwaterę. Wobec takiego stanu rzeczy szlachetna Joanna odstąpiła mi swój pokój, natomiast sama postanowiła nocować u cnotliwej sąsiadki. Było to dla mnie dosyć krępujące, ale nic nie mogłem poradzić.

Mój pobyt w Rzymie rozpocząłem oczywiście od spaghetti i doskonałego, niefałszowanego wina, które Alfredo otrzymuje regularnie ze wsi od jednego ze swych licznych zięciów.

W czasie obiadu gawędziliśmy wesoło i swobodnie, przeskakując z tematu na temat, śmiejąc się, żartując. Alfredo jest raczej małomówny i chętnie cały ciężar konwersacji przerzuca na swych bliźnich. Tym razem jednak, najwidoczniej podekscytowany moim przybyciem, był nadspodziewanie rozmowny i ożywiony. Opowiedział nawet kilka dowcipów politycznych, krążących aktualnie po Rzymie. Przyjąłem je z radosnym porykiwaniem. Powiadają, że mój śmiech brzmi zazwyczaj zbyt donośnie.

Rozmawialiśmy po włosku. Przy tej okazji skonstatowałem z prawdziwym zadowoleniem, że nie zapomniałem pięknego języka Dantego i Boccaccia i że z każdą niemal minutą mówię coraz płynniej. Sprawilo mi to dużą satysfakcję.

Po skończonej biesiadzie Joanna zaproponowała maleńką drzemkę. Obaj przyjęliśmy tę propozycję z entuzjazmem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, iż maleńka drzemka oznacza tu solidne, przynajmniej dwugodzinne spanie.

Leżąc na wygodnym tapczanie, patrzyłem w okno i myślałem, że oto otwiera się przede mną nowy rozdział życia. Czuję się szczęśliwy, że znowu jestem w tym mieście, pełnym jakiegoś nieuchwytnego nastroju, który Włosi określają krótko: aria di Roma.

To był dla mnie straszliwy szok. Miałem ochotę natychmiast jechać na lotnisko i wracać do Warszawy.

Nazajutrz po śniadaniu wyszedłem z domu, żeby tak jak kiedyś, przed laty, połączyć po Rzymie. I wtedy stało się coś, co mną wstrząsnęło do głębi, przeraziło, a następnie napełniło rozpaczą. Rzym, przepiękne miasto, wspaniałe pomniki kultury antycznej, ginie pod naporem inwazji zmotoryzowanej hołoty. Morze samochodów. To nie żadna przesada ani licentia poetica, naprawdę morze samochodów. Już nie można pochodzić sobie po Rzymie. Za kierownicami siedzą młodzi ludzie, brutalni, bezwzględni, często z rasy długowłosych, dla których pieszy przechodzień jest nędznym stworem, robakiem nie zasługującym na żadne względy. Nie przestrzegają przepisów ruchu, nie liczą się z nikim i z niczym. Przejście na drugą stronę ulicy jest prawdziwym problemem. Ludzie siedzący za kierownicami nie zawsze respektują nawet sygnalizację świetlną. Trzeba szalenie uważać. W razie nieszczęśliwego wypadku nie można liczyć na żadną pomoc. Pogotowie nie przyjedzie szybciej jak za dwie, trzy godziny. Po prostu wcześniej nie zdoła się przecisnąć przez zatłoczone samochodami ulice.

Byłem w Rzymie dwadzieścia parę lat temu. Jakżeż to wszystko wówczas inaczej wyglądało. Pieszy miał wtedy zdecydowane pierwszeństwo. Jeżeli nawet ktoś przechodził ulicę nieprawidłowo, samochód zatrzymywał się, a kierowca uśmiechniętym gestem zapraszał do przejścia. Pamiętam, śmiano się ze mnie, że przywykły do warszawskich kierowców, przebiegam nerwowo ulicę niczym spłoszona kuropatwa. Dzisiaj sytuacja na ulicach Rzymu jest stokroć gorsza aniżeli w Warszawie. Nasi kierowcy nabrali kultury, włoscy zupełnie ją stracili.

Ale nie tylko przejście na drugą stronę ulicy jest w Rzymie problemem. Nie ma również czym oddychać. Gęsta chmura spalin niczym dymna zasłona wdziera się do płuc, dławi, przyprawia o zawrót głowy. Przebywając przez pewien czas w centrum miasta, człowiek zaczyna czuć, że ginie, że za chwilę

straci przytomność, że stanie się coś strasznego. Pojawia się uczucie paniki, chęć ucieczki z tego zatrutego terenu. Czuję ostry ból gardła, brak tchu, łzy napłynęły mi do oczu. Pospiesznie wróciłem na Parioli.

Alfredo spokojnie wysłuchał relacji z mojego spaceru po Rzymie.

- Tak - powiedział kiwając głową - kiedyś samochodami jeździli u nas ludzie dobrze wychowani. Niestety, to już należy do przeszłości.

Na szczęście Joanna wpadła na zbawienny pomysł, aby robić częste wypadki poza Rzym. Jeździliśmy więc do Ostii, zrobiliśmy piękną wycieczkę do Anzio, odwiedziliśmy Lago di Bracciano, Frascati, Trevignano. Piękna jest Italia, w ogóle piękny jest świat. Szkoda, że człowiek tak bezrozumnie go niweczy.

Przez cały czas pogoda była wspaniała. Zupełnie nie czuło się, że to jesień i że nadciąga zima. Wygrzewaliśmy się w słońcu nad morzem, piliśmy wino w skromnych trattoriach, wieczorem chodziliśmy do kina i było nam dobrze.

Joanna zna boczne, nie uczęszczane już teraz szosy, którymi przemykaliśmy się zręcznie, unikając zatłoczonych autostrad. Rozklekotany fiacik pojękiwał, stękał, ale służył nam wiernie i jak na emeryta, sprawował się bardzo dziarsko.

Mijały dni. O „Koperniku” i o przygodnej znajomości w chmurach zapomniałem zupełnie. Aż pewnego dnia...

Było to po drzemce poobiedniej. Joanna zapukała do mojego pokoju, oznajmiając, że ktoś do mnie dzwoni. Zdumiony, wciągnąłem pospiesznie spodnie i pobiegłem do telefonu. W słuchawce posłyszałem miły, kobiecy głos. Mówiła po polsku.

- Czy mnie pan jeszcze pamięta? - zapytała.

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, o kogo chodzi. Zwichrzone, bezładne myśli poczęły nerwowo krążyć wokół moich znajomych, którzy mogli w danej chwili przebywać w Rzymie. Wiedziałem, że na pewno nie wchodzi w grę: mój dozorca, praczka, mleczarka ani kierowniczką sklepu spożywczego przy Hożej.

- Halo! Czy mnie pan jeszcze pamięta? - padło ponownie pytanie.

I wtedy nagłe olśnienie. Ależ tak, naturalnie, to dziewczyna z chmur.

- Oczywiście, że panią pamiętam - odparłem radośnie. - Dzień dobry, pani Alicjo. Jak się pani czuje w Rzymie?

Powiedziała, że czuje się zupełnie nieźle i że chętnie spotkałaby się ze mną. Wyraziłem radość z powodu planowanej wspólnej przechadzki po Rzymie i podziękowałem za telefon. Pozostało tylko ustalić czas i miejsce spotkania.

- Czy, powiedzmy, o piątej po południu odpowiada panu?

- Znakomicie. Jutro o piątej. Gdzie?

- Może pan coś zaproponuje?

- Co pani sądzi o ogrodzie zoologicznym? - strzeliłem na chybił trafił. Wyczułem, że skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie, nie. Nie lubię patrzeć na małpy w klatkach. To działa na mnie deprymująco. Spotkajmy się w Villa Borghese przed wejściem do muzeum.

- Doskonale - zgodziłem się skwapliwie. Ostatecznie nie zależało mi specjalnie na ogrodzie zoologicznym, chociaż nie musieliśmy się zatrzymywać przed małpami. Jest tyle innych zwierząt. - A więc jutro w Villa Borghese przed muzeum.

- Jutro o piątej - powtórzyła. - Do widzenia. Czuję, że pali mnie twarz. Cholerne usposobienie. Byłoby co i zaraz dostaję wypięków.

Poszedłem do kuchni. Joanna siedziała przy stole i kroїła cebulę do sałatki. Miała oczy pełne łez.

- Widzę, że podniecił cię ten telefon - powiedziała z uśmiechem.

- Dzwoniła pewna babka, którą poznałem w samolocie. - Usiłowałem nadać memu głosowi nonszalanckie brzmienie. Kiedy byliśmy sami, rozmawialiśmy oczywiście po polsku.

- Czego chciała?

- Chce się ze mną zobaczyć. Umówiliśmy się na jutro, na piątą.

- Żeby nie było niedomówień, lepiej od razu daj jej do zrozumienia, że nie masz pieniędzy. Niech nie liczy na pożyczkę.

Zaniepokoiłem się.:

- Sądziś, że...?

- Jeżeli chodzi o kontakty z rodakami, to ja mam duże doświadczenie - stwierdziła Joanna i westchnąwszy, wróciła do cebuli. Po chwili spytała: - Czy ta twoja znajoma z samolotu to jakaś starsza pani?

- Nie - odparłem chmurnie. - To nie jest starsza pani.

- Młoda, ładna dziewczyna? - przypierała mnie do muru Joanna.

Uśmiechnąłem się kwaśno.

- Jesteś bardzo domyślna. Młoda, bardzo ładna dziewczyna.

- I zapewne zaproponowałeś tej młodej, bardzo ładnej dziewczynie, że będziesz ją uczył włoskiego?

Podskoczyłem na krześle.

- A ty skąd wiesz?

Joanna spojrzała na mnie wymownie.

- Mój drogi, ostatecznie byłem kiedyś twoją żoną. Na pamięć znam te wszystkie chwytaki.

Roześmiałem się. Może nie tak zupełnie szczerze, ale dosyć głośno. Mój śmiech zwabił do kuchni Alfreda.

- Co wam tak wesoło?

Joanna wskazała na mnie trzymanym w ręce nożem.

- Wyobraź sobie, że ten typ zaczyna podrywać młode i bardzo ładne dziewczęta.

- Włoszki?

- Nie. Umówił się z Polką poznaną w samolocie. Alfredo spojrzał na mnie zgorszony.

- Sigismondo - powiedział z wyrzutem - przyjeżdżasz do Italii i zamiast pocieszać którąś z moich rodaczek, umawiasz się z Polką. Czyż nie podobają ci się Włoszki?

- Ależ wprost przeciwnie! - zawołałem z entuzjazmem. - Bardzo mi się podobają. Zawsze bardzo mi się podobały.

Rzuciłem szybkie spojrzenie w kierunku Joanny. Uświadomiłem sobie bowiem, że przecież przed dwudziestu

lata była ze mną we Włoszech w charakterze mojej żony. Pomyślałem, że ten mój entuzjazm wypadł trochę niezręcznie i że, być może sprawiłem jej przykrość. Ale Joanna z niewzruszonym spokojem krajała cebulę, jakby poza tym nic w tej chwili dla niej nie istniało.

- No więc właśnie - Alfredo w dalszym ciągu podtrzymywał temat. - Zachwycasz się Włoszkami, a nawiązujesz flirt z Polką.

- Flirt z Włoszką jest rzeczą dosyć kosztowną - stwierdziła rzeczowo Joanna.

- To prawda - przytaknął melancholijnie Alfredo. - Po tej wojnie nasze kobiety stały się strasznymi materialistkami.

- Na całym świecie kobiety stały się materialistkami - pocieszyłem go. - I nie tylko kobiety.

Alfredo pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że masz rację. To przygnębiające. Ludziom potrzeba jest trochę romantyzmu. Bez romantyzmu życie staje się płaskie i szare. Gdzież te czasy, kiedy ginęli z miłości kochankowie z Verony?

- Idźcie do ogródka i urwście mi kilka pomidorów - powiedziała Joanna.

Posłusznie wyszliśmy.

* * *

Nazajutrz po śniadaniu Joanna zawiozła nas do Ostii. Siedzieliśmy w kawiarni nad brzegiem morza, wygrzewając się w promieniach październikowego słońca, które przypiekało niczym w lipcu. Alfredo ułokował się trochę dalej, w cieniu. Przed laty, w Abisynii, dostał porażenia słonecznego i od tego czasu nie lubi się opalać.

Rozmowa płynęła dosyć leniwie. Ani ja, ani Joanna nie wykazywaliśmy zbytnej elokwencji. Patrzyliśmy na morze srebrzące się szerokim pasem na horyzoncie, obserwowaliśmy mewy dotykające skrzydłami wody, popijaliśmy bez pośpiechu lemoniadę i nie chciało nam się mówić. Żeby jednak nie utonąć w kompletnym milczeniu, od czasu do czasu któreś rzuciło jakieś słowo czy nic nie znaczące zdanie.

W pewnym momencie Joanna nawiązała do mojego popołudniowego spotkania.

- Nie gniewaj się, że o tym mówię, ale radzę ci, bądź ostrożny z tą dziewczyną.

- Z jaką dziewczyną? - spytałem, udając, że nie rozumiem, o co chodzi.

- No z tą z samolotu. Bo jeżeli nie chodzi o pożyczkę, to w jakim celu właściwie chce się z tobą spotkać?

- Właśnie. W jakim celu? - powtórzyłem pytanie.

- Nie chcę ci robić przykrości - ciągnęła dalej Joanna - ale nie wyobrażam sobie, żebyś mógł zrobić na niej oszałamiające wrażenie jako mężczyzna. Wybacz moją szczerość.

- Ależ najzupełniej przyznaję ci rację - zapewniłem ją ze smętnym uśmiechem. - Ja także nie wyobrażam sobie, żeby to była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Najprawdopodobniej chodzi o pieniądze. Trzy maj się.

- Nie pożyczę jej ani stu lirów - powiedziałem z przekonaniem.

- Nie zarzekaj się. Już ja cię znam - uśmiechnęła się. - Najlepiej nie bierz ze sobą pieniędzy. Tylko tyle co na autobus i ewentualnie na jakąś kawę. Dobrze ci radzę.

Obiecałem, że nie wezmę ze sobą pieniędzy. Zresztą moje rzymskie fundusze były tak skromne, że nawet gdybym chciał, niemógłbym poratować Alicji w jakiś wydatny sposób.

Słowa Joanny dały mi jednak do myślenia. Zadumałem się. Bo rzeczywiście, czego mogła chcieć ode mnie ta śliczna dziewczyna? Dałem jej numer telefonu, ot tak sobie, w przystępie chwilowego nastroju. Znajomość w chmurach, szybkość dziewięciuset kilometrów na godzinę, wysokość dziesięciu tysięcy metrów, Alicja w krainie czarów. To wszystko było trochę nierealne. Nie sądziłem, że zadzwoni. A jednak... Dlaczego? Co się za tym kryło? Nie mogłem nie przyznać racji Joannie, że mój osobisty wdzięk nie wchodzi w rachubę. Już nie te lata.

Może przy bliższym poznaniu... Ale żeby tak od pierwszej chwili... Nieprawdopodobne. Przypuszczenia Joanny, że Alicja chce mnie prosić o pożyczkę, także wydały mi się mało przekonujące. Po pierwsze, nie wyglądała na nababę, a po wtóre, Alicja mimo całej swej urody zrobiła na mnie wrażenie

rozsądnej dziewczyny, a każdy mniej więcej rozsądny człowiek wie, że Polak udający się za granicę na prywatne zaproszenie nie posiada portfela wypchanego studolarówkami.

Po nieudanych wysiłkach odgadnięcia przyczyny telefonu Alicji zrezygnowałem z rozwiązania zagadki i postanowiłem cierpliwie przeczekać te kilka godzin dzielących mnie od spotkania.

Joanna już nie wracała do tego tematu. Opowiadała mi o Italii, o stosunkach tu panujących, o ich życiu na Parioli, o znajomych i przyjaciółach. Przyznaję, że słuchałem z pewnym roztargnieniem. Chciałem, żeby już była piąta. Mimo wszystko drażyła mnie ciekawość, a może pociągało spotkanie ze śliczną dziewczyną? Któż to wie? Na ten temat wołę się szerzej nie wypowiadać, wiedząc, że Bożena niewątpliwie przeczyta ten maszynopis.

Wreszcie Joanna dała znak do odjazdu. Wróciliśmy do Rzymu. Tego dnia skróciłem drzemkę poobiednią, a prawdę mówiąc, wcale nie spałem. Zbyt byłem podekscytowany. Cała ta historia zaczynała mnie drażnić i byłem mocno niezadowolony z siebie. Zachowywałem się jak sztubak idący na pierwszą randkę. Mało brakowało, a poszedłbym na to spotkanie z kwiatami.

Za dziesięć piąta czekałem już w Villa Borghese przed wejściem do muzeum... bez kwiatka.

Przyszła punktualnie. W brązowej tweedowej sukience wydawała mi się jeszcze ładniejsza, jeszcze bardziej atrakcyjna. Była bardzo zgrabna, czego w samolocie nie mogłem należycie ocenić. Ruchy miała miękkie i harmonijne jak baletnica. Torba z krokodyla, buty chyba z autentycznej jaszczurki. Nie, nie, stanowczo nie wyglądała na ubogą rodaczkę poszukującą skromnej pożyczki. Na wszelki wypadek jednak postanowiłem się asekurować. Po wymianie wzajemnych uprzejmości i kilku ogólnikowych zdań na temat pogody i szaleńczego wzrostu motoryzacji we Włoszech zacząłem narzekać na brak funduszków, które pozwoliłyby mi w pełni korzystać z pobytu w tym pięknym kraju.

- Nie mam zamiaru prosić pana o finansowe wsparcie - powiedziała z uśmiechem Alicja. - Niech się pan nie obawia.

Zaczerwieniłem się. Wściekły na siebie i na Joannę, bąknąłem:

- Ależ... Co też pani...? Wcale o tym nie myślałem.

Spojrzała na mnie. Dostrzegłem drwiące iskierki w jej ciemnych oczach.

- Wydało mi się, że właśnie o tym pan myślał. Jeżeli się pomyliłam, przepraszam.

Szybko zmieniłem temat rozmowy. Zacząłem ją wypytywać, jak jej się podoba Rzym, jak spędza czas i czy długo jeszcze zostaje w Italii.

- Nie wiem. Może dwa, może trzy tygodnie. To będzie zależało...

Dyskretnie nie wypytywałem się, od czego to będzie zależało. Spostrzegłem, że mimo całej swobody, z jaką prowadziła ze mną rozmowę, była wewnętrznie jakaś dziwnie napięta. Właściwie zupełnie nie znałem tej dziewczyny i nie mogłem analizować jej stanów psychicznych. Posługiwałem się wyłącznie intuicją, która mówiła mi, że moja piękna towarzyszka podróży jest czymś ogromnie zaabsorbowana i żenię chodzi tutaj ani o muzea, ani o żadne inne zabytki Wiecznego Miasta. W czym więc sedno? Na to pytanie nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Postanowiłem cierpliwie poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Pogodny dzień poczynał szarzeć. Z oddali dochodził szum samochodów, a i tutaj, w parku, co chwila przemykał jakiś miłośnik motoryzacji.

Alicja wzięła ranie pod rękę.

- Czy pan wie, dlaczego chciałam się z panem zobaczyć? - spytała.

- To miło, że pani do mnie zadzwoniła - powiedziałem wymijająco. - Zrobiła mi tym pani naprawdę dużą przyjemność.

Nie zwróciła uwagi na moje konwencjonalne słowa.

- Chciałam się z panem spotkać, ponieważ jest pan człowiekiem budzącym zaufanie - wyjaśniła.

Uśmiechnąłem się kwaskowato.

- Bardzo pani uprzejma, ale przyznaję, że niezupełnie rozumiem.

- Ja także nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego mam do pana takie ogromne zaufanie. - Mocniej oparła się na moim ramieniu. - Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Od chwili, kiedy pan usiadł obok mnie, wiedziałam, że jest pan człowiekiem, któremu można zaufać.

Pomyślałem, z pewnością dozą melancholii, że podrywa mnie na zaufanie. W dalszym ciągu nie rozumiałem jednak, do czego to wszystko zmierza.

- Jest pan zapewne zaskoczony tym, co mówię.

- No cóż... Bo ja wiem... Bywają oczywiście takie intuicyjne odczucia. W każdym razie udało mi się słyszeć, że zrobiłem na pani raczej pozytywne wrażenie.

- O tak! Bardzo! - stwierdziła z zapalem. - A poza tym...

- Co poza tym? - podchwyciłem z zaciekawieniem.

- Poza tym czytałam pańskie książki.

- Ach, tak...

- Chyba prawie wszystkie. Musi pan mieć dużo wiadomości z zakresu kryminalistyki, kryminologii, psychologii.

- To mój zawód.

- I właśnie... doszłam do wniosku, że jest pan jedynym człowiekiem, który może mi pomóc, poradzić...

Pomyślałem niespokojnie, że chce mnie zrobić w jakąś aferę.

- W jaki sposób mógłbym pani dopomóc?

Nie odpowiedziała na moje pytanie. Czekałem, czując, że nie wie, jak sformułować to, w co chce mnie wtajemniczyć. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- To wszystko na nic. - W głosie jej zabrzmiał szczery smutek. - Niepotrzebnie zawracam panu głowę. Przepraszam, ale...

- Niechże pani powie, o co chodzi. Potrząsnęła głową.

- Właśnie na tym polega całe nieszczęście, że nie mogę panu powiedzieć, o co chodzi. Dopiero przed chwilą to sobie uświadomiłam, że przecież... Jestem straszna idiotka, prawda?

Nie zaprzeczyłem. Umysł mój intensywnie pracował nad tym, żeby odgadnąć grę tej dziewczyny. Po co to wszystko? W jakim celu umówiła się ze mną, o co jej chodzi?.

- No, rzeczywiście - powiedziałem wolno - trudno mi pani pomóc, jeżeli się nie dowiem, o co chodzi. Musi pani przyznać, że to trochę skomplikowane.

- Przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu. Odwiozę pana do domu. Mam tu niedaleko wóz. Gdzie pan mieszka?

- Chwileczkę. - Głos mój zabrzmiał ostro, zdecydowanie. - Ile pani ma lat?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Dwadzieścia osiem.

- Dwadzieścia osiem - powtórzyłem, żeby wykluczyć ewentualne nieporozumienie. - Nie jest pani już małym dzieckiem i odpowiada pani całkowicie za swoje czyny.

- Nie rozumiem. O co panu chodzi? - Puściła moje ramię i odsunęła się ode mnie.

- Chodzi o to, że tak się nie postępuje. Zadzwoiła pani do mnie, spotkaliśmy się, a teraz urywa pani w pół zdania, bawi się pani w niedomówienia. Co to wszystko znaczy? Chce mnie pani zaintrygować? Ma pani zamiar napisać razem ze mną sensacyjną powieść?

Rozpłakała się.

Przyznaję, że zaskoczyła mnie jej reakcja. Nie wiedziałem, jak się mam zachować, co powiedzieć. Objąłem ją opiekuńczo ramieniem.

- To coś aż tak poważnego? - spytałem. Wyjęła z krokodylowej torby chusteczkę i wytarła nos.

- Boję się - powiedziała cicho. - Bardzo się boję i dlatego... dlatego do pana zatelefonowałam.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani dopomóc - zapewniłem ją. - Musi mi pani jednak powiedzieć, czego się pani obawia, jakie grozi pani niebezpieczeństwo. A może to jakieś przywidzenia?

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- To nie są przywidzenia. Trzeźwo i realnie oceniam sytuację. Być może, że nawet nie doceniam grożącego mi niebezpieczeństwa.

Rozejrzała się wokoło. Mimo woli uczyniłem tai samo. Po chwili pomyślałem jednak, że dziewczyna ma chyba szmergla. Być może, jakaś mania prześladowcza lub coś w tym rodzaju. A jeżeli nie? Jeżeli rzeczywiście coś jej grozi...? Trudno mi było zdecydować się na to, żeby ją tak zostawić. Do końca życia nie darowałbym sobie, gdyby się jej stało coś złego. Postanowiłem dowiedzieć się jednak, czego lub kogo się boi.

- Może pójdziemy do jakiejś kawiarni? - zaproponowałem. - Spokojnie sobie porozmawiamy.

- Dobrze - zgodziła się. - Wolałabym pójść tam, gdzie nie ma dużo ludzi. Znam taką mało odwiedzaną kawiarenkę na Piazza del Popolo. Zbierają się tam przeważnie emeryci.

- Możemy iść na Piazza del Popolo.

Zeszliśmy w dół po schodach. Dopiero teraz zorientowałem się, że znajdujemy się akurat naprzeciwko Galerii Sztuki Współczesnej.

- Teraz możemy przejść na drugą stronę - powiedziała Alicja i pociągnęła mnie za sobą.

Szczyśliwym zbiegiem okoliczności natrafiliśmy na przerwę w rzece samochodów.

Był to bardzo ładny wóz. Najnowszy model mercedesa w kolorze kawy z mlekiem. Uśmiechnąłem się na myśl, że podejrzewałem Alicję o chęć pożyczania ode mnie paru lirów.

Usiadła przy kierownicy. Ja ulokowałem się koło niej.

Nie ulega wątpliwości, że w pewnych godzinach piechur porusza się w Rzymie szybciej aniżeli człowiek jadący nawet najnowszym modelem mercedesa. Wykaraskawszy się z licznych korków, dotarliśmy wreszcie na Piazza del Popolo.

Alicja dobrze zrobiła, wybierając tę właśnie kawiarnię. Rzeczywiście siedziało tam tylko parę osób, i to przeważnie w podeszłym wieku. Mogliśmy się nie obawiać „podśluchu”.

Zamówiłem jakieś soczki i uważnie spojrzałem na dziewczynę. Próbowwała się uśmiechnąć.

- Niech się pan na mnie nie gniewa. Bardzo proszę - rzekła cicho.

- Ależ nie mam najmniejszego zamiaru gniewać się na panią - zapewniłem. - Przyznaję, że moje słowa były może zbyt ostre, za co przepraszam.

Znowu prowadziłem lekką, nieobowiązującą rozmowę, nie nawiązywałem do tamtych tajemniczych niedomówień. Nie chciałem wywierać żadnej presji. Czekałem, aż Alicja z własnej i nieprzymuszonej woli sama podejmie tamten temat.

I doczekałem się. W pewnym momencie przerwała mi w pół zdania:

- Nie ma chyba sensu, żeby pan zmuszał się do mówienia o niczym.

Uśmiechnąłem się.

- Każda rozmowa z panią sprawia mi przyjemność - powiedziałem z galanterią.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Dziękuję. Wiem jednak, że oczekuje pan ode mnie jakichś wyjaśnień. Teraz żałuję, że w ogóle zaczęłam mówić o całej tej historii. Niepotrzebnie do pana telefonowałam i niepotrzebnie zajmuję panu czas. Zachowałam się zupełnie idiotycznie.

Spojrzałam na nią uważnie. W tej chwili wydała mi się najzupełniej normalna. „Chyba jednak nie” ma szmergla” - pomyślałam.

- Sądzę, że pani bardzo dobrze zrobiła telefonując do mnie.

- Usiłowałam nadać swemu głosowi najbardziej przekonujące brzmienie. - Potrzebuje pani pomocy w jakiejś skomplikowanej sprawie i nie ma się pani do kogo zwrócić tutaj, na obcym terenie. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że pomyślała pani o rodaku. Nie widzę w tym ani nic dziwnego, ani niewłaściwego.

- Jest pan naprawdę bardzo dobrym człowiekiem.

- No więc niech pani wyzna temu dobremu człowiekowi, co panią dręczy.

Westchnęła.

- Widzi pan... Cała trudność szczerzej rozmów, z panem polega na tym, że to nie tylko mnie dotyczy. Nie mam prawa wtajemniczać w pewne sprawy osób trzecich.

Pokiwałem głową.

- Rozumiem. No, cóż... Zapewniam panią, że zachowam całkowitą dyskrecję. To wszystko, co mogę zrobić.

- Nie mam prawa - powtórzyła. - Nie mam prawa...

- A dlaczego pani sądzi, że grozi pani jakieś niebezpieczeństwo? Może to są tylko urojenia?

- To nie są urojenia. Dowiedziałam się... - machnęła gwałtownie ręką. - Nie, nie, nie mówmy już o tym. To nie ma sensu. Nie mogę tego panu powiedzieć, w żadnym wypadku nie mogę.

- Jak sobie pani wobec tego wyobrażała moją pomoc?

- Wcale sobie nie wyobrażałam. To był odruch, po prostu nie przemyślany odruch. Chyba wpadłam w panikę i dlatego...

- A może zwróciłyby się pani do tutejszej policji?

- Nie, to niemożliwe. Nie mogę mieszać do tego policji.

- W takim razie radzę pani jak najszybciej wracać do Polski. To chyba jedyne wyjście.

- Myśli pan, że w Polsce będę bezpieczna? Zresztą muszę, niestety, zostać tu jeszcze jakiś czas.

Zadumałem się. Cała ta historia wyglądała mi na jakąś poważną aferę i prawdę mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty mieszać się w to. Żal mi było dziewczyny, ale nie miałem pojęcia, jak jej pomóc. Poza tym ciągle się bałem, żeby mnie nie wrobiła w coś paskudnego. Wiem przecież, że słoneczna Italia jest ostatnio często odwiedzana przez różnych gangsterów prowadzących nieczyste interesy między Wschodem a Zachodem. Wolałem się nie narażać ani znakomicie zorganizowanym gangom, ani Interpolowi. Dawno minęły te czasy, kiedy pociągały mnie najeżone straszliwymi niebezpieczeństwami fantastyczne przygody. Teraz zupełnie mi wystarcza oglądanie takich historii w kinie.

- Widzę z tego, że pani nie przyjechała tutaj wyłącznie w celach turystycznych - powiedziałem, chcąc złagodzić trochę smętną atmosferę.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Niestety, nie. Zazdroszczę panu, że może się pan poświęcić wyłącznie turystyce.

Doszedłem do wniosku, że nie zdołam nakłonić jej do zwierzeń. Miałem jednak ochotę czegoś się dowiedzieć. Zawodowa ciekawość nie pozwoliła mi na całkowicie bierną rezygnację.

- Sądząc po tym mercedesie, którym przyjechaliśmy tutaj, otrzymała pani zaproszenie od zamożnej rodziny czy też przyjaciół. Piękny wóz.

- Tak, moja ciotka jest bardzo bogata - poinformowała mnie lakonicznie.

- Chyba jednak trochę mówi pan po włosku?

- Bardzo słabo, chociaż moja matka była Włoszką.

- Powiedziała pani, że matka pani była Włoszką. Czyżby już nie żyła?

Alicja zawahała się, przynajmniej tak mi się zdawało.

- Moja matka nie żyje...

Miałem wrażenie, że chciała jeszcze coś dodać. Czekałem pełen napięcia. Mimo woli udzielił mi się jej niepokój.

Podniosła na mnie swe ciemne, pełne łez oczy.

- Dlaczego pan mi nie wierzy? - spytała cicho.

- Ja pani nie wierzę? Nie rozumiem.

- Dlaczego pan mi nie wierzy, że moja matka nie żyje?

Byłem coraz bardziej zaskoczony.

- Skąd pani przyszło do głowy, że ja pani nie wierzę?

- Czuję. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale czuję to.

- Dlaczegoż miałbym nie wierzyć, że matka pani nie żyje? Zupełnie nie rozumiem. Spojrzała na zegarek.

- Chodźmy już - powiedziała obojętnie, jakby zapominając o całej naszej rozmowie. - Późno. Gdzie pan mieszka?

- Na Parioli.

- Odwiozę pana.

Kiedy znowu znaleźliśmy się w samochodzie, dotknęła mojej dłoni. Odruch ten odczułem jako szukanie pomocy.

- Czy miałyby pani ochotę jeszcze się ze mną zobaczyć? - spytałem, mimo iż podświadomie czułem, że znacznie lepiej byłoby, gdybym zakończył tę znajomość.

- O tak - odparła zdecydowanie. - Bardzo chciałabym jeszcze się z panem spotkać. Pańska obecność dodaje mi odwagi.

Już nie pytałem, do czego potrzebna jej odwaga. Wiedziałem, że to bezcelowe.

- Może zadzwoni pani któregoś dnia? Będę bardzo rad.

- Tak, zadzwonię.

Odwiozła mnie do domu, pomachała na pożegnanie i odjechała.

Przez chwilę stałem na ulicy, patrząc w ślad za mercedesem w kolorze kawy z mlekiem.

Joanna i Alfredo powitali mnie, jakbym wrócił z wyprawy na Księżyc.

- Co się z tobą działo tyle czasu? Gdzieś ty się podziewał? - wypytywała mnie Joanna. - Zaczynaliśmy się już o ciebie niepokoić.

- Może usiądziemy do kolacji - zaproponował Alfredo. - Po takiej długiej randce należy się posilić.

Jedliśmy soczewicę, szynkę i sałatkę jarzynową, popijając obficie czerwonym winem. Przez cały czas Alfredo żartował z moich sercowych sukcesów, Joanna zaś obserwowała mnie badawczo.

Kolację skończyliśmy około jedenastej. Potem pogadaliśmy trochę i poszliśmy spać.

Nie mogłem zasnąć. Leżałem na wznak, z podłożonymi pod głowę rękami, i myślałem o Alicji. Usiłowałem uporządkować sobie trochę to wszystko. Powoli, z rozważą zająłem się możliwie wierną rekonstrukcją naszego spotkania. Ciągłe jeszcze nie byłem pewien, czy Alicja nie prowadzi wobec mnie jakiejś gry. Ale co by to była za gra i do czego miała zmierzać? W żaden sposób nie mogłem znaleźć odpowiedzi na to pytanie. W pewnym momencie przyszło mi na myśl, że może zbyt wielką wagę przywiązuję do tej historii. Może to po prostu jakaś mitomanka, historyczka? Może wiedząc, że piszę

powieści sensacyjne, chce mnie zaintrygować? Takiej ewentualności nie można było przecież wykluczyć. Ale kiedy przypomniałem sobie jej łzy, widoczne wysiłki, żeby opanować wzruszenie, znowu ogarnęły mnie wątpliwości. Czyżby tak świetnie symulowała? Nie robiła na mnie wrażenia osoby nie zrównoważonej psychicznie czy też grającej komedię. A więc co? Czy naprawdę grozi jej niebezpieczeństwo? Czy te niedomówienia, obawy są wyłącznie urojeniami chorej wyobraźni, czy też mają realne podstawy?

Następnego dnia nie czułem się najlepiej. Byłem niewyspany, a mój system nerwowy został nieco nadszarpnięty. Nie bardzo wiedziałem, czy chcę, żeby zadzwoniła, czy też nie chcę. Zdawałem sobie sprawę z tego, że lepiej byłoby zakończyć tę głupią historię, z drugiej jednak strony byłem zaintrygowany, podświadomie miałem ochotę jeszcze się czegoś dowiedzieć. Moja zawodowa ciekawość nie została przecież zaspokojona. Rozmyślałem już nad tym, że mógłby to być zupełnie niezły pomysł do nowej powieści. Ciągle jednak miałem za mało danych.

Bo właściwie czego się dotychczas dowiedziałem? Że przyjechała na zaproszenie bogatej ciotki, że słabo mówi po włosku, że dręczy ją jakaś tajemnica, że coś zagraża jej życiu. Że wreszcie jej matka chyba nie żyje, choć nie jest to takie zupełnie pewne. Czyżby ta tajemnica związana była z upozorowaną śmiercią jej matki? Musiałem hamować nieco moją fantazję, ponieważ czułem, że wpadam w sidła literackiej rutyny. Jeszcze trochę, a zasiądę do pisania powieści, która nie będzie miała nic wspólnego, a przynajmniej bardzo niewiele, z rzeczywistym stanem rzeczy.

Zadzwoniła. Dwa dni później, z samego rana. Akurat kończyliśmy śniadanie. I znowu odebrała telefon Joanna.

- Chce z tobą rozmawiać twoja znajoma z samolotu - oznajmiła mi dość oficjalnie. Wyczułem, iż nie darzy Alicji zbytnią sympatią, choć nigdy jej nie widziała.

- Czy miałby pan ochotę zobaczyć się ze mną? - usłyszałem w słuchawce pytanie, wypowiedziane dobrze mi znanym, niskim głosem.

Odparłem, że oczywiście bardzo chętnie się z nią zobaczę.

Nie wdając się w dłuższe pogawędki, zaprosiła mnie na kolację, wyjaśniając, że robi to z upoważnienia swojej ciotki, która czytała moje książki przetłumaczone na włoski i bardzo chciałaby poznać osobiście ich autora.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że coraz bardziej dają się wciągać w tajemnicze przeżycia Alicji, ale nie mogłem i, prawdę rzekłszy, nie chciałem odmówić. Liczyłem na to, że poznając środowisko „dziewczyny z chmur”, zdobędę trochę nowych danych. Przyjąłem więc zaproszenie, prosząc, aby jak najuprzejmiej podziękowała cioci w moim imieniu, i spytałem o adres.

- Może pan mieć trudności ze znalezieniem tego domu. Przyjadę po pana. Tak około siódmej. Dobrze?

- Bardzo pani miła. Będę czekał.

- Proszę o siódmej wyjść z domu. Będę punktualnie.

Pomyślałem, że nie chce zawierać nowych znajomości i dlatego woli, abym czekał na nią na ulicy.

Powiedziałem Joannie, że nie będę na kolacji, ponieważ jestem zaproszony na wieczór, i zapewne późno wrócę. Spojrzała na mnie wymownie.

- Widzę, że ta signora energicznie się do ciebie zabiera.

- Ależ ja idę na kolację do jej ciotki - powiedziałem.

Joanna uśmiechnęła się.

- Nie musisz się tłumaczyć. A poza tym nie zapominaj, że byliśmy małżeństwem i że trochę cię znam. Nie, nie, nie obawiaj się. Nie napiszę o twoich flirtach do Bożeny - dodała, widząc zakłopotanie na mojej twarzy.

Joanna jest kobietą stanowczo zbyt domyślną. A może to ja nie potrafię się maskować?

Dzięki Alicji Alfredo miał wolny wieczór. Nie musiał iść ze mną do kina. Skorzystał więc z okazji i pomaszerował do kawiarni, aby spotkać się z przyjaciółmi. Ma takich żelaznych kompanionów, z którymi odbywa wieczorne pogawędki przy czarnej kawie. Kiedyś zwierzył mi się w zaufaniu, że czasami nużą go ci ludzie, ponieważ z góry wie, co który z nich powie. Doradziłem mu, żeby sobie trochę odświeżył towarzystwo,

zamieniając swoich emerytów na gromadkę młodych, ładnych dziewcząt. Pomysł ten ogromnie mu się spodobał.

Tak więc Alfredo pojechał na via Veneto, a ja czekałem cierpliwie przed domem.

Alicja przyjechała piętnaście po siódmej. Przeprosiła za spóźnienie, tłumacząc, że rzymskie korki nie pozwalają na punktualność i że nigdy nie wiadomo, czy przyjedzie się za wcześnie, czy za późno.

Tym razem to nie był mercedes. Wsiedliśmy do fiata 1500 w kolorze dojrzałej wiśni.

Ta różnorodność wehikułów w połączeniu z wytwornym odzieniem - Alicja miała na sobie bardzo elegancki kremowy kostium z mięciutkiej wełny - pogłębiły mój niepokój. Dziwnie nie mam zaufania do ludzi bardzo bogatych. Być może, działa tu jakiś odruch nabyty w ojczystym kraju, ale milionerzy, bez względu na narodowość, napawają mnie zawsze pewnym niepokojem. Nie mogę uwierzyć, żeby ogromne bogactwa można było zdobyć uczciwą pracą.

Alicja ani słowem nie nawiązała do naszej poprzedniej rozmowy. Była milcząca i mogło się wydawać, że całkowicie absorbuje ją prowadzenie wozu.

- Cieszę się, że pan przyjął zaproszenie cici - powiedziała wreszcie.

Zapewniłem, że również jestem ogromnie rad, iż będę miał okazję poznać jej rodzinę, i znowu zamilkliśmy. Celowo nie podtrzymywałem rozmowy, pozostawiając całą inicjatywę w rękach Alicji.

W bok od via Appia Antica biegnie dość szeroka droga. Duży napis oznajmia, iż jest to droga prywatna i że przejazd nią jest zabroniony. Po lewej stronie, w znacznej od siebie odległości, stoją luksusowe domy otoczone drzewami i pieczołowicie pielęgnowanymi krzewami. Prawa strona jest nie zabudowana. Ugory, łąki, zarośla, trochę uprawnych poletek, na których rosną warzywa.

Byłem zdumiony. Nie przypuszczałem, że nieomal w centrum Rzymu znajduje się taka oaza zieleni.

- Nie będą tu budować domów? - spytałem. Alicja potrząsnęła głową.

- Nie. Tu budowa jest zabroniona. Ludzie, którzy tu mieszkają...

Zrozumiałem, mimo że nie dokończyła zdania. Milionerzy w trosce o swe zdrowie zapewnili sobie dopływ świeżego powietrza. Potrwa to zapewne tak długo, aż znajdzie się ktoś, kto za jakieś zawrotne sumy otrzyma pozwolenie na postawienie tu wieżowców.

Alicja skręciła w lewo i nacisnęła hamulec.

Duże drzewa, okryte szatą z jesiennych liści, strzegły dwupiętrowego, posepnego domu, stanowiącego dziwną z punktu widzenia architektonicznego mieszaninę dziewiętnastowiecznego pałacu i czynszowej kamienicy. W oknach płonęło światło.

Na dźwięk klaksonu wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu otworzył solidnie wyglądającą bramę.

Samochód wtoczył się wolno po skrzypiącym pod oponami, żwirze. Żelazne wrota zgrzytnęły za nami, jak mi się wydawało, dziwnie złowieszczo. Pomyślałem, że taki dźwięk wydaje zapewne brama więzienna. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem popadać: w nastrój grozy. Zawdzięczałem to prawdopodobnie mojej wyobraźni.

Alicja wprowadziła mnie po schodach na marmurowy, otoczony kolumnami ganek, a następnie weszliśmy do obszernego hallu. Chudy lokaj z bokobrodami odebrał ode mnie płaszcz.

- Jasnie pani hrabina kazała powiedzieć, że zaraz zejdzie - oznajmił tak uroczystym tonem, że o mało nie parsknąłem śmiechem.

Znaleźliśmy się w ogromnym salonie, umeblowanym antykami z najrozmaitszych epok. Ściany zawieszono obrazami, których wartość mógłby ocenić tylko specjalista wysokiej klasy. Wszystko było tu pompatyczne, wspaniałe, bardzo bogate i obliczone na zaimponowanie przygodnemu gościowi.

Nie dałem się przytłoczyć. Usiadłem w antycznym fotelu i zacząłem zabawić Alicję swobodną rozmową. Natychmiast spostrzegłem, że jest bardziej skrupowana niż ja.

- Ciocia zaraz zejdzie - powtórzyła słowa lokaja.

- Nic pilnego - rzuciłem wesoło i zaraz ugryzłem się w język. Ponieważ się uświadomiłem sobie, że nie wypadło to zbyt zręcznie. Aby więc naprawić gafę, dodałem: - Tak miło mi się z panią gawędzi, że nie odczuwam potrzeby obecności osób trzecich.

Spojrzała na mnie i roześmiała się serdecznie.

- Pan jest doprawdy wspaniały.

Weszła ciocia. Kobieta nie pierwszej młodości, ale mogąca jeszcze liczyć na powodzenie. Średniego wzrostu, o zaokrąglonych kształtach, choć nie przesadnie tęga, przy niewątpliwej pomocy gabinetów kosmetycznych zdołała zachować sporą porcję dawnej urody. Oczy miała duże, błyszczące, podobne do oczu Alicji. Gęste, podejrzenie miedziane włosy upięte były w wysoki kok, zakończony, na hiszpańską modłę, okazałym grzebieniem, z którego spływała delikatna koronka. Suknię ze srebrnej lamy ożywiała ogromna pąsowa róża.

Nie dałem po sobie poznać, iż zaskoczył mnie ten nieco niezwykle uroczysty strój cioci. Ukłoniłem się z galanterią, jak przystało na gościa pani hrabiny, i wygłosiłem kilka gładkich komunałów.

- Ach, to pan jest autorem tych niesłychanie zabawnych książek! - wykrzyknęła radośnie, potrząsając moją dłońią.

Struchlałem. Nie pisuję „niesłychanie zabawnych książek” i byłem pewien, że wzięto mnie za kogoś innego. Poczuję się niezręcznie.

- Ależ, ciociu! - zareagowała z ożywieniem Alicja - ten pan jest autorem powieści kryminalnych.

Hrabina zatrzepotała rękami.

- Och! Dio mio! Jakaż ja jestem roztrzępana, Scusi, signore. Pardon. Wiem przecież doskonale, że pan pisuje powieści kryminalne. Ostatnio tyle czytam, że czasami myślę mi się autorzy. Proszę się na mnie nie gniewać. Scusi.

W momencie gdy jakimś gładkim zdaniem usiłowałem podreperować dosyć niezręczną sytuację, wszedł lokaj, ten sam, który wprowadzał nas do domu. Na dużej srebrnej tacy wniósł trzy kryształowi we kielichy, napelnione jakimś różowożółtawym płynem.

- Przed kolacją małeńki aperitif - powiedziała z uśmiechem hrabina, wręczając mi potężną czarą o imponującej wadze.

Owa mikstura, nazwana aperitifem, była dość paskudna w smaku i pachniała anyżkiem, którego nie znoszę. Sączyłem to obrzydlistwo przez zęby, niedając poznać po sobie, z jakim przychodzi mi to wysiłkiem.

Na szczęście ciocia nie interesowała się moimi wrażeniami smakowymi i zabawiała mnie rozmową, wtrącając od czasu do czasu jakieś hiszpańskie słowa. Uważała najwidoczniej, iż dodaje jej to wdzięku. Wypytywała mnie o Polskę, o Polaków, o moją rodzinę, z rozrzewnieniem wspominała oficerów z armii Andersa, z którymi w czasie wojny łączyły ją niezwykle serdeczne stosunki. Miło mi było słuchać tylu superlatywów wypowiedzianych pod adresem rodaków, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że są to peany wygłaszane z czysto kobiecego, a więc nie bardzo obiektywnego punktu widzenia. Sądzę, że u mężów i ojców pięknych Włoszek nasi wojacy cieszyli się dużo mniejszym powodzeniem.

Przez cały czas tej konwersacji dręczył mnie niepokój na myśl o oczekującej mnie wieczery. Byłem głodny, a aperitif nie wróżył niczego dobrego.

Wreszcie wszedł lokaj i oznajmił donośnym głosem, iż podano do stołu. Tym razem był to młody człowiek, mocno zbudowany, barczysty, o gładko wygolonej i niezbyt sympatycznej twarzy. Pomyślałem, że nie chciałbym mu się narazić.

Pokój, w którym miałem spożywać kolację, był salą śmiało mogącą pomieścić trzy warszawskie mieszkania M-4. Na środku stał potężny stół na dwadzieścia cztery osoby, otoczony krzesłami o wysokich, misternie rzeźbionych poręczach. Dwa ogromne kredensy, także rzeźbione, i parę pomocniczych stolików dopełniały umeblowania. Na ścianach wisiały portrety

przodków oraz łby dzików, jeleni i sarn. Tę bogatą kolekcję uzupełniały szpady, zabytkowe pistolety i najrozmaitsze kindżały. Całe wnętrze sprawiało raczej przytłaczające wrażenie.

Do wieczerzy oprócz cioci, Alicji i mnie zasiedli jeszcze inni domownicy: matka hrabiny, stara, pełna majestatycznej godności matrona z mocno przytępionym słuchem, długowłosa, o mizernej, zblazowanej twarzy chłopak, który okazał się synem cioci, oraz postawny mężczyzna około pięćdziesiątki, świetnie nadający się do roli pruskiego oficera. Rudawy, ostrzyżony był na krótkiego jeża, używał z upodobaniem monokla i mówił po włosku z twardym, cudzoziemskim akcentem. Ruchy miał energiczne, zdecydowane, które mogły być wynikiem długotrwałej wojskowej dyscypliny. Przedstawił mi się jakby z pewną protekcyjną wyższością, głośno wypowiadając swoje nazwisko: Fryderyk Hassel. W trakcie rozmowy dowiedziałem się, że prowadzi w Wiedniu jakąś firmę handlową, podróżuje dużo po całym świecie, kocha Paryż, a obecnie jest gościem pani hrabiny Matyldy Gonzagi Monitelli. Jeżeli mam być zupełnie szczery, to nie zachwylił mnie ten jegomość.

Biesiada rozpoczęła się w zupełnym niemal milczeniu. Nastrój pewnego nabożnego skupienia potęgowały niewątpliwie ponure portrety zawieszane na ścianach oraz nadmiar wszelakiej broni. Trochę trudno zdobyć się na beztroski śmiech, gdy człowiek otoczony jest dokoła surowymi twarzami arystokratycznych przodków i łbami dzikich zwierząt.

Mój niepokój spowodowany nieudanym aperitifem był nieuzasadniony. Wszystkie potrawy oceniłem jako jadalne, a wino okazało się znakomite. Menu było raczej skromne i nie wymagało tak wspaniałej zastawy. Srebra, kryształy, porcelana, niezliczone ilości sztuców stanowiły jaskrawy kontrast z tym, co podano do jedzenia. Zaiste, te nazbyt wysuszone kurczątki nie wymagały tak bogatej oprawy. Westchnąłem tęsknie na wspomnienie; soczystych, pachnących czosnkiem i majerankiem kurcząt, które w Warszawie piecze w prodiżu Bożena.

Rozmowa nie bardzo się kleiła. Babcia, najwidoczniej spragniona kontaktu z ludźmi, co chwila przykładając dłoń do ucha pytała, o czym się mówi. Ciocia próbowała zabawiać mnie najnowszymi ploteczkami z wyższych sfer towarzyskich, w czym nie mogłem jej sekundować, ponieważ zupełnie nie jestem zorientowany w sprawach dotyczących rzymskiej arystokracji. Uśmiechałem się więc uprzejmie, nie chcąc jej do siebie zrazić. Wiedeński handlowiec jadł i pił z ogromnym apetytem, wypowiadając się parokrotnie z dużym uznaniem o włoskich Annach. W pewnym momencie zwrócił się do mnie z zapytaniem, jak mi się żyje w komunistycznym świecie i czy nie chciałbym przenieść się na stałe do Italii. Odparłem, że moja egzystencja w Warszawie zupełnie mi odpowiada i nie mam zamiaru zmieniać miejsca zamieszkania. Pan Fryderyk Hassel umilkł i zabrał się ze zdwojoną energią do ogryzania udka pieczonego kurczęcia. Alicja i długowłosa młodzieniec, Roberto, prawie wcale nie wtrącali się do rozmowy. Dziewczyna była smutna i najwyraźniej usiłowała z trudem zapanować nad nerwami, zaś syn hrabiny znajdował się myślami zupełnie gdzie indziej. Oboje jedli bardzo mało, powiększając w ten sposób porcje pozostałych biesiadników. Bowiem ilości pożywienia na olbrzymich, wytwornie ugnarowanych półmiskach były raczej skromne.

Pod koniec kolacji miało miejsce dosyć dziwne zdarzenie. Właśnie podano krem waniliowy, gdy drzwi się otworzyły z hałasem i do sali jadalnej wtargnęła rozczochrana dziewczyna. Ubrana była w połataną, zniszczone dzinsy i w przybrudzony sweter, zapewne niegdyś koloru beżowego. Na nogach miała jakieś dziwaczne chodaki, hałasujące niemiłosiernie na wyfroterowanej posadzce, a pod szyją bajecznie kolorowy szalik.

Wszyscy jak na komendę podnieśli głowy, patrząc wyczekująco na przybyłą.

Obrzuciła wesołym spojrzeniem biesiadników, niecierpliwie odgarnęła, spadające jej na czoło gęste jasne włosy i powiedziała: - Halo! Ciao! - Następnie zbliżyła się do stołu,

wzięła palcami z półmiska kawałek ocalałego jeszcze kurczaka i na sto jąco zaczęła go z apetytem ogryzać.

- Luizo! - wykrzyknęła z rozpaczą w głosie hrabina. - Luizo, bój się Boga!

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na protest matki.

- Czy ktoś umarł? - spytała.

- Nikt nie umarł - padła niecierpliwa odpowiedź.

- To dlaczego wszyscy macie takie miny, jakbyście siedzieli na stypie?

- Luizo, błagam cię...! Mamy gości. - Hrabina spojrzała na mnie z niepokojem.

- To dlatego jesteście tacy smutni, że macie gości? - roześmiała się dziewczyna.

- O co chodzi? - spytała babcia, przykładając dłoń do ucha. - Dlaczego Luiza biega wieczorem w spodniach i w tym brudnym swetrze?

Niesforna wnuczka podbiegła i pocałowała starą damę w policzek.

- Nie gniewaj się, babciu. Jeżeli każesz, pójdę i przebiorę się w sukienkę. Nie lubię, kiedy się na mnie gniewasz.

- Moja córka jest trochę postrzelona. - Hrabia na zwróciła się do mnie z pełnym zakłopotania uśmiechem. - Odziedziczyła to po ojcu. Ale to dobre dziecko. Nie trzeba jej tylko brać zbyt na serio.

- Kogo nie trzeba brać na serio? - spytało dobre dziecko.

- Chodź tutaj, Luizo, poznasz naszego gościa. Wstałem i wyciągnąłem rękę do dziewczyny.

Uścisnęła moją dłoń z nieprzewidzianą siłą. Podobała mi się. W tym jej nieco ekstrawaganckim zachowaniu nie wyczuwałem żadnej pozy.

- Ten pan jest autorem wielu powieści kryminalnych - wyjaśniła hrabina.

Luiza aż podskoczyła z zachwytu.

- Naprawdę?! Ubóstwiam kryminały! Bardzo się cieszę, że pan nas odwiedził. Mamo skąd wytraszałaś autora kryminałów?

- Jestem znajomym pani Alicji - powiedziałem pośpiesznie, pragnąc przyjść w sukurs zażenowanej hrabinie.

- Alicja ma czasem znakomite pomysły. Czy pan pisze teraz jakąś powieść?

- W tej chwili nie. Zbieram materiały.

- O, w naszym domu panu nie zabraknie materiałów do kryminalnych powieści! - wykrzyknęła Luiza. - Pan musi być fachowcem od rozmaitych zbrodni - dodała przyglądając mi się z uwagą. - Jeżeli pan zechce, opowiem panu takie historie, że zupełnie pan zdębieje.

- Luizo, przestań natychmiast! - Głos hrabiny zabrzmiał niezwykle ostro.

Spojrzałem zdziwiony. Nie sądziłem, że ta podstarzała piękność, ta Carmen na emeryturze, potrafi być aż tak groźna.

- O co wam właściwie chodzi? Dlaczego Luiza nie ubierze się przyzwoicie? - powtórzyła stara dama.

- Już idę, babciu. Już idę - zawołała dziewczyna w dżinsach i wybiegła z pokoju.

Wśród zebranych wyczuło się wyraźne odprężenie, a hrabina roześmiała się może trochę zbyt hałaśliwie.

- Postrzelona ragazza, ale w gruncie rzeczy ma dobre serce - powiedziała, patrząc na mnie porozumiewawczo.

- Bardzo podoba mi się pani córka - stwierdziłem z przekonaniem. - Trochę może ekscentryczna, ale to jej przejdzie. Jest młoda. Teraz młodzi za wszelką cenę usiłują zerwać z dawnymi konwenansami. Nie powinna sobie pani tego tak brać do serca.

- Ja także jestem młody, ale się tak nie wygłupiam - odezwał się Roberto, który spokojnie kończył drugą porcję kremu waniliowego.

- Może przejdziemy na kawę do salonu? - zaproponowała Alicja.

Jak na komendę rozległo się szuranie odsuwanych krzeseł i po chwili znaleźliśmy się w salonie, w którym piliśmy ten straszny anyżkowy koktajl.

- Roberto, zagraj nam coś - poprosiła hrabina, biorąc syna za rękę i prowadząc go do fortepianu.

Chłopak wzruszył ramionami, ale nie protestował. Wiedział widocznie, że to się na nic nie zda. Posłusznie usiadł na okrągłym stołeczku, otworzył klawiaturę i zaczął grać.

Były to najrozmaitsze jazzowe wariacje na tematy znanych klasycznych i romantycznych utworów. Największe wrażenie wywarły na mnie pieśni Schuberta w ciekawym, choć dość ekscentrycznym układzie.

- Jak się panu podoba? - szepnęła hrabina, pochylając się ku mnie.

- Bardzo interesujące - odparłem szczerze.

- Och, Roberto jest niezwykle utalentowanym chłopcem. Gra, komponuje, a poza tym ma ogromne zdolności plastyczne. Maluje znakomite portrety, a jego abstrakcyjne kompozycje są bardzo wysoko oceniane przez fachowców. Potrafi także rzeźbić, a w wolnych chwilach pisze wiersze. Dumna jestem z takiego syna.

Pomyślałem, że byłoby dobrze, aby Roberto tak się nie rozpraszał w swej działalności artystycznej, ale nie powiedziałem ani słowa.

Kiedy ucichły dźwięki fortepianu, wiedeński handlowiec mógł wreszcie opowiedzieć babci w całości anegdotę, którą zaczął był przy stole jadalnym, a którą przerwało wtargnięcie Luizy. Głos miał silny, tubalny i znakomicie dawał sobie radę z przytępieniem słuchem staruszki.

W pewnym momencie wśliznęła się do pokoju Luiza. Miała na sobie skromną ciemnoszarą sukienkę, ożywioną jedynie sznurem grubych koralii. Jej niesforne włosy były mocno związane w koński ogon. Poruszała się dystyngowanie, jakby z pewnym onieśmieniem. Wraz ze zmianą stroju straciła cały swój tupet i nonszalancję.

- Już się przebrałam, babciu - powiedziała, całując stare damę w rękę.

Babcia wy ścisła ją serdecznie.

- Teraz wyglądasz przyzwoicie, moje dziecko. Tak powinna być ubrana panienska w twoim wieku.

Luiza usiadła obok mnie i zaczęła mi się badawczo przyglądać. Byłem tym nawet trochę skrępowany. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę z dziewczyną.

Wybawiła mnie z kłopotu i odezwała się pierwsza.

- Pisanie powieści kryminalnych musi być pasjonującym zajęciem. Skąd pan czerpie pomysły?

Uśmiechnąłem się. Dziesiątki razy zadawano mi już to pytanie, na które żaden autor nie jest w stanie odpowiedzieć.

- Czy powiedziałam coś głupiego? - spytała.

- Ależ nie. Tylko... widzi pani... tak trudno na poczekaniu sprecyzować, skąd pisarz bierze pomysły do swoich książek. Trochę z życia, trochę z fantazji. Czasami jakieś zupełnie przypadkowe zdarzenie może być punktem wyjścia koncepcji twórczej. Na to nie ma reguły.

Hrabina wstała i podeszła do stoliczka, na którym lokaj ustawił maszynkę z kawą i filiżanki.

- Czy pan nie sądzi, że ten nasz okropny dom byłby znakomitym tłem powieści kryminalnej albo jakiegoś niesamowitego filmu? - Luiza mówiła to szeptem, będąc mocno pochylona w moją stronę.

- To zależy od autora powieści czy też od reżysera filmowego - odparłem wymijająco. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

- Niech pan się dobrze przyjrzy całemu temu towarzystwu - mówiła dalej jeszcze ciszej. - Przecież każda z tych osób z powodzeniem mogłaby występować w kryminalnej powieści. Nie sądzi pan?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Jestem pewna, że pan podziela moje zdanie, tylko nie chce się do tego przyznać. Ale mniejsza z tym. Niech mi pan powie, czy pan dawno zna Alicję?

- Poznaliśmy się w samolocie.

- Czy panu się nie wydaje, że ona jest jakaś dziwna?

- Nie.

- To ciekawe, bo ja mam diametralnie różne zdanie. Uważam, że jest w niej coś bardzo dziwnego, coś niesamowitego. Dlaczego pan nie chce być ze mną szczery?

- Ależ ja jestem z panią zupełnie szczerzy - powiedziałem, z trudem opanowując ogarniającą mnie wesołość.

- Nieprawda. Nie jest pan szczerzy. Jako pisarz musi pan być dobrym psychologiem. Nie wierzę, żeby pan nie wyczuwał tej niesamowitej atmosfery jaka panuje w naszym domu. A Alicja... W tej chwili powróciła do nas hrabina.

- Czy nie nudzi pana za dużo moja córeczka?

- Ależ nie - zaprzeczyłem energicznie. - Bardzo miło sobie gawędzimy.

- Na jakie tematy, jeżeli wolno wiedzieć?

- Rozmawialiśmy o moich książkach. Pannę Luizę ogromnie interesuje praca pisarza.

- Pewnie dlatego, że bez przerwy zaczytuje się w kryminałach. Uważam, że to niezbyt odpowiednia lektura dla młodej panny. Za moich czasów...

- Och, mamo, daj spokój I - zachnęła się Luiza. - Wiadomo, że za twoich czasów było oczywiście zupełnie inaczej i bez porównania lepiej.

- Odwieczny konflikt pokoleń - powiedziałem z uśmiechem.

- Napije się pan kawy? - spytała hrabina, zmieniając nagle temat rozmowy.

- Z przyjemnością.

- A likieru?

- Odrobinę.

Kawa była znakomita, a likier niezwykle aromatyczny. Usługiwali nam ci sami lokaje co przy kolacji, to znaczy ten z bokobrodami i ów barczysty młodzieniec, który od pierwszego momentu nie zyskał sobie mojej sympatii.

Dotychczas nie miałem okazji porozmawiać z Alicją. Siedziała smętnie zamyślona i popijała sok pomarańczowy. Podszedłem i ulokowałem się koło niej na stylowej kanapce.

- Unika mnie pani - powiedziałem z wyrzutem. - To nieładnie.

- Nie, nie unikam pana, ale wolałabym teraz z panem nie rozmawiać. Odwiozę pana do domu.

Stało się jednak inaczej. Pianom Alicji sprzeciwiła się zdecydowanie hrabina. Wydała polecenie, aby odwiózł mnie

szofer, Francesco. Rozpoznałem w nim mężczyznę, który otwierał nam bramę.

Tak więc proszona kolacja niczego nie wyjaśniła. W dalszym ciągu nie bardzo wiedziałem, dlaczego Alicji zależało na tym, żeby przedstawić mnie swojej ciotce. Czyżby chciała pokazać mi swoje otoczenie, a może kierowały nią inne względy? Może przedstawiając mnie swojej rodzinie, pragnęła podkreślić, że jednak nie jest w Rzymie taka zupełnie sama, że jest ktoś, kto się nią interesuje? Czyżby się bała tych ludzi? Czyżby właśnie w tym domu groziło jej jakieś niebezpieczeństwo?

Przypomniała mi się rozmowa z małą Luizą. Co znaczyły te wszystkie jej aluzje? Czy chciała mi coś dać do zrozumienia, czy też po prostu była to zwykła młodzieńcza poza? Może pragnęła mnie zaintrygować, wydać się niezwykła i tajemnicza? U takiej młodej kozy wszystko jest możliwe.

Niedobrze spałem tej nocy. Długo nie mogłem zasnąć, a kiedy wreszcie już mi się to udało, przyśnił mi się wiedeński handlowiec. Trzymał w ręku duży kuchenny nóż i chciał mi poderżnąć gardło. Obok stał lokaj Aldo i śmiał się szyderczo. Był to barowo niedobry sen.

Nazajutrz Joanna przyjrzała mi się uważnie i stwierdziła, że wyglądam mizernie. Spytała, czy nie jestem chory.

Rzeczywiście od paru dni cierpiałem na lekkie zapalenie krtani, spowodowane niewątpliwie nadmiarem wdychanych spalin.

Joanna zaaplikowała mi płukanie z mocnej herbaty, a właściwie z samej esencji. Otrzymałem także jakieś pastylki, które miałem łykać trzy razy dziennie.

Zaczynałem tęsknić do zwykłego, normalnego życia. Chciałem zabrać się do roboty, znowu zobaczyć Bożenę, wrócić do naszego warszawskiego mieszkania. Miałem dosyć dziwnych nastrojów, tajemniczych kobiet, pałacowych komnat. Coraz częściej myślałem o powrocie, tym bardziej że nie udało mi się nic załatwić w sprawach wydawniczych. Zrobiłem wprawdzie wypad do Mediolanu, ale rozmowy z wydawcami nie dały spodziewanego rezultatu. Skończyło się na wymianie

uprzejmości i na niezbyt wyraźnie sformułowanych obietnicach na przyszłość.

Tak więc nie miałem już nic takiego, co by usprawiedliwiało moją próżniaczą egzystencję w słonecznej Italii. Bałem się też, że moja obecność zacznie wreszcie ciążyć Joannie i Alfredowi. Oczywiście nie okazywali tego, a nawet przeciwnie, namawiali mnie bardzo serdecznie do przedłużenia sobie pobytu, ale... Istnieje takie włoskie powiedzonko, że gość jest jak ryba - po trzech dniach po prostu cuchnie. A cóż dopiero po trzech tygodniach! A te właśnie mijały od mojego wylądowania na lotnisku Fiumicino.

* * *

Z Alicją spotkałem się jeszcze dwa czy trzy razy. Telefonowała do mnie i czułem, że moja osoba dodaje jej w jakiś sposób sił i odwagi. Nie wracała do naszej rozmowy w owej kawiarence na Piazza del Popolo, a ja dyskretnie o nic nie wypytywałem. Czekala na mnie zwykle w jakiejś kawiarni, a potem szliśmy na spacer, z trudem wyszukując ulice czy skwery, gdzie gęstość spalin jest trochę mniejsza. Kiedyś poszliśmy do taniego kina „Sala Umberto”, które znajduje się w pobliżu Piazza San Silvestro, niedaleko Poczty Głównej. Film stanowił dość dziwną mieszaninę pornografii i sadyzmu. Było to w sumie nudne, głupie i niesmaczne. Wyszliśmy, nie doczekawszy zakończenia.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Alicja wzięła mnie pod rękę i spytała, kiedy wracam do Warszawy.

Odparłem, że mój pobyt w Rzymie dobiega końca i że jutro lub pojutrze muszę się wybrać na via Veneto do „Lotu”, aby zarezerwować miejsce w samolocie.

- Chciałabym wracać razem z panem - powiedziała.
- A kiedy pani ma zamiar opuścić Wieczne Miasto?
- W najbliższych dniach. W tej chwili mogę już właściwie odlecieć każdego dnia.
- Będzie mi bardzo miło podróżować w pani towarzystwie - odparłem, choć, prawdę mówiąc, nie miałem na to najmniejszej ochoty.

Tę dziwną znajomość, zawartą w chmurach, wolałem zakończyć na włoskiej ziemi. Spotkania z Alicją zaczynały mi już trochę ciążyć. Nie poruszała wprawdzie żadnych tajemniczych tematów, ale instynktownie wyczuwałem w niej nieustanne napięcie, jakiś niewytłumaczony niepokój, który i mnie się udzielał. Idąc z nią ulicą, mimo woli oglądałem się za siebie, jakby pragnąc przekonać się, czy ktoś nas nie śledzi. To wcale nie było zabawne i czułem się coraz bardziej nieswojo.

Jeszcze tego samego wieczora ustaliliśmy dzień naszego wyjazdu, a raczej odlotu.

Joanna była zdziwiona moją nagłą decyzją.

- Już chcesz jechać? Dlaczego? Mógłbyś posiedzieć jeszcze z tydzień.

Wyjaśniłem, że przed wyjazdem z Warszawy podpisałem umowę z telewizją i jeżeli chcę dotrzymać terminu, to muszę się natychmiast zabierać do roboty. Czułem, że Joanna nie wierzy w ten nagły przypływ pracowitości, toteż wcale się nie zdziwiłem, kiedy przy kolacji raz jeszcze powróciła do tematu Alicji.

- Czy ta twoja znajoma także wyjeżdża z Rzymu? - spytała z niewinną miną.

- Także - odparłem obojętnie.

- A czy masz zamiar uprzedzić Bożenę, kiedy przylatujesz do Warszawy?

- Chyba tak. Zadepesuję.

- A może lepiej zrób jej niespodziankę. Po co się ma fatygować i wyjeżdżać po ciebie na lotnisko? To zawsze jest kłopotliwe.

Rzuciłem jej przeciągłe spojrzenie.

- Myślę, że jednak zawiadomię Bożenę - powiedziałem.

- No cóż... Rób, jak uważasz.

* * *

Miałem jeszcze sporo nieprzewidzianych kłopotów z tym wyjazdem. W czasie ostatniej wycieczki nad Lago di Bracciano wierny fiacik Joanny odmówił posłuszeństwa. W drodze powrotnej coś zaczęło tak dziwnie zgrzytać, chrzypieć, podzwaniać, że z największym trudem dowlekliśmy się do

Rzymu. Na drugi dzień w warsztacie samochodowym zaprzyjaźnieni fachowcy orzekli jednogłośnie, że jeżeli w ogóle da się jeszcze coś zrobić z tym mocno sfatygowanym samochodem, to kapitalny remont musi potrwać co najmniej dwa tygodnie. A lotnisko jest oddalone od śródmieścia Rzymu dwadzieścia kilka kilometrów. Jedynym środkiem lokomocji, jaki mi pozostał w tej sytuacji, był autobus. Niestety, w przeddzień mojego wyjazdu gruchnęła po Rzymie posępna wieść, iż ogłoszono strajk kierowców autobusów jeżdżących na lotnisko.

Sytuacja się komplikowała. Jazda taksówką była zupełnie nierealna. Koszt kursu na lotnisko wynosi około dwudziestu dolarów, a mnie po kupieniu dla Bożeny za ostatnie pięć tysięcy lirów czepka kąpielowego, o którym od dawna marzyła, zostało tysiąc lirów na opłatę lotniskową.

Joanna jest kobietą przedsiębiorczą i nie tak łatwo poddaje się przeciwnościom losu. Usiadła więc przy telefonie i zaczęła opowiadać o moich kłopotach rodzinie swego małżonka oraz znajomym i przyjaciółom. Rozmówcy przeważnie jednak udawali, iż nie rozumieją, o co chodzi, wyrażali swoje ubolewanie, narzekali na ciągłe strajki i odkładali słuchawkę. Wreszcie Bruno, daleki kuzyn Alfreda, zaofiarował się odwieźć mnie na lotnisko swoim wozem.

Samolot odlatywał około jedenastej. Wstałem więc o świcie, spakowałem się, zjadłem śniadanie i już o dziewiątej byłem gotowy do drogi. Joanna i Alfredo mieli mi towarzyszyć.

Wszyscy troje usadowiliśmy się w pokoju recepcyjnym, zwanym po włosku *soggiorno*, i czekaliśmy cierpliwie, wymieniając nic nie znaczące, konwencjonalne zdania. Czas mijał, a Bruno się nie pojawiał. Zdenerwowanie moje rosło. Wiedziałem przecież, że muszę na lotnisku załatwić jeszcze formalności paszportowe i odprawę celną. Powinienem więc być co najmniej na godzinę przed odlotem. Nawet wyścigowy wóz w tym tłoku nie może rozwinąć odpowiedniej szybkości. Przechadzałem się nerwowo po pokoju. Alfredo co chwila spoglądał na zegarek i podbiegał do okna. Najwięcej opanowania wykazywała Joanna.

W momencie kiedy uświadomiłem sobie, że nie zdążę i że muszę odłożyć wyjazd, wpadł zdyszany Bruno.

- Presto! Presto! - krzyknął od drzwi i porwał moją walizę. Żwawo ruszyliśmy w ślad za nim.

Przyjechaliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Nie miałem nawet czasu, żeby się przyzwoicie pożegnać. Wydałem tylko jakiś niezrozumiały okrzyk i popędziłem ku wyjściu. Formalności załatwiłem błyskawicznie. Zarówno urzędnicy sprawdzający paszporty, jak i ci z dogany byli wyraźnie zgorzeleni moim zachowaniem.

Spocony, wydostałem się wreszcie na płytę lotniska. Biegłem w obawie, że odlecą beze mnie. Zdażyłem. Zaraz po moim wejściu od samolotu odsunięto schodki.

Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Tego dnia Polskie Linie Lotnicze miały wyjątkowe powodzenie. Usiadłem na przedzie, tuż za kabiną pilota, i odetchnąłem z ulgą. Czułbym się naprawdę bardzo głupio, gdybym się spóźnił. Nie znoszę takich sytuacji. Lubię być punktualny. W tym wypadku jednak byłem zupełnie bezsilny. Cóż mogłem zrobić? Musiałem czekać na pocziwego Bruna, którego po drodze zatrzymał policjant, wlepiając mu mandat za przekroczenie dozwolonej szybkości. Pomyślałem o Bożenie. Wyobraziłem sobie, jakby się biedaczka przeraziła, gdybym nie przyleciał tym samolotem. Na pewno wyjdzie na lotnisko. Będzie czekała. Byłoby jej bardzo przykro.

Tak byłem podniecony tym pośpiechem, że nawet nie zwróciłem uwagi na moment startu samolotu. Dopiero kiedy przez okienko zobaczyłem chmury, zdałem sobie sprawę z tego, że lecimy. W tym właśnie momencie przypomniałem sobie o Alicji. Przecież umówiłem się z nią na lotnisku.

Wstałem, odwróciłem się i zaraz ją spostrzegłem. Siedziała na samym końcu samolotu, przy oknie. Pomachałem jej ręką. Uśmiechem i skinieniem głowy odpowiedziała na moje pozdrowienie. Odetchnąłem z prawdziwą ulgą. Nie wiem właściwie dlaczego, ale od pewnego czasu czułem się jakby odpowiedzialny za losy tej dziewczyny. Z zadowoleniem pomyślałem, że nareszcie skończy się to wszystko, Dowiem, jak sądziłem, w Warszawie już przecież nic jej nie będzie groziło i

nie będę musiał się nią zajmować. Co było, to było, a teraz koniec. Rozdział mojej podróży do Rzymu został zamknięty. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

Do wszystkiego może się człowiek przyzwyczaić, nawet do latania na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Tym razem kłębiące się pod nami chmury nie robiły już na mnie tak wstrząsającego wrażenia. Wiedząc, że na mój system nerwowy znakomicie działają wszelkiego rodzaju artykuły spożywcze, całkowitą uwagę poświęciłem śniadaniu, które właśnie podała mi urocza stewardesa.

Po jedzeniu ogarnęło mnie uczucie błogiej sytości. Byłem zmęczony, senny. Oparłem głowę o fotel, zamknąłem oczy... zasnąłem.

Kiedy podniosłem ciężkie od snu powieki, usłyszałem polecenie, aby zapiąć pasy i zgasić papierosy. Za chwilę mieliśmy wylądować na Okęciu.

Byłem bardzo rad, że już niedługo będę w domu. Myślałem o Bożenie. Zastanawiałem się, czy przyjdzie mnie powitać na lotnisko.

Leciutki wstrząs. Samolot dotknął ziemi. Koniec lotu.

Podróżni pospiesznie zaczęli tłoczyć się do wyjścia. Obejrzałem się. Pośród wielu ludzkich głów nie mogłem dojrzeć Alicji. Tak się akurat złożyło, że wśród pasażerów znajdowało się kilku rosnących mężczyzn, którzy zasłaniali mi pole widzenia. Zdecydowałem, że wyjdę i zaczekam na Alicję przy samolocie, żeby się z nią pożegnać. Tak też zrobiłem. Ustawiłem się przy schodkach i czekałem. Nie wychodziła. Zaczynałem się niecierpliwić. Wreszcie zszedł na dół ostatni pasażer, a Alicji ani śladu. Zdenerwowany, pomyślałem, że może zasłabła, wbiegłem więc na górę i chciałem wejść do samolotu. Błada jak ściana stewardesa nie wpuściła mnie jednak.

- Czy pan coś zostawił? - spytała. Głos jej drżał.

- Nic nie zostawiłem, ale nie wyszła moja znajoma - wyjaśniłem rozdrażniony. - Chcę zobaczyć...

- To pańska znajoma? - Tuż koło mnie zabrzmiał dźwięczny bas.

Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem na poważną twarz człowieka w mundurze pilota.

Potem wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Z samolotu wyniesiono zwłoki, a wszystkich pasażerów, pilotów i stewardesy zatrzymano w oddzielnym pomieszczeniu. Pojawiły się mundury milicyjne.

Mnie przesłuchiwał bardzo sympatyczny młody porucznik.

- Czy to pan pisuje te kryminały? - spytał po dokładnym obejrzeniu mego paszportu.

Skinąłem głową. Byłem tak wstrząśnięty tym, co się stało, że nie miałem pewności, czy zdołam coś powiedzieć. Okropnie zaschło mi w gardle. Nie mogłem przełknąć śliny.

- Alicja Sarnowska była pańską znajomą?

- Poznałem ją w samolocie.

- Siedział pan koło niej?

- Nie. Poznałem ją lecąc do Rzymu. Ale co się właściwie stało, panie poruczniku?

- Nie żyje.

- Serce?

Zawahał się. Widocznie nie był pewien, czy może mi powiedzieć prawdę.

- Nie... Chyba nie serce. Wstał i oddał mi paszport.

ROZDZIAŁ II

Bożena była szczerze uradowana z powodu mego powrotu na ojczyzny łono. Sprawilo mi to duzą przyjemność. Miło jest mieć tę świadomość, że istnieje na świecie ktoś, kogo cieszy nasza obecność. Powitanie było bardzo serdeczne. Bożena jednak od razu zorientowała się, że jestem zdenerwowany.

- Co ci jest? Stało się coś?

- Nie, nic, wszystko w porządku.

- Przecież widzę, że jesteś jakiś nieswój. To ta podróż samolotem...?

- Nie. Później ci powiem. Chodźmy. Masz taksówkę?

- Mam. Na pewno strasznie dużo wybiło. Co was tak długo trzymali? Odprawa celna?

- Później ci wszystko opowiem - powtórzyłem trochę już zniecierpliwiony. - Jedźmy do domu.

Bożena jednak nie tak łatwo daje za wygraną. W taksówce szarpnęła mnie za rękaw. Zygmusiu...

- Co, kochanie?

- Czy stało się coś złego?

- Raczej tak.

- Ale to nie dotyczy ciebie?

- Nie.

- Chwała Bogu. Już myślałam, że może źle się czujesz.

Spojrzałem na nią wzruszony. Zazwyczaj Bożena nie interesuje się zbyt stanem mojego zdrowia. Nie wiem właściwie, dlaczego uważa mnie za człowieka o niespożytych siłach i energii. Niezupełnie jest to zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy.

Palila ją ciekawość. Próbowala jeszcze dowiedziec się czegoś, ale odmówilem jakichkolwiek wyjaśnień. Stanowczo nie chciałem rozmawiać na ten temat w taksówce. Kiedy przyjechalismy na Kruczą, na liczniku widniala rzeczywiscie dość pokaźna suma. Nie zwracałem jednak na to żadnej uwagi.

Byłem szczęśliwy, że nareszcie wróciłem do domu. Odetchnąłem z prawdziwą ulgą. Miałem już dosyć podróży samolotem, dziwnych znajomości i tak zwanego szerokiego świata. Stęskniłem się za normalnym warszawskim życiem, za Bożeną, za obiadami u literatów, za pisaniem na maszynie i za kinem „Śląsk”, które jest najbliżej naszego domu położonym przybytkiem X muzy.

Bożena przygotowała na moją cześć wystawny obiad: pieczone kurczęta, wyborną sałatę, przyrumienione kartofelki, wino, ciasta, owoce, sery. Byłem zupełnie oszołomiony. Wprawdzie ostatnie przeżycia odebrały mi apetyt, ale nie mogłem przecież zrezygnować z takiej uczty. Zresztą zrobiłbym dużą przykrość Bożenie, która dumnym gestem wskazała mi zastawiony stół.

Po paru kieliszkach wina odzyskałem częściowo pogodę ducha oraz chęć do jedzenia.

Bożena nie zadawała mi żadnych pytań, taktownie pozwalając na spokojne skończenie obiadu. Dopiero przy herbacie wróciła do tematu mego zdenerwowania.

Nie mogłem się już wykręcić. Powiedziałem, co się stało, i zdradziłem się ze swoimi przypuszczeniami.

- Znałeś ją?

- Poznałem ją lecąc do Rzymu - odparłem niechętnie.

Miałem złe przeczucia. I nie omyliłem się.

- A w Rzymie?

- Co w Rzymie? - spytałem, udając, że nie rozumiem, o co chodzi.

- Czy w Rzymie się z nią widywałeś?

- Od czasu do czasu... - odparłem z pewnym wahaniem.

Psiakrew! Dożyłem już nieomal sędziwego wieku, a jeszcze nie nauczyłem się kłamać.

Świszczący oddech Bożeny nie wróżył niczego dobrego.

- Ty stary draniu! - wybuchnęła. - To ja tutaj czekam na ciebie, żyję jak w klasztorze, a ty włóczysz się po Rzymie z jakimiś babami! To tak?!

„Stary drań” zranił mnie boleśnie. Poczulem, jak krew uderza mi do głowy.

- Przestań się wygłupiać - powiedziałem ostro. - Nic nie rozumiesz.

- O, ja doskonale wszystko rozumiem - zaśmiała się szyderczo Bożena.

- Zlituj się - próbowałem argumentować - przecież ta dziewczyna już nie żyje.

- Ale jak się spotykała z tobą w Rzymie, to żyła. Poprawiła się na krzesło i głęboko zaczerpnęła w płuca powietrza. Zanosilo się na dłuższą pogawędkę. Na szczęście w tyra momencie zadzwonił telefon.

Bożena podbiegła do aparatu.

- To do ciebie - warknęła, oddając mi słuchawkę.

Poznałem charakterystyczny głos Downara.

- Cześć, Stefan. Co u ciebie?

- Muszę się z tobą zobaczyć - powiedział, nie zwracając uwagi na moje pytanie.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Dopiero co przyjechałem - próbowałem zyskać na czasie.

- Wiem.

- Może jutro?

- Sprawa jest pilna. Muszę spotkać się z tobą natychmiast. Jeżeli pozwolisz, przyjadę do ciebie.

- Dobrze przyjedź - powiedziałem zrezygnowany.

Podeksytowanie i pośpiech Downara napęliły mnie niepokojem. Przeczynałem jakieś poważniejsze kłopoty.

- Stefan chce się z tobą widzieć - powiedziała Bożena, kiedy odłożyłem słuchawkę.

- Tak. Wpadnie tu do mnie.

- Pewnie chodzi o tę twoją najdroższą z samolotu.

- Przestań! - zachnąłem się. - Nie pleć głupstw.

Bożena wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła. Była już opanowana i spokojna.

- Umówiłam się z mamą, że jej przywiozę coś do jedzenia. Ma grypę. Leży w łóżku. Muszę do niej pojechać. Przeprós Stefana, że go uroczyście nie powitam. Pogadacie sobie beze mnie.

Nie oponowałem. Wyprawa Bożeny na Bielany bardzo mi odpowiadała. Woląłem porozmawiać z Downarem w cztery oczy. Wiedziałem, że i on będzie zadowolony, zastawszy mnie samego.

Bożena błyskawicznie przygotowała się do wyjścia, co u niej należy raczej do rzadkości i oznacza nie najlepszy humor.

- Do widzenia - rzuciła mi z przedpokoju. - Zamknij za mną drzwi.

- Nie wracaj późno.

- Nie wiem, kiedy wrócę.

Ciągle jeszcze była nadąsana. Westchnąłem i poszedłem zamknąć drzwi. Bożena ma klucze, ale zawsze wymaga, żebym występował w roli furtiana. Kiedy wraca do domu, dzwoni, wyrывая mnie często z poobiedniej drzemki, a kiedy wychodzi, wzywa gromkim głosem, abym przekręcił klucz w zamku.

Po jej wyjściu żwawo zabrałem się do sprzątnięcia. Wyniosłem z pokoju brudne naczynia oraz resztki jedzenia, robiąc przy tej okazji nieprawdopodobny bałagan w kuchni.

W chwilę później zadzwieczał dzwonek u drzwi.

- Jesteś sam? - spytał Downar, przestępując próg mieszkania.

- Sam.

- To dobrze. Bardzo lubię twoją żonę, ale dzisiaj chciałbym pogadać wyłącznie z tobą.

Zaprowadziłem Stefana do mojego pokoju i wskazałem mu fotel.

- Siadaj. Napijesz się herbaty?

Odmówił stanowczo i od razu przystąpił do sprawy.

- Podobno znałeś Alicję Sarnowską.

- Tak, poznałem ją, lecąc do Rzymu. Siedziałem wtedy koło niej.

- Została otruta.

- Domyśliłem się tego.

- Widywałeś się z nią w Rzymie? Zawahałem się.

- Mów śmiało - przynaglił mnie Downar. - Nic nie powiem Bożenie.

- Już wie - jęknąłem.

- To ułatwia sytuację. Mów. Sprawa jest poważna. Rozumiesz chyba, że wszystkie szczegóły dotyczące tej dziewczyny mają dla śledztwa ogromne znaczenie.

Niestety, rozumiałem to doskonale. Nie pozostawało mi nic innego, jak możliwie dokładnie zrelacjonować moje rzymskie przeżycia.

Downar słuchał bardzo uważnie, prosząc od czasu do czasu o jakieś wyjaśnienie. Kiedy skończyłem opowiadać, przez dłuższą chwilę milczał pogrążony w zadumie. Wreszcie poprawił się w fotelu i stwierdził, że wszystko to jest niezmiernie ciekawe i intrygujące. Potem znowu umilkł i przyglądał mi się z takim zainteresowaniem, jakby mnie po raz pierwszy w życiu zobaczył.

- Czy miałbyś ochotę wrócić do Rzymu? Podskoczyłem na krześle.

- Oszalałeś?! Dopiero co przyjechałem do domu. Nie mam najmniejszego zamiaru nigdzie się ruszać.

Downar wierzchem dłoni pociągnął po gładko wygolonych policzkach. Robił wrażenie bardzo zakłopotanego, co mu się nieczęsto zdarzało.

- Posłuchaj, Zygmunt... - Urwał i znowu mi się przyjrzał. - Przyjaźnimy się od dawna i jeszcze nigdy o nic cię nie prosiłem.

- O co ci chodzi? - Byłem poważnie zaniepokojony tym wstępem.

- Chodzi o to - ciągnął dalej Downar - że powierzono mi prowadzenie śledztwa w sprawie tego morderstwa. Zależy mi na możliwie szybkim rozwiązaniu tej zagadki i jedynie ty możesz mi w tym pomóc.

- Ja? W jaki sposób?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Znasz Rzym, znasz tamtejsze stosunki, mówisz doskonale po włosku, a co więcej, poznałeś trochę środowisko tej dziewczyny. Poza tym darzę cię całkowitym zaufaniem.

Energicznie potrząsnąłem głową.

- Bardzo ci dziękuję, ale naprawdę nie mogę jechać do Rzymu. Wykluczone.

- Dlaczego? Nie pociąga cię współpraca w prowadzeniu śledztwa?

- Bardzo mnie pociąga, ale nie mogę.

- Dlaczego?

Niecierpliwie przełknąłem ślinę. Stefan zaczynał mi działać na nerwy.

- Po pierwsze, muszę się wziąć do roboty, a po drugie, mam przecież jakieś obowiązki w stosunku do mojej żony. Nie sądzisz?

Downar ze zrozumieniem pokiwał głową.

- To wszystko prawda. Czasami jednak można także wyświadczyć przysługę przyjacielowi. Widzisz, tak się złożyło, że nikt lepiej od ciebie nie nadaje się do współpracy w tej sprawie. Nieraz mówiłeś mi, że chętnie wziąłbyś udział w ciekawym śledztwie. Teraz masz znakomitą okazję. Nie wątpisz chyba w to, że sprawa jest ciekawa?

Nie mogłem zaprzeczyć.

- Jesteś inteligentny - ciągnął dalej Downar, wyraźnie biorąc mnie pod włos - masz dużo fantazji, jestem pewien, że w przeciągu najdalej dwóch tygodni zbierzesz masę materiału. Kto inny na na twoim miejscu musiałby stracić na to kilka miesięcy i nie ma pewności, czy w ogóle by się czegoś dowiedział.

Zaczynałem powoli mięknąć. Nie da się ukryć, że udział w tego rodzaju śledztwie był rzeczą frapującą. Cała ta historia pachniała na odległość jakąś wielką aferą. Widziałem już siebie w charakterze współpracownika Interpolu i Scotland Yardu. Nie ma co gadać, było to szalenie nęcące.

- Jak ty sobie to wszystko wyobrażasz? - powiedziałem niepewnie.

Downar od razu wyczuł, że zaczynam się łamać. Poweselał.

- To proste. Wsiądziesz w samolot i polecisz do Rzymu.

- Proste? Jak dla kogo. A paszport...?

- Nie martw się. Załatwimy ci.

- A dewizy...? - postawiłem konkretne pytanie.

- Dostaniesz dolary. Są jakieś sprzeciwy?

- Czy jesteś pewien, że dostanę dolary? - spytałem podejrzliwie.

Downar uśmiechnął się.

- Czy sądzisz, że wysłałbym cię bez pieniędzy?

- Skąd je dla mnie wytrzaśniesz?

- Niech cię o to głowa nie boli. A więc? - Downar zrobił efektowną pauzę, wymownie spojrzął mi w oczy i powtórzył: - Więc?

Czułem, że jestem bliski kapitulacji. Wyczerpałem już prawie wszystkie argumenty. Pozostał mi jeszcze jeden, najtrudniejszy do zbiccia, który dotychczas trzymałem w rezerwie. Uznałem, że już najwyższy czas, aby pchnąć do boju przyboczną gwardię.

- Czy sądzisz, że Bożena zgodzi się na to, abym znowu zostawił ją samą i wrócił do Rzymu? - powiedziałem, patrząc na Downara z miną zwycięzcy.

Rzeczywiście trochę się speszył, ale zaraz odzyskał pewność siebie.

- Bożena jest kobietą rozsądną - oświadczył takim tonem, jakby od dawna był o tym głęboko przekonany. - Bożena jest kobietą rozsądną - powtórzył z naciskiem - i niewątpliwie nie będzie miała nic przeciwko temu, abyś na kilka dni znów pojechał do Rzymu.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Rozterka duchowa rosła. To wszystko nie było takie proste. Mimo całej fantazji nie mogłem sobie wyobrazić rozmowy z Bożeną na temat mojej ponownej podróży do Włoch.

- Bądźże, u licha, mężczyzną - próbował mnie podtrzymać na duchu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że to są nieuczciwe i tanie chwytaki, ale nie zrobiłem na ten temat żadnej aluzji.

- Łatwo ci mówić. Nigdy nie byłeś żonaty. Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł przekonać Bożenę...

- Chcesz, żebym ja z nią pomówił? - spytał Downar. W jego głosie brzmiała determinacja.

Potrząsałem głową.

- Nie, nie. Spróbuję sam to załatwić. Uśmiechnął się.

- Mam niepełną nadzieję, Zygmsiu że jakoś wybrniesz z tego dyplomatycznie, bo czuję, że w zasadzie zgadzasz się na moją propozycję.

- Wszystko zależy od Bożeny - odparłem, pozostawiając sobie możliwość odwrotu.

- Cześć - powiedział Downar i wstał. - Dziękuję ci. Zadzwoń do ciebie wieczorem albo może ty po rozmowie z Bożeną daj mi znać co ostatecznie postanowiłeś.

Odprowadziłem go do przedpokoju. Mocno uściśnął mi dłoń na pożegnanie.

- Trzymaj się, Zygmunt, i nie daj się.

Zostałem sam na sam ze swoimi niespokojnymi myślami. Wszedłem do kuchni, ze zdenerwowania obgryzłem udko kurczaka, wróciłem do pokoju i usadowiłem się w moim ulubionym fotelu, pogrążając się w pełnej melancholii zadumie. I nagle ogarnęła mnie złość na Stefana. To się tylko tak łatwo mówi: „trzymaj się, nie daj się”. Ale zastosowanie się do tego nie jest wcale takie proste. Stefan ma swoje racje, ale i Bożena będzie miała niewątpliwie swoje. Przeszło trzy tygodnie siedziałem w Rzymie, nie wiadomo właściwie po co, bo z wydawcami nic konkretnego nie udało mi się załatwić. Bożena była przez ten czas sama. Jak jej powiedzieć, że znów mam lecieć do Włoch?

Po dłuższych rozważaniach doszedłem do wniosku, że muszę postawić sprawę szczerze, otwarcie i po męsku, nie uciekając się do żadnych dyplomatycznych wybiegów.

Na wszelki wypadek zadzwoniłem do Downara, żeby się upewnić, czy mogę Bożenę wtajemniczyć w cel mojej podróży do Włoch, a otrzymawszy jego zezwolenie, odetchnąłem z prawdziwą ulgą. Nie lubię krętactwa i zupełnie nie umiem kłamać.

Uspokojony, wyciągnąłem się wygodnie na tapczanie, nastawiłem adapter i słuchałem drugiego koncertu Rachmaninowa. Muzyka działa na mnie kojąco.

Bożena wróciła koło dziesiątej. Była podekscytowana i w bardzo dobrym humorze. Niedawne dąsy zniknęły bez śladu. Poczęstowała mnie porcją najnowszych plotek oraz

oświadczyła, iż mama dała jej przepis na czarodziejską mieszankę ziołową, która jakoby odgrywa rolę eliksiru młodości. Podobno jakaś znajoma mamy, mająca siedemdziesiąt dwa lata, po odbyciu tej kuracji wygląda najwyżej na sześćdziesiąt dziewięć.

Wyraziłem oczywiście swój zachwyt i obiecałem, że jutro z samego rana pobiegnę do „Herbapolu”, aby zdobyć te cudowne zioła. Bożena popatrzyła na mnie podejrzliwie, nie mogąc odgadnąć, jaki podstęp kryje się za tą moją uczynnością. Była raczej przygotowana na to, że straszliwie wyszydę mamusię razem z jej cudownie odmłodzoną przyjaciółką.

- No, a cóż tam Downar? - spytała. - Czego chciał od ciebie?

Nadeszła decydująca chwila. Dłużej już nie można było zwlekać. Powtórzyłem naszą rozmowę i na zakończenie tchórzliwie dodałem, że nie mam zamiaru jechać do Rzymu.

Bożena spojrzała na mnie oburzona.

- Zwariowałeś? Oczywiście, że powinieneś pojechać. Przecież to pasjonująca misja. Taka okazja zdarza się raz w życiu. Nie możesz zrezygnować. Zygmunt, bój się Bogal Chyba nie dałeś Stefanowi ostatecznej odpowiedzi?!

Nie wierzyłem własnym uszom, a właściwie własnemu uchu, ponieważ na lewe słyszę raczej kiepsko. Bożena nie tylko nie sprzeciwiła się mojej podróży do Włoch, ale stanowczo mnie do niej namawiała... Byłem tak oszołomiony, że aż zatkało mnie na chwilę.

- Jesteś wspaniała - szepnąłem wycelowawszy ją serdecznie.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- A ty pewnie myślałeś, że ja ci nie pozwolę jechać?

Zmieszałem się.

- No cóż... Prawdę mówiąc... nie bardzo wiedziałem, jak się odniesiesz do tego projektu.

- Jesteś idiota - stwierdziła z przekonaniem. Po raz pierwszy w życiu ten przykry epitet zrobił mi przyjemność. - Jakżeż ja mogłabym się sprzeciwić? Taka okazja! Taka wspaniała przygoda! Napiszesz nową, fascynującą książkę. Ach, jak ja ci zazdroszczę. Czy nie mogłabym ci jakoś pomóc tu, w Warszawie?.

- Pomówimy o tym - odparłem wymijająco. - A więc naprawdę uważasz, że powinienem pojechać do Włoch?

- Ależ oczywiście. Nie ma o czym mówić.

* * *

Nazajutrz z samego rana pojechałem do komendy. Downar był uszczęśliwiony. Śmiał się, żartował, opowiedział parę najnowszych kawałów, poczęstował kawą i radzieckim koniakiem. Przy tym właśnie koniakowi zaczęliśmy mówić na konkretne tematy.

- Czy otrzymam od ciebie jakieś instrukcje? - spytałem.

Downar wzruszył ramionami.

- A jakież tu mogą być instrukcje? Sam musisz wpaść na trop. Znasz ludzi, u których była. Od nich trzeba zacząć.

- Może mi chociaż dostarczysz trochę informacji o tej dziewczynie.

- To, co wiemy, zaraz ci przekażę. Nie jest tego wiele.

Wyjął z szuflady niebieską teczkę z aktami, otworzył ją i zajrzał do notatek.

- No więc tak... Nazwisko znasz. Alicja Sarnowska. Wiek dwadzieścia osiem lat. Stała mieszkanka Warszawy. Rozwódka. Rozeszła się z mężem przed dwoma laty. Miała kawalerkę na Saskiej Kępie, w tych blokach przy alei Stanów Zjednoczonych.

- Gdzie pracowała? - spytałem.

- Często zmieniała miejsce pracy. Handel zagraniczny, film, radio, telewizja, ostatnio zaczepiła się w Pagarcie. Znała parę języków: francuski, angielski, niemiecki. Miała dużo znajomości za granicą. Często wyjeżdżała służbowo i prywatnie. Co jeszcze cię interesuje?

- Chciałbym wiedzieć, kto na nią czekał na lotnisku?

Downar roześmiał się.

- Skromne masz wymagania. Ja także bardzo chciałbym to wiedzieć. Osoba, która czekała na lotnisku na Alicję Sarnowską, może stanowić klucz do całej zagadki.

- To bardzo prawdopodobne - przytaknąłem. - Niewykluczone, że Alicja miała przekazać temu komuś jakąś wiadomość. Morderca, żeby do tego nie dopuścić, zdecydował się zlikwidować ją w samolocie.

Downar spojrział na mnie z uznaniem.

- Widzę, Zygmysiu, że ci główka pracuje zupełnie nieźle.

- Zażyłem calgam - powiedziałem poważnie. - To znakomity środek na sklerozę. Czy możesz mi, Stefanku, powiedzieć, czym zajmuje się były mąż Alicji?

- Jest lotnikiem.

- Wojskowym?

- Nie. Lata na pasażerskich maszynach. Pracuje w „Locie”.

- Czy masz już może jakąś koncepcją, jeśli chodzi o motyw zbrodni?

Downar potrząsnął głową.

- Nie. Nie mam żadnej koncepcji. Możemy się jedynie domyślać, że ta sprawa wiąże się w jakiś sposób z terenem Włoch. To nie była taka sobie zwykła podróż mająca na celu odwiedzenie rodziny. Ta dziewczyna miała tam prawdopodobnie do wykonania jakieś konkretne zadanie. Dowiedziała się czegoś bardzo ważnego i wiadomość tę miała przekazać komuś zaraz po powrocie do Warszawy, na lotnisku. Masz rację, mówiąc, że morderca za wszelką cenę chciał temu przeszkodzić i zdecydował się na popełnienie zbrodni w samolocie. To było dosyć ryzykowne posunięcie, ale najwidoczniej nie miał innego wyjścia. Czekał... czekał... Miałem cię o coś zapytać. Aha... już wiem. Czy ty widziałeś Alicję Sarnowską w samolocie?

- Tak. Z daleka. Przyjechałem w ostatniej chwili na lotnisko i wszystkie miejsca były już zajęte. Ukłoniłem się jej tylko.

- Może pamiętasz, kto koło niej siedział?

- Nie. Nie pamiętam.

- Postaraj się przypomnieć sobie - nalegał Downar. - To może być ważne. Pomyśl. Może łykniesz kilka pastylek tego calgamu?

- To nie byłoby takie najgorsze, ale zaczekaj, spróbuję się skupić i bez niego.

Zamknąłem oczy i usiłowałem zrekonstruować tamtą scenę. Oto wbiegam do samolotu, szukam miejsca, siadam, ocieram pot z czoła, a następnie wstaję i szukam wzrokiem Alicji. Widzę ją siedzącą daleko, macham do niej, ona się uśmiecha. Kto, u

diabła, siedział koło niej? Mężczyzna? Kobieta? Nie wiem. Pustka. Byłbym przecież zauważył. Na pewno zwróciłbym uwagę na kogoś, kto siedział koło Alicji... gdyby ktoś tam był. Więc może nie było nikogo? Nie, miejsce obok niej nie było puste...

- Gazeta! - wykrzyknąłem. - Gazeta!

- Gazeta? Jaka gazeta?

- Gazeta, włoska gazeta.

- O czym ty mówisz? - spytał zaniepokojony Downar.

- Mówię o tym, że ten człowiek, który siedział koło Alicji, czytał gazetę i cały był nią zasłonięty. Dlatego nie widziałem twarzy. Nie wiem nawet, czy to była kobieta czy mężczyzna.

- Az czego wnioskujesz, że to była włoska gazeta?

- Z formatu. Taka olbrzymia płachta... Mogła to być tylko włoska gazeta.

Downar podrapał się za uchem.

- No cóż... To nam niewiele daje. Ktoś zasłonięty gazetą...

- Przesłuchiwaliście pasażerów?

- Oczywiście. Nikt jednak nie zauważył, kto siedział obok tej dziewczyny. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, jedni jedli, drudzy źle się czuli, jeszcze inni po prostu spali. W samolocie ludzie na ogół mało interesują się sąsiadami.

- To prawda - przytaknąłem. - Muszę przyznać, że ja również nie mam pojęcia, koło kogo siedziałem. Najprzód jadłem śniadanie, a potem zdrzemnąłem się. Żebyś mnie zabił, nie wiem kto obok mnie siedział.

- No właśnie - pokiwał głową Downar. - A zresztą nie sądzę, aby morderca długo zajmował miejsce koło swej ofiary. Nie oglądałeś się?

- Nie. Mówię ci, że zaraz po jedzeniu zasnąłem. Czy to był cyjanek potasu?

- Tak. Duża dawka, działająca błyskawicznie.

- W herbacie?

- Tak. Ktoś podrzucił truciznę w torebce, w jakiej zazwyczaj podają w samolocie cukier. Znaleźliśmy tę torebkę z resztkami trucizny.

- Jak to się mogło stać? - spytałem.

- Nie mam pojęcia... Morderca musiał zamienić torebki, ale kiedy... w którym momencie... To nie takie proste do ustalenia.

- Wykluczasz personel?

- Raczej tak. Stewardesa nigdy by się nie odważyła na coś takiego. Przecież to jasne, że przede wszystkim na nią pada podejrzenie. Przyznam ci się, że dotychczas nie potrafię sobie zrekonstruować tej zbrodni.

- Musisz się wczuć w rolę truciciela. Pomyśl, jak ty byś działał w podobnej sytuacji.

- Myślę, ale jak dotąd niczego nie mogę wymyślić. To zresztą chyba w tej chwili nieistotne. Zapomniałem ci powiedzieć, że jutro wylatujesz do Rzymu.

- Już jutro?

- Im prędzej, tym lepiej. Nie mamy czasu do stracenia. Ja będę prowadził śledztwo w Warszawie, a ty w Rzymie. Musisz się ze mną kontaktować. Aha... i jeszcze jedna sprawa. Czy powiedziałeś Bożenie, o co chodzi?

- Oczywiście. Uzgodniliśmy to przecież. Zresztą nie mogłem inaczej.

- Czy sądzisz, że nie roztrąbi tego po całej Warszawie?

- Mam nadzieję, że nie. Obiecała mi. Downar miał wielce zatroskaną minę.

- To byłoby fatalne, gdyby tak zaczęła opowiadać swoim koleżankom... Wiesz co? Pomówię z nią.

Co o tym sądzisz?

- Nie mam nic przeciwko temu. Pod warunkiem oczywiście, że nie zaczniesz uwodzić Bożeny w czasie mojej nieobecności.

- Daj spokój.

- Muszę ci powiedzieć, że jesteś mężczyzną w jej typie.

- Przestań się wygłupiać - zachnął się Downar. - Co ty sobie wyobrażasz?

- Wyobrażam sobie, że ja wylatuję jutro do Rzymu, a ty z Bożeną zostajesz w Warszawie.

- Chyba żartujesz.

Prawdę mówiąc, ewentualnego flirtu Stefana z Bożeną wcale nie uważałem za żart, ale dałem spokój.

- Jakie jeszcze polecenia, szefie? - spytałem.

- Więc przede wszystkim daleko posunięta dyskrecja. O twoim powrocie do Rzymu nikt nie powinien wiedzieć, nawet twoja była żona.

- Postaram się. Nie mogę ci jednak gwarantować, że przypadkowo jej nie spotkam. Czasami zdarzają się takie zbiegi okoliczności.

- Oczywiście - przyznał Downar. - W takim wypadku musiałbyś coś inteligentnie zełgać. Wymyśl sobie jakąś prawdopodobną wersję.

- Czy mam się porozumieć z włoską policją? - spytałem.

- Wolalbym tego uniknąć. Tylko w ostateczności możesz to zrobić. To samo zresztą dotyczy naszej ambasady. Lepiej się z nimi nie kontaktuj. Poza tym chciałbym cię uprzedzić, że możesz zetknąć się na terenie Włoch z agentami Interpolu.

- Narkotyki?

- Nie wiem. Może.

Usiłowałem dowiedzieć się, co ma wspólnego z tą sprawą Interpol, ale Downar dawał wymijające odpowiedzi. Wreszcie doszedłem do wniosku, że nic więcej z niego nie wydobędę, i dałem za wygraną. Miałem wrażenie, że albo sam niewiele wie, albo nie wszystko chce mi powiedzieć.

Dotychczas nie brałem tego pod uwagę, że moja misja może być niebezpieczna. Dopiero kiedy Downar wspomniał o Interpolu...

- Słuchaj - powiedziałem trochę zaniepokojony - czy nie przypuszczasz, że mogą mi tam strzelić w łeb albo poczęstować cyjankiem potasu?

- E... wątpię - zaproponował bez przekonania. - A co? Jesteś w strachu?

- W strachu, nie w strachu, ale jeszcze mi życie mile.

- Podobno lubisz przygody, a każda przygoda pociąga za sobą pewne ryzyko.

Byłem coraz bardziej speszony. Widziałem wiele filmów gangsterskich oraz obrazujących zbrodniczą działalność mafii sycylijskiej i zacząłem wyobrażać sobie krwawe sceny ze mną jako ofiarą w roli głównej oczywiście. Nie wpłynęło to dodatnio na moje samopoczucie.

- Cóżeś tak skapcaniał? - spytał Downar, przyglądając mi się uważnie. - Wcale w tobie nie wyczuwam bojowego ducha.

- Przestań się wygłupiać.

- Może dać ci pistolet? Będziesz się pewniej czuł.

Zamachałem rękami.

- Nie, nie, daj spokój. Po pierwsze, bardzo dawno już nie miałem broni w rękę, a po drugie, tamten zawsze będzie szybszy.

- Co za „tamten”?

- No ten gangster, który będzie do mnie strzelał.

Downar roześmiał się.

- Widzę, że zaczyna ponosić cię fantazja. Nie poddawaj się, Zygmusiu. Twoim zadaniem nie będzie przecież walka z gangsterami.

- Któż to wie?

- Chcesz się wycofać?

Jakżeż chętnie skorzystałbym z tej kuszącej propozycji. Poszedłbym sobie z Bożeną na jakiś sensacyjny film, spokojnie, bez żadnego ryzyka. Potem kolacyjka we dwoje, trochę muzyki i spać. Miło, bezpiecznie, bez zdenerwowania. Ale cóż...? Cholerna rzecz ten honor. Właśnie honor nie pozwalał mi zrezygnować z „tajnej misji”.

- Oszalałeś?! - udałem oburzenie. - Ja miałbym się wycofać? Powiedziałem, że polecę do Rzymu, to polecę. Nie ma o czym gadać.

Downar uściśnął mnie serdecznie;

- Jesteś byczy chłop - powiedział z przekonaniem.

Po chwili byczy chłop człapał po błocie do swego mieszkania przy ulicy Kruczej.

ROZDZIAŁ III

Tym razem podróż samolotem nie zrobiła na mnie prawie żadnego wrażenia. Po pierwsze, miałem już pewien trening, a po drugie, myśli moje krążyły uparcie wokół zgoła innego niebezpieczeństwa, nie mającego nic wspólnego ani z wysokością, ani z szybkością.

Wizje walk z gangsterami ani na moment nie opuszczały mojej rozhuśtanej wyobraźni. Widziałem się otoczony przez jakichś ponurych drabów uzbrojonych w pistolety automatyczne. Słyszałem złowieszczy świst kul. A od czasu do czasu, jakby dla urozmaicenia akcji, błyskał rzucony wprawną ręką nóż. Kiedy zamykałem oczy, sceny z dawno oglądanych filmów przesuwały się z jeszcze większą wyrazistością. Niestety, w żadnej z tych akcji nie widziałem siebie w roli bohatera, pogromcy handlarzy narkotyków, sutenerów czy innego rodzaju mętów. W tych pełnych grozy wizjach obraz mojej skromnej osoby robił raczej żalotne wrażenie. Albo leżałem na jezdni w kałuży krwi, albo też, mocno skrępowany sznurami, obgryzany przez szczury, dogorywałem w ponurej piwnicy.

Z trudnością wydobyłem się z tej makabry i zacząłem rozmyślać nad moją sytuacją i nad tym, co mi czynić wypada po przybyciu do Rzymu. Należało stworzyć jakiś realny i konkretny plan działania. Nurzanie się w filmowych reminiscencjach nie miało przecież najmniejszego sensu i mogło tylko wpłynąć na zmniejszenie odporności psychicznej.

Zacząłem od zrekonstruowania rozmowy z Downarem. Wzmianka o narkotykach nie była pocieszająca. Jest rzeczą wiadomą, że ludzie handlujący białym proszkiem nie przebierają w środkach, są gotowi na wszystko i niszczą każdego, kto stanie im na drodze.

„Ale dlaczego właściwie mają to być handlarze narkotyków? - próbowałem się pocieszać. - Może chodzi tu o zupełnie coś innego? Może to jakaś afera polityczna, finansowa,

szpiegowska?” Te rozważania nie wpłynęły na poprawę mego humoru i nie zwiększyły poczucia bezpieczeństwa. Nie wiedziałem, z kim lepiej mieć do czynienia: z handlarzami narkotyków czy też ze szpiegami?

Zacząłem się zastanawiać nad tym, w jaki sposób otruto Alicję, i wtedy przyszło mi do głowy, że mogło to być samobójstwo. Takiej ewentualności nie można było przecież wykluczyć. Prześladowana, zaszczuta przez tych jakichś tajemniczych wrogów, załamała się psychicznie i odebrała sobie życie. Może przeczuwała, że na lotnisku czeka na nią morderca? Może doszła do przekonania, że w żaden sposób nie ujdzie śmierci, że nie zdoła się uratować?

„Oj, Zygmucie, Zygmucie” - zgromiłem się w duchu. - „Przestań wreszcie pisać kryminalną powieść. To już staje się obsesyjne. Bądź rozsądny. Opieraj swe rozumowanie na konkretnych, realnych przesłankach. Dostyć już tych wszystkich bzdur”.

I nagle poweselałem. Nie wiem dlaczego, ale opuściły mnie poprzednie niepokoje, wątpliwości, posępne wizje. Odzyskałem dobry humor i pewność siebie. Jak to dobrze jest czasem porozmawiać z samym sobą.

Zupełnie przypadkowo dotknąłem palcami tkwiącego w wewnętrznej kieszeni marynarki portfela, w którym miałem tysiąc dolarów żywą gotówką oraz sporą porcję czeków na Banco d'Italia. To niewątpliwie wpłynęło na poprawę mego samopoczucia. Jeszcze nigdy w życiu nie dysponowałem taką potęgą dewizową.

Tak byłem pozytywnie nastawiony do świata i ludzi, że nawet z pewną życzliwością spojrzałem na śpiącego koło mnie staruszka, którego natrętne chrapanie zakłócało mi rozmyślanie.

* * *

W Rzymie wylądowaliśmy szczęśliwie bez żadnej awarii.

Tym razem nikt mnie nie witał. Byłem zupełnie sam, zagubiony w wielkim mieście. I zagubienie to mnie przerażało. Niepokojem napełniała owa misja specjalna, którą zostałem obarczony. Nie czułem się jak beztroski turysta przybywający do Wiecznego Miasta. Nie. Teraz byłem „tajnym agentem”,

mającym wytropić gangsterów, zbrodniarzy, którzy zamordowali młodą, ładną kobietę.

I znowu popadłem w depresję. Na diabła mi to? Włóczę się po świecie, zamiast sobie siedzieć spokojnie i bezpiecznie z Bożeną w Warszawie. Potrzebne mi było wdawać się w tę całą podejrzaną aferę? A wszystko przez to kolano. Bo gdybym się wtedy nie zainteresował kolanem Alicji, to zapewne nie doszłoby do tej idiotycznej znajomości.

Było już jednak za późno na tego rodzaju rozważania. Ostatecznie mogłem przecież odmówić Downarowi. Skoro jednak przyjąłem propozycję... W głębi duszy czułem żal do Bożeny, że tak łatwo zgodziła się na mój wyjazd. Gdyby się sprzeciwiła... Gdyby choć słowo powiedziała przeciwko tej dziwacznej imprezie. Ale nie. Nie tylko się nie sprzeciwiła, ale nawet gorąco mnie namawiała. No cóż... trudno. Machnąłem ręką zrezygnowany.

Trzeba była zająć się konkretnymi sprawami. A więc przede wszystkim musiałem sobie znaleźć jakieś niedrogie lokum. Hotele nie wchodziły w rachubę. Mimo iż miałem solidnie naładowany portfel, musiałem jednak liczyć się z wydatkami. Nie wiedziałem przecież, jak długo będę musiał pozostać w Rzymie i jakie koszty pociągnie za sobą ta Idiotyczna impreza. „Tajny agent” nie może przecież występować w charakterze zabiedzonego turysty.

Po załatwieniu formalności celno-paszportowych postanowiłem natychmiast dostać się do śródmieścia. Wsiadłem do autobusu i pojechałem na Stazione Termini. Przypuszczałem, i słusznie, że tam dowiem się o jakiejś odpowiedniej dla mnie kwaterze.

Krążąc dokoła dworca, przypominałem sobie mój pierwszy przyjazd do Rzymu i pokoje umeblowane, z których wtedy korzystałem. Ale to było bardzo dawno. Adresów oczywiście nie pamiętałem, a gdybym nawet ich nie zapomniał, kto wie, czy właściciele tych mieszkań żyli jeszcze.

Przechadzałem się powolnym, niezdecydowanym krokiem, co spowodowało, że najprzód zaczęły mnie jakieś roześmiane dziewczęta, potem młodzi chłopcy, a w końcu waluciarze,

powtarzający konfidencjonalnym szeptem: „Change money, change money”.

Z kłopotu wybawił mnie dopiero szczupły, mizerny młodzieniec, który spytał, czy poszukuję pokoju. Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, wziął moją walizkę, która tym razem nie była już tak piekielnie ciężka, i ruszył w kierunku Piazza Esedra. Szedł tak szybko, że zaledwie za nim nadażalem. Dokładałem wszelkich starań, aby dystans między nami zbyt szybko się nie powiększał. Ewentualna utrata walizki nie była mi obojętna. Okazało się jednak, że młody człowiek nie miał żadnych złych zamiarów. Zaprowadził mnie na via Amendola, niewielką uliczką biegnącą w dół, do Piazza Berberini. Punkt doskonały.

Po niezbyt wygodnych, dosyć stromych schodkach wdrapaliśmy się na trzecie piętro, gdzie mieścił się skromny pensjonat, prowadzony przez zażywną jejmość w średnim wieku. Sympatyczna signora obdarzona była nie tylko imponującą tuszą, lecz także niezwykle wartką wymową. Początkowo byłem nieco ogłuszony, ale wreszcie udało mi się przerwać lawinę słów i zapytać o cenę. Pensjonat pani Eleonory Ravinelli był stosunkowo tani. Bez wahania wynająłem pojedynczy pokój, dałem napiwek chłopcu, który mnie tu przyprowadził, i zacząłem się rozpakowywać. Byłem uszczęśliwiony, że bez większych wysiłków znalazłem dosyć wygodne lokum. Nie doceniłem jednak elokwencji pani Ravinelli.

Zaledwie zdążyłem ułożyć w szafie moje rzeczy, gdy rozległo się pukanie i do pokoju wkroczyła majestatycznie właścicielka pensjonatu. Spytała, czy czegoś nie potrzebuję, następnie usiadła na krześle, które skrzyknęło niepokojąco pod jej ciężarem, i zaczęła opowiadać swój życiorys. Chcąc nie chcąc dowiedziałem się, że signora Ravinelli jest wdową, że zdążyła już pochować trzech mężów, ale jeszcze nie rezygnuje z życia. To ostatnie oświadczenie napełniło mnie pewnym niepokojem. Życie nauczyło mnie unikać wdów prowadzących pensjonaty.

Ostatnim mężem pani Ravinelli był Ahmed, Turek z pochodzenia, który produkował się ponoć jako przedstawiciel

wiedzy magicznej na wszystkich estradach świata. Został biedak zaszytyletowany w jakiejś neapoli fańskiej restauracji przez jednego z licznych adoratorów swej żony, pięknej Eleonory. Następnie wdowa po Turku cofnęła się w swej opowieści w daleką przeszłość, wspominając czasy wczesnego dzieciństwa. To już przekroczyło granice mojej wytrzymałości. W sposób dosyć obcesowy przerwałem opowiadanie, tłumacząc, że mam coś bardzo pilnego do załatwienia.

Wyszedłem. Na ulicy ogarnęły mnie wątpliwości. Nie byłem pewien, czy dobrze zrobiłem wynajmując pokój w pensjonacie na via Amendola. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli nie zdołam pohamować elokwencji pani Ravinelli, będę musiał zmienić miejsce zamieszkania. Pocięczałem się jedynie myślą, że albo jej to przejdzie, albo znajdzie sobie inną ofiarę, jakiegoś nowego lokatora.

Na Piazza Barberini powitałem spojrzeniem dobrze mi znaną fontannę. Postąłem chwilę, patrząc na tryskający z paszczy legendarnego trytona strumień wody. Potem w jednej z bocznych uliczek - nazwy jej już dzisiaj nie pamiętam - w tavola calda zjadłem porcję makaronu z parmezanem i kotlet z sałatą, popiłem to cienkim winem i oddałem się rozmyśleniom nad oczekującą mnie wizytą.

Na via Appia Antica pojechałem taksówką. Było około szóstej i miasto rozbłysło już wieczornymi światłami. Kiedy dojechałem do alei, której strzeże napis: VIA PRIVATA, VIETATO INGRESSO, wysiadłem, zapłaciłem kierowcy za kurs i wolnym krokiem wszedłem w ową prywatną ulicę.

Rezydencję hrabiny Monitelli odnalazłem bez trudu. Nic się tu nie zmieniło od mojej pierwszej bytności, tylko mniej liści było na drzewach. Przy bramie nacisnąłem biały bakelitowy guzik dzwonka. Oczekałem chwilę, a następnie znowu nacisnąłem. Tym razem poskutkowało.

Za żelaznymi sztachetami pojawił się bezszelestnie wysoki, barczysty mężczyzna. Miał na sobie długi, ciemny płaszcz i głęboko nasunięty na czoło kapelusz, także ciemny. Mimo wieczornej pory ogromne przeciwsłoneczne okulary zasłaniały mu większą część twarzy. Zobaczyłem tylko wąskie usta i

kawałek spiczastego nosa. Facet robił dość niesamowite wrażenie.

- Do kogo? - padło niechętnie pytanie, wypowiedziane głosem cichym i zachrypniętym?

Podąłem swoje nazwisko, powiedziałem, że niedawno byłem gościem pani hrabiny i że chciałbym się widzieć z panią Alicją Sarnowską.

- Proszę zaczekać.

Ponury furtian zniknął. Upłynęło chyba z dziesięć minut, nim się znowu pojawił. Otworzył bramę, która wydawała mi się niezwykle ciężka i masywna, a następnie bez słowa wskazał mi schody prowadzące na ganek.

Przyznaję, że już na samym początku mojej tajnej misji poczułem się dosyć niewyraźnie.

Drzwi były otwarte. W hallu oczekiwał mnie służący w liberii. Był wysoki, zupełnie łysy i miał przedziwnie długie ręce, które upodabniały go do antropoidalnej małpy. Niczym nie przypominał ani tego z bokobrodami, ani tego drugiego, do którego od pierwszego wejrzenia poczułem niechęć.

Kiedy powiedziałem, że pragnę się zobaczyć z panią Alicją Sarnowską, lokaj zaprowadził mnie do tego samego salonu, w którym w czasie swej poprzedniej wizyty piłem anyżkowy koktajl. To wspomnienie sprawiło mi wyraźną przykrość.

Służący zniknął. Usiadłem na wyściełanym krześle i rozejrzałem się. Nic się tu nie zmieniło, te same fotele, kanapy, stoliczki, ten sam fortepian, na którym grał Roberto. Na ścianach te same przypuszczalnie bardzo cenne, obrazy.

Czekałem bardzo długo. Zastanawiało mnie to, że lokaj nie powiedział mi od razu, iż pani Alicja Sarnowska wyjechała. Sądziłem jednak, że to jakiś nowy służący, który jeszcze nie jest należycie zorientowany. Rozumowałem logicznie, że prawdopodobnie któryś z poprzednich lokai opuścił dom hrabiny, a na jego miejsce został przyjęty ten długoręki.

Zaczynałem się już niecierpliwić, gdy drzwi się otworzyły i do salonu weszła bardzo piękna i elegancka kobieta. Wysoka blondynka o regularnych: nieomal klasycznych rysach. Delikatnie nakreślony owal twarzy ożywiały duże, wyraziste,

ciemnoniebieskie oczy. Włosy miała upięte w staromodny kok. Szła pewnym, elastycznym krokiem z wysoko podniesioną głową. Wyglądała jak dama wyjęta z ram starego portretu.

Wstałem, ukloniłem się i powiedziałem swoje nazwisko.

- Czym mogę panu służyć? - spytała. Głos miała miękki, melodyjny. Mówiła dobrze po włosku i tylko leciutki akcent zdradzał jej cudzoziemskie pochodzenie.

- Chciałbym się zobaczyć z panią Alicją Sarnowską.

- To właśnie ja. Słucham pana. Zbaraniałem. Ta kobieta nie miała nic wspólnego z Alicją, a zresztą przecież Alicja... W pierwszej chwili zapomniałem języka w gębie. Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć, jak się zachować. Na szczęście zdołałem błyskawicznie opanować to początkowe osłupienie. Doprawdy nie wiem, jak to się dzieje, ale czasami w krytycznych momentach mam zupełnie nieoczekiwanie szybki refleks.

- Miło mi panią poznać - powiedziałem obojętnym głosem, niczym nie zdradzającym duchowej rozterki. - Czy pani mówi po polsku?

- Oczywiście. Jestem przecież Polką.

- Wobec tego proponuję, żebyśmy rozmawiali w naszym rodzinnym języku.

Uśmiechnęła się. Miała miły, pełen wdzięku, szczerzy uśmiech. W żaden sposób nie mogło mi się w głowie pomieścić, aby ta urocza kobieta mogła prowadzić jakąś podstępłą grę.

- Dawno pan przyjechał z Polski? - spytała.

- O, siedzę już w Rzymie przeszło trzy tygodnie. A pani?

- Ja stale mieszkam w Italii.

- W Rzymie?

- Nie. Na Sycylii.

Miałem ogromną ochotę zadać jej jeszcze parę pytań, ale zrezygnowałem z tego. Nie mogłem okazywać zbytniego zainteresowania jej osobą.

- Pozwoliłem sobie odwiedzić panią - powiedziałem z całkowitą swobodą - ponieważ dwa dni temu spotkałem przypadkowo mojego serdecznego przyjaciela, Tadzia

Zakrzeńskiego, który był przejazdem w Rzymie i prosił, abym pani przekazał najserdeczniejsze pozdrowienia.

Rzuciłem pierwsze lepsze nazwisko, jakie mi przyszło do głowy, i byłem przygotowany na najgorsze. Właściwie powinna była teraz zapytać, skąd w ogóle wiem o jej istnieniu i kto mi dał adres. Nic takiego się jednak nie stało. Piękna blondynka podjęła moją grę bez żadnych zastrzeżeń.

- Zakrzeński... Zakrzeński - powtórzyła, pocierając dłonią czoło. - Doprawdy nie przypominam sobie, żebym znała kogoś o tym nazwisku.

- Jak to? - zdumiałem się. - Nie pamięta pani Tadzia Zakrzeńskiego?! Przecież opowiadał mi, że bardzo dużo pani mu pomogła podczas jego zesłorocznej podróży po Italii.

Obserwowałem uważnie jej twarz. Wydało mi się, że dojrzałem w niej wahanie. Ale był to tylko moment, bo nagle uśmiechnęła się.

- O, mówi pan pewnie o tym dziennikarzu, którego spotkałam w Palermo?

- Tak, oczywiście - przytaknąłem ochoczo. - Tadzio właśnie jest dziennikarzem. Dużo jeździ po świecie i pisuje reportaże.

- Teraz już wiem, o kogo chodzi. - Piękna blondyna odetchnęła z ulgą. - Widzi pan - dodała po chwili - mam bardzo słabą pamięć do nazwisk. Zresztą tyle ludzi poznałam w ostatnich czasach. Gdybym zobaczyła tego pana, to na pewno...

Roześmiałem się.

- Doskonale panią rozumiem. Ja także bardzo często nie pamiętam nazwisk moich znajomych. Czasami bywa to kłopotliwe. Zdarzało mi się, że musiałem kogoś przedstawić i zapomniałem, jak on się nazywa.

Temat został wyczerpany. Nie bardzo wiedziałem, jak dalej prowadzić ten dziwny dialog. Za wszelką cenę chciałem się czegoś dowiedzieć. Bojąc się, że nasza rozmowa utknie na martwym punkcie i że będę się musiał pożegnać, spytałem:

- Czy zastałem panią hrabinę Monitelli? Potrząsnęła głową.

- Bardzo żałuję, ale ciocia wyjechała dzisiaj rano na Sycylię. Sądzę, iż pobędzie tam dłuższy czas. Rzymska zima nie bardzo jej służy. Za dużo wilgoci.

Przez pewien czas podtrzymywałem temat meteorologiczny, ale ponieważ nie można w nieskończoność rozmawiać o pogodzie, nawiązałem więc do owej kolacji, na którą zostałem zaproszony. Liczyłem na to, że efektowna blondyna podająca się za Alicję spyta mnie, w jakich okolicznościach poznałem hrabinę, że mimowoli zdradzi się jakimś słowem, zapłacze w tej mistyfikacji. Ale gdzie tam. Trzymała się twardo, nie dając się sprowokować i przyjmując wszystko, co mówiłem, z naturalną prostotą. Chwilami zaczynałem się obawiać, czy nie zwariowałem. Nie wiedziałem już, co myśleć o tej całej historii. Czuję, że tracę grunt pod nogami. W końcu miałem dość rozmowy, zrozumiałem, że niczego się nie dowiem i że należy się wycofać. Raz jeszcze przekazałem pięknej pani pozdrowienia od Tadzia Zakrzeńskiego, podziękowałem za miłą rozmowę i złożyłem wytworny ukłon pożegnalny...

Łysy lokaj o małych rękach odprowadził mnie do bramy. Ponury furtian w przeciwsłonecznych okularach wcale się nie pokazał. Zgrzytnęła ciężka żelazna krata i znalazłem się na ulicy, a właściwie na owej prywatnej drodze.

Oświetlenie było tu raczej skąpe, a powietrze pachniało wilgotną ziemią i gnijącymi liśćmi. Szedłem wolno, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Nie miałem pojęcia, co mógłbym zdziałać w tej sytuacji. Nie widziałem żadnego punktu zaczepienia, żadnego śladu, którym mógłbym pójść. Do tego niesamowitego domu nie miałem po co wracać. Pod jakim pretekstem wybrać się tam ponownie? A zresztą co by to dało, gdybym znowu odwiedził tę majestatyczną blondynę? Nic. Nasza rozmowa nie wyszłaby prawdopodobnie poza banalną, konwencjonalną tematykę. Nie mogłem przecież spytać wprost, co znaczy ta mistyfikacja. Jeżeli rzeczywiście była to mistyfikacja. Straciłem już w ogóle wszelką orientację. Nie wiedziałem, kto jest kim. Nie miałem żadnej pewności, która z tych dwóch była prawdziwą, autentyczną Alicją Sarnowską. A może tamta, którą poznałem w samolocie, podszyła się pod to nazwisko? Może właśnie prawdziwa jest ta? Jak sprawdzić? Czy w ogóle piękna blondyna wie coś o istnieniu tamtej, która

została otruta? A może to jakaś szatańska intryga hrabiny? Hrabina podobno wyjechała na Sycylię, a Sycylia to posepna wyspa, na którą pada groźny cień mafii. Krwawa vendetta, zbrodnie, tajemnicza, nieuchwytna organizacja, terror.

W mrocznej alei poczułem się niezbyt pewnie. A nuż jestem śledzony” - pomyślałem i rozejrzałem się dokoła. Nigdzie jednak nie dojrzałem ani posepnego członka mafii, ani nawet zwykłego przechodnia. To mnie trochę uspokoiło, ale niezupełnie i nie na długo. Po chwili ogarnęły mnie nowe wątpliwości. W rozpalonej głowie pojawiła się myśl, że ktoś chce mnie sprowokować, a ta mistyfikacja obliczona jest na moją konkretną reakcję. Wszystko o mnie wiedzą i robią mnie w konia. Po prostu dałem się nabrać - następnym razem może się okazać, że nikt nigdy o żadnej Alicji Sarnowskiej nawet nie słyszał. Uśmiechnąłem się gorzko i pomyślałem, że gdybym nawet wbrew dyrektywom Downara zawiadomił miejscową policję, to co z tego? Co sprawdzą? Czego się dowiedzą? Ze tu a tu mieszka niejaka signora Sarnowska, Polka z pochodzenia, albo że w ogóle nikt nigdy o takiej osobie nie słyszał. Ośmieszę się. Wezmą mnie za wariata, za jakiegoś maniaka. Nie, nie, to nie miałyby najmniejszego sensu. Wobec tego co robić? Wracać z niczym do Warszawy? Prawdę mówiąc, taka koncepcja również nie bardzo mi odpowiadała. Zabrałem już tak daleko, że byłoby mi trochę głupio zrezygnować, wycofać się z podjętej akcji.

Nagle posłyszałem za sobą szybkie kroki. Ktoś biegł. Zebrałem się w sobie, szykując się do odparcia ewentualnego ataku. W tej pustej alei nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Nie wiedziałem, czy przyjdzie mi się zmierzyć z napastnikiem uzbrojonym w długi mauretański sztylet, czy też w pistolet maszynowy. Żadna z tych ewentualności nie napawała mnie otuchą. Postanowiłem bronić się do upadłego.

Zobaczywszy nadbiegającą dziewczynę, uspokoiłem się.

- Buona sera, signore - powiedziała zduszonym szeptem.

Poznałem ją od razu. Te same dzinsy i ten sam brudny sweter beżowego koloru. Luiza.

- Buona sera, signorina.

Byłem uszczęśliwiony tym niespodziewanym spotkaniem. Po pierwsze, nie groziło mi, przynajmniej na razie, żadne niebezpieczeństwo, a po drugie, mogłem się czegoś ciekawego dowiedzieć. I nie omyliłem się

- Cieszę się, że pan przyszedł - szepnęła konspiracyjnie, jakby powierzając mi jakąś tajemnicę niezwyklej wagi. Chwyliła mnie za rękę i mówiła dalej równie cicho: - Nie mogę z panem tutaj rozmawiać. Boję się. Niech mi pan da swój adres. Przyjdę do pana dzisiaj wieczorem, między dziewiątą a dziesiątą. Dobrze? Będzie pan u siebie?

Jeżeli ktoś mówi do nas szeptem, to mimo woli i my zniżamy głos. Jest w tym coś zaraźliwego. Zacząłem więc szeptać, nachylając się do ucha dziewczyny. Podałem jej swój adres i powiedziałem, że będę na nią czekał.

Zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Znowu zostałem sam. Przyspieszyłem kroku. Wołałem nie narażać się na inne spotkania.

Wsiadłem w jakiś autobus, który mnie zawiózł na via del Corso. Stamtąd już miałem niedaleko do mojego pensjonatu. Na via del Tritone zjadłem w barze dwa sandwicze z szynką i wypilem sok pomarańczowy. Potraktowałem ten posiłek jako kolację, wychodząc ze słusznego założenia, że po pierwsze, należy z rozwagą wydawać dolary, a po drugie, nie powinienem zbyt obciążać żołądka. Zbyt intensywne trawienie wpływa ujemnie na bystrość umysłu, zdolność szybkiego kojarzenia faktów i wysnuwania prawidłowych wniosków. Po drodze kupiłem trochę słodyczy, żeby mieć czym poczęstować Luizę. Nie byłem pewien, czy przyjdzie, ale wołałem się przygotować do jej wizyty.

Wdowa po tureckim magiku chciała poczęstować mnie soczewicą i miała ogromną ochotę kontynuować opowieści ze swego burzliwego życia. Udało mi się jednak wyłgać, tłumacząc się bólem głowy, i koniecznością położenia się do łóżka. Zrezygnowałem zarówno z soczewicy, jak i z barwnych przygód pani Ravinelli.

Z uczuciem niewypowiedzianej ulgi zamknąłem się w swym pokoju. Zapaliłem stojącą przy łóżku lampę, zdjąłem buty,

wyciągnąłem się wygodnie i zacząłem czytać kupioną na lotnisku sensacyjną powieść.

Dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem akurat na fabułę związaną z mafią, z gangsterami i handlarzami narkotyków. Krwawe porachunki pomiędzy konkurencyjnymi bandami zapierały mi dech w piersiach. Nieszczęsny tajny agent co chwila był maltretowany przez coraz to innych przestępców i trudno było zrozumieć, jak to się dzieje, że w ogóle jeszcze żyje.

Przerwałem wreszcie tę mrozącą krew w żyłach lekturę, wstałem spocony, oszołomiony i zacząłem krążyć po pokoju. Po chwili pojawiła się w drzwiach pani Ravinelli.

- Może panu dać proszek od bólu głowy? - spytała.

Nie wypadało odmówić, choć przesadna troskliwość mojej gospodyni zaczęła mnie irytować.

Luiza przysłała piętnaście po dziewiątej. Signora Ravinelli wprowadziła ją do mojego pokoju z ponurą miną. Najwyraźniej nie darzyła sympatią młodej dziewczyny.

- Proszę, zechce pani usiąść - powiedziałem podsuwając Luizie krzesło.

- Czy możemy tu swobodnie rozmawiać? - spytała. Zrobiłem niewyraźną minę. Zrozumiała.

- Niedaleko stąd, na Piazza Barberini, jest bardzo sympatyczna kawiarnia. Chodźmy tam.

Zgodziłem się chętnie. Nie miałem żadnej pewności, czy wdowa po tragicznie zmarłym Turku nie ma zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami.

Na ulicy zauważyłem, że Luiza jest jakaś przygnębiona, jej dawny tupet i nonszalancja zniknęły bez śladu. Szła koło mnie milcząca, ze spuszczoną głową i zdawała się być pogrążona w ponurych myślach. Niczym nie przypominała tej pewnej siebie, rozhuwanej dziewczyny, którą zobaczyłem podczas proszonej kolacji.

W kawiarni znaleźliśmy zaciszny stolik. Zamówiłem herbatę, a moja towarzyszka poprosiła o gorące mleko i drożdżowe ciastko.

- Uciekłam z domu - powiedziała niespodziewanie. Następnie spojrzała na mnie wyczekująco, jakby spodziewała się jakiejś żywej reakcji.

Wiadomość ta jednak nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Spokojnie wsypałem cukier do herbaty, zamieszałem go łyżeczką i odczekałem chwilę.

- Dlaczego pani uciekła z domu? - spytałem.

- Bo już dłużej nie mogę znieść tego wszystkiego.

- Czego pani nie może znieść?

- To nie pana sprawa.

Umilkłem. Nie miałem najmniejszego zamiaru dopypywać się i zmuszać jej do zwierzeń. Nie, to nie.

- Przepraszam - powiedziała po chwili. - Jestem nieuprzejma.

- Jest pani bardzo zdenerwowana.

- Nie gniewa się pan na mnie?

- Nie mam zwyczaju gniewać się na kogokolwiek - uśmiechnąłem się. - Jeżeli nie odpowiada mi czyjeś towarzystwo, to rezygnuję z niego, ale bez gniewu.

- Jeszcze raz bardzo pana przepraszam. Rzeczywiście jestem zdenerwowana.

- Może pani zajmie się mlekiem - zaproponowałem łagodnie. - Wystygnie.

Posłusznie wypila mleko i zjadła drożdżowe ciastko. Milczałem, czekając na dalszy ciąg wypadków. Kiedy jednak ta niema scena zaczynała się zbyt długo przedłużać, postanowiłem delikatnie nawiązać rozmowę.

- Panno Luizo... - powiedziałem miękko i serdecznie, kładąc delikatnie swoją dłoń na rękę dziewczyny. - Proszę się uspokoić i powiedzieć, o co chodzi. Przecież to pani chciała się ze mną zobaczyć. Wyczuwam, że ma pani jakieś poważne kłopoty. Proszę mi wierzyć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pani pomóc. Muszę jednak wiedzieć, co panią dręczy.

- Nie mogę, już dłużej nie mogę - wyszeptala, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. - Jest pan przecież zupełnie obcym człowiekiem, ale nie mam nikogo, absolutnie

nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc, o radę, komu mogłabym powiedzieć...

- Co powiedzieć? - spytałem ostrożnie.

- To wszystko jest takie niesamowite, takie przerażające.

Przyjrzałem się jej uważnie. Siedziała jakoś dziwnie sztywna, zapatrzona w dal. Wydało mi się, że miała rozszerzone źrenice.

Pomyślałem niespokojnie, że, być może, mam przed sobą narkomankę albo obłąkaną. Zaczynałem żałować, że się z nią umówiłem. Obawiałem się kłopotów.

- Zapewne pan się zastanawia nad tym, czy ja nie zwariowałam - powiedziała, jakby odgadując moje myśli.

- Ale skądże znowu - zaproponowałem bez przekonania. - Raczej usiłuję odgadnąć, dlaczego pani jest tak wyczerpana nerwowo.

- Był pan u nas.

- Byłem. Przecież pani wie.

- I rozmawiał pan z nią. Skinąłem głową.

- Rozmawiałem z bardzo miłą i piękną panią, która przedstawiła mi się jako Alicja Sarnowska.

- I nie zdziwiło to pana?

- Widzi pani... - odparłem wymijająco - nie jestem młodym człowiekiem i tyle już w życiu widziałem niezwykłych rzeczy, że przestałem się czemukolwiek dziwić.

- Przecież wtedy na kolację przywiozła pana Alicja Sarnowska.

- Tak.

- I to był zupełnie kto inny. Uśmiechnąłem się.

- Przyznaję, że między tymi dwiema paniami nie dopatrzyłem się najmniejszego podobieństwa.

- To już trzecia...

- Trzecia? - spytałem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Ta blondyna, z którą pan rozmawiał, to już trzecia Alicja Sarnowska.

Zatkało mnie.

- Co też pani mówi?

- Nie wierzy mi pan?

- Przyznaję, że trochę trudno mi w to uwierzyć.

Niecierpliwym ruchem odgarnęła rozczochrane, spadające jej na czoło włosy.

- Nie rozumiem, dlaczego mi pan nie wierzy. Jeżeli mogą być dwie Alicje Sarnowskie, to równie dobrze mogą być trzy albo nawet cztery.

- Cztery?!

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Może będzie i czwarta. Ta na razie jest trzecia.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć za dobrą monetę słowa tej zwariowanej dziewczyny. Zresztą w głębi duszy przyznałem jej rację. Bo rzeczywiście, jeżeli mogą być dwie Alicje Sarnowskie, to dlaczego niby nie trzy?

- Która według pani jest Alicją Sarnowską numer jeden? - spytałem.

- Pierwsza nie żyje. Ta, która przywiozła pana do nas na kolację - to druga. Jestem pewna, że ona także już nie żyje.

- Dlaczego pani tak przypuszcza? Wzruszyła ramionami.

- Tak mi się zdaje. One wszystkie muszą zginąć. To jakieś przekleństwo.

- Hm. - Uśmiechnąłem się nieznacznie. Nie jestem skłonny poddawać się nastrojom mistycznym. - A co się stało z Alicją Sarnowską numer jeden?

- Oficjalna wersja głosi, że zginęła w wypadku samochodowym. Ja osobiście jestem przekonana, że ją wykończyli.

- Kto ją wykończył?

- Oni.

- Jacy oni?

Potrząsnęła głową. Znowu włosy spadły jej na czoło, zasłaniając oczy.

- Żebym to ja wiedziała.

- Dlaczego pani powiedziała w liczbie mnogiej oni? - próbowałem ją wy badać.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że to jakaś sekta, jakiś klan, może mafia. To wszystko jest takie dziwne, takie tajemnicze.

- Czy to prawda, że pani matka wyjechała na Sycylię?

- To nie jest moja matka. Mój ojciec ożenił się po raz drugi. Ta stara wiedźma to moja macocha.

- Widzę, że nie łączą pani zbyt serdeczne stosunki z hrabiną Monitelli - powiedziałem poważnie.

- A czy pan kiedy widział pasierbicę która pozostawałaby w dobrych stosunkach ze swoją macochą?

Nie miałem zamiaru podtrzymywać tego tematu. Chciałem zdobyć jak najwięcej konkretnych wiadomości.

- A więc macocha pani wyjechała na Sycylię?

- Tak przynajmniej wszystkim powiedziała, ale z nią to nigdy nie wiadomo. Zawsze kręci, kłamie, wymyśla różne niestworzone historie. Nieraz zastanawiałam się nad tym, dlaczego ludzie kłamią.

- Przeważnie dlatego, żeby ukryć prawdę - uśmiechnąłem się. - Czy pani jest pewna, że istniała rzeczywiście ta Alicja Sarnowska, która zginęła w wypadku samochodowym? Czy też może wie pani o tym ze słyszenia? Ktoś pani opowiadał...

Roześmiała się. A śmiech ten nie zabrzmiał wesoło.

- Widzę, że mi pan nie wierzy. Czy pan chce, żebym pana zawiozła na jej grób?

- To mogłoby być ciekawe.

- Dobrze. Zawiozę pana. Ona jest pochowana na cmentarzu w Trevignano.

- Czy to daleko od Rzymu?

- Nie bardzo. Może osiemdziesiąt kilometrów, może trochę więcej.

- Nie mam samochodu - powiedziałem strapiiony.

- Nic nie szkodzi. Pożyczę wóz od mojej przyjaciółki. Chce pan pojechać jutro?

Zawahałem się. Eskapada z tą niesamowitą dziewczyną wydała mi się trochę ryzykownym przedsięwzięciem.

Z niespodziewaną zażyłością poklepała mnie po ramieniu.

- Niech się pan nie boi. Ja bardzo dobrze i ostrożnie prowadzę. Mam prawo jazdy. Mogę pana zapewnić, że przestrzegam przepisów drogowych. No więc jak? Chce pan pojechać?

- Chyba tak. Jeżeli mnie pani zapewnia, że tak ostrożnie pani prowadzi.;; o;

- Będę z panem jechała jak z własnym pradziadkiem.

Nie bardzo mnie zachwycił teii pradziadek. Uśmiechnąłem się kwaśno.

- Zgoda - powiedziałem. - Pojedziemy jutro do Trevignano. A teraz może porozmawiamy trochę o pani.

- O mnie? - spojrzała zdziwiona.

- Tak. Na początku naszej rozmowy powiedziała mi pani, że uciekła z domu.

- To prawda.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Boję się. Ten dom jest jakiś niesamowity, dziwny, straszny. Mam wrażenie, że po wszystkich tych wielkich, ponurych pokojach krąży śmierć.

- A może pani ma nadmiernie wybujałą wyobraźnię?

- Nie, nie. To nie jest wyobraźnia. Ja się tam czuję okropnie. Nieraz budzę się w środku nocy w panicznym strachu, cała złana potem. Zdaje mi się, że za chwilę ktoś wejdzie i mnie zamorduje. Pan nie wie, co to znaczy.

- Czy pani nie czytuje zbyt dużo powieści kryminalnych?

- Pan się ze mnie śmieje.

- Broń Boże. Mówię zupełnie poważnie. Dzisiejsze powieści kryminalne, szczególnie te amerykańskie, mogą wywierać fatalny wpływ na system nerwowy.

Energicznie potrząsnęła głową.

- To nie są powieści, proszę pana, to nie są powieści. Wielu spośród ludzi, którzy byli gośćmi w naszym domu, już nie żyje. Ja się boję. Po prostu się boję. Czy pan poznał u nas takiego handlowca wiedeńskiego? Nazywał się chyba Hassel.

- Tak. Był wtedy na kolacji.

- Już nie żyje.

- Nie żyje? A co się z nim stało?

- Zastrzelili go w Neapolu.

- Kto? Dlaczego?

- Nie wiem.

Zrobiło mi się nieswojo. Przecież i ja także byłem gościem hrabiny Monitelli.

- A Alicja Sarnowska... - mówiła dalej Luiza. - Jestem pewna, że ta, która przywiozła pana do nas na kolację, też już nie żyje. No... niech pan powie. Żyje czy nie?

- Nie wiem.

- Nie chce mi pan powiedzieć. Ale ja wiem, że ona już nie żyje. I tę blondynę, która dzisiaj z panem rozmawiała, także wykończą. Jestem pewna. Mam już tego wszystkiego dosyć.

- Gdzie pani teraz mieszka?

- U przyjaciółki. Na razie. Właśnie od niej chcę pożyczyć wóz. A potem nie wiem, co z sobą zrobię. Ale tam już nie wrócę. Za nic.

- A co z pani bratem?

- To mój przyrodni brat, ale bardzo go kocham, ogromnie boję się o niego.

- Dlaczego?

- Bo wydaje mi się, że Roberto wpadł w złe towarzystwo, takie naprawdę złe. Rozumie pan?

- Nie bardzo. Co pani ma na myśli?

- Narkotyki.

- Przypuszcza pani, że brat się narkotyzuje? Tego nie wiem, ale Roberto łatwo ulega wpływom, a ci ludzie, z którymi teraz przestaje...

- Czy wie pani coś konkretnego na temat tych ludzi?

Uciekła spojrzeniem w bok. Wyczułem, że się nagle spłoszyła.

- Nie wiem... To znaczy... Tak mi się zdaje...; To są tylko przypuszczenia... Czasami pewne rzeczy się wyczuwa, tak... tak intuicyjnie...

- Czy brat pani także się wyprowadził z domu?

- Nie. Roberto w dalszym ciągu tam mieszka, ale teraz go nie ma, bo wyjechał.

- Dokąd?

- Zorganizował z przyjaciółmi zespół muzyczny. Jeździ z koncertami.

- Występują w prowincjonalnych miastach?

- Przeważnie. Ale wyjeżdżają także i dalej. Jeden z kumpli Roberta to bogaty facet. Ma własny jacht. Byli już tym jachtem no Sycylii, na Sardyni, w Grecji, w Jugosławii. Mają powodzenie.

- I pani przypuszcza, że członkowie tego zespołu muzycznego razem z właścicielem jachtu zajmują się handlem narkotykami?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem... Ja nic nie wiem... Czasem tak coś palnę. Niech pan nie bierze tego poważnie.

Pochyliłem się nad stolikiem i spojrzałem jej prosto w oczy.

- Panno Luizo - powiedziałem poważnie - jeżeli pani chce, żebym pani pomógł, to proszę o całkowitą szczerłość. Musi mi pani powiedzieć cała prawdę. W takich sytuacjach nie wolno kłamać ani cokolwiek zatajać.

- Ależ ja nie kłamię!

- Ale również nie ma pani ochoty we wszystko mnie wtajemniczać.

- Czasem bezpieczniej jest pewnych rzeczy nie wiedzieć. Mam nawet wyrzuty sumienia, że w ogóle z panem rozmawiam. Jakby nas ktoś zobaczył...

Mimo woli się rozejrzałem. O dwa stoliki dalej siedział barczysty mężczyzna, jakby żywcem wyjęty z gangsterskiego filmu. Szeroka, mięsista twarz o brutalnym wyrazie, niskie czoło i ogromne, czerwone dłonie. Pił piwo i mogło się zdawać, że czynność ta pochłania go całkowicie. Poczulem niepokój. Pomyślałem, że ten amator piwa dałby mi łupnia, gdyby przyszło do starcia wręcz.

Postanowiłem jednak nie poddawać się przykremu nastrojowi i po krótkim milczeniu wróciłem do pogawędki z Luizą.

- Niech mi pani powie, ale tak zupełnie szczerze, czego się pani po mnie spodziewa?

- Czego się po panu spodziewam?

- Właśnie. Chciałbym to wiedzieć, bo przecież pragnęła pani ze mną pomówić, a na początku naszej rozmowy usłyszałem, że nie ma pani nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc, o

radę... Jeszcze raz więc pytam, jak pani sobie tę moją pomoc wyobraża? Jestem człowiekiem, który lubi operować konkretami. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu poczułam się straszliwie samotna i zagubiona. Potrzebna mi była obecność kogoś życzliwego, kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Nie chciałam, nie mogłam być sama.

- A ta pani przyjaciółka, u której pani mieszka?

- Silvana? - Roześmiała się. - To bardzo miła, poczciwa dziewczyna, ale kompletna kretyńka. Nic nie rozumie. Z nią w ogóle nie warto rozmawiać. Jedyne, co ją interesuje, to mężczyźni i łóżko. Nic więcej dla niej nie istnieje.

- Przykre - powiedziałem z przekonaniem. - Ale wracając do mojego pytania, co mogę dla pani zrobić?

Z uśmiechem dotknęła mojej dłoni.

- W tej chwili chyba nic. Wystarczy mi świadomość, że pan istnieje, że mogę się do pana w razie czego zwrócić z prośbą o pomoc. To dla mnie ważne. Nie czuję się taka okropnie sama.

Zapewniłem ją, że oczywiście może na mnie liczyć, bo w każdej chwili jestem skłonny przyjść jej z pomocą, służyć radą. Rozstaliśmy się jak para dobrych, serdecznych przyjaciół. Chciałem ją odprowadzić do domu, ale stanowczo się sprzeciwiła.

- Nie, nie. Niech pan idzie do siebie. Wolę, żeby nas razem nie widziano. Nie mam pewności, czy nie jestem śledzona. Jutro przyjadę po pana około dziewiątej. Ciao.

Wróciłem do pensjonatu.

Signora Ravinelli była trochę nadęta.

- Nie traci pan czasu - powiedziała z przekąsem i poszła do swego pokoju.

Nie przeczę, że było mi to bardzo na rękę.

Rozmowa z Luizą wywołała we mnie sprzeczne uczucia. Z jednej strony szczerze współczułem tej młodziutkiej dziewczynie, osamotnionej, zaszczutej, osaczonej przez jakieś ponure tajemnice, z drugiej strony jednak zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że powinienem wszystkie te niesamowite wiadomości traktować z dużą rezerwą. Nie

miałem przecież żadnej pewności, że Luiza nie przeżywa jakichś stanów maniakalnych. Młode dziewczęta często ulegają urojeniom nie mającym pokrycia w rzeczywistości. Niejednokrotnie same z czasem zaczynają wierzyć w rozmaite mity, które są wyłącznie tworam i ich wyobraźni.

Sen długo nie przychodził. Kiedy wreszcie zasnąłem, śnił mi się uparcie ów ponury drab z kawiarni.

Rano obudziłem się zmęczony i w nie najlepszym nastroju. Nie byłem pewny, czy dobrze zrobiłem, godząc się na tę wycieczkę z Luizą. Przy goleniu pojawiły się dalsze wątpliwości. „A nuż to jest prowokacja” - myślałem niespokojnie. - „Może ta dziewczyna odgrywa wobec mnie doskonale wyreżyserowaną komedię? Może dobrowolnie dałem się wciągnąć w zasadzkę? Może wywiezie mnie za miasto, a tam wykończą mnie jej kumple?” Nie poprawiło mi to humoru. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy nie zrezygnować z tej wycieczki. Zaraz jednak odrzuciłem taką możliwość. Jeżeli już się czegoś podjąłem, to muszę konsekwentnie brnąć Dalej.

* * *

Luiza pojawiła się za piętnaście dziewiąta. Była gładko uczesana, wyglądała świeżo i prezentowała się schludnie. Zamiast połatanych džinsów i brudnego swetra miała na sobie brązowe spodnie i skórzaną kurtkę tego samego koloru, ożywioną ciemnozieloną apaszką.

- Halo! - zawołała od progu, wywijając ogromnymi przeciwslonecznymi okularami. - Jest pan gotowy? - Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła mnie za rękaw. - Chodźmy.

Przed domem rozejrzałem się, szukając samochodu. Luiza pokazała mi stojącą pod murem lambrette.

- Przykro mi, ale nie dostałam wozu - powiedziała wesoło, jakby jej w ogóle ten smutny fakt nie zmartwił i jakby jej wcale nie było przykro. - Ojciec Silvany zabrał wóz i pojechał do Mediolanu. Musimy zadowolić się tym starym gratem. Ale niech się pan nie boi.

Zrobiło mi się trochę głupio. Jeszcze nigdy w życiu nie siedziałem na skuterze i uważam ten rodzaj pojazdu

mechanicznego za idealny środek do przenoszenia się na tamten świat.

- Niech się pan niczego nie boi - powtórzyła Luiza, widząc wahanie malujące się na mojej twarzy. - Obiecuję, że będę jechała bardzo wolno i bardzo ostrożnie. Nic się panu nie stanie. Proszę, niech pan siada i mocno się trzyma.

Cóż miałem robić? Usiadłem i bardzo mocno się trzymałem.

Luiza manewrowała tym maleńkim motorkiem po mistrzowsku. Prześlizgiwała się z cyrkową nieomal zręcznością pomiędzy rosnącymi falami samochodów, wykorzystując najmniejsze szparki, każdy najwęższy przesmyk i wyprzedzając z pewną nonszalancją duże, ciężkie krążowniki szos. Przyszło mi na myśl, że tylko takie miniaturowe pojazdy mają rację bytu na ulicach wielkich miast.

Wyjechaliśmy na szosę. Luiza zwiększyła szybkość, co mnie mocno zaniepokoiło, ale nie zareagowałem. Postanowiłem wystąpić w roli asa motoryzacji.

- Czy ma pan pietra? - spytała.

- Ależ skąd - zaprzeczyłem nonszalancko. - Znakomicie mi się jedzie.

- Można jeszcze prędeżej?

- Można, ale po co. Nie widzę powodu, abyśmy mieli się spieszyć. Chciałbym trochę zobaczyć okolice Rzymu.

Nacisnęła gaz. Pęd powietrza uderzał mnie w twarz i dmuchał w uszy. Trzymałem się, jak mogłem najmocniej, uważając, żeby się nie omsknąć z wąskiego siodełka. W tych warunkach nie było mowy o możliwości zachwycania się malowniczym krajobrazem. Moja uwaga koncentrowała się wyłącznie na szosie oraz na utrzymaniu równowagi. Było to o wiele bardziej absorbujące aniżeli podróżowanie samolotem. Tam byłem zdany na łaskę losu oraz pilotów. Tutaj wszystko zależało od szybkiego refleksu młodziutkiej dziewczyny i przytomności mojego umysłu.

Mimo dużej szybkości jazda lambrettą ciągnęła się w nieskończoność. Miałem już tego dosyć. Bolały mnie wszystkie

gnaty i szumiało mi w głowie. Nie mam pojęcia, co za szalenieć mógł wymyślić taki potworny pojazd jak skuter.

Wszystko jednak ma swój kres. Nasza szaleńcza jazda także wreszcie dobiegła końca. Trevignano. Małe miasteczko, w którym słońce odbija się złotym blaskiem od żółtych murów starych domów.

- Cmentarz jest tam pod górą - powiedziała Luiza, zmniejszając szybkość przy wjeździe na ulice miasta.

W Trevignano umarli nie mają takich wygod jak u nas na Powązkach. Niewiele jest grobów, na który wsuwa się trumnę, zamyka betonowa tabliczka półkołem ciągną się wysokie, grube mury, a w nich miejsca na trumny. Mały, prostokątny otwór, w który wsuwa się trumny, zamyka betonowa tabliczka z imieniem i nazwiskiem, datą urodzenia i datą śmierci. I tylko wążiutka półeczka z trudem mogąca pomieścić wiązanek kwiatów.

Luiza dobrze знаła drogę. Kiedy doszliśmy do krańca owego muru, wypełnionego paroma kondygnacjami trumien, zatrzymała się i gwałtownie szarpnęła mnie za rękę.

- Niech pan spojrzy! Tam! Tam! - zawołała podniecona, wskazując palcem w górę.

Nie od razu zrozumiałem, o co jej chodzi. Wy tłumaczyła mi. Na tablicy, którą pokazywała, widniał napis: Anna Maria Toriani, urodzona 23 czerwca 1923 roku, zmarła 27 października 1966 roku.

- Wiedziałam, wiedziałam, że tak będzie - Luiza była bardzo zdenerwowana. - Kanalie, łotry, bandyci, mordercy...

Mocno ująłem ją pod rękę.

- Niech się pani uspokoi - powiedziałem energicznie. Zauważyłem, że ludzie zaczynają się nam ciekawie przyglądać.

- Widzi pan, co zrobili? Widzi pan?

- Czy pani jest pewna, że tutaj pochowano Alicję Sarnowską? - spytałem.

- Nie mam żadnej wątpliwości. Widzi pan? Obok płyta z różowego marmuru. Pamiętam doskonale.

- To znaczy, że komuś zależy na tym, aby żaden ślad nie pozostał po Alicji Sarnowskiej numer jeden.

- Oczywiście.
- Ale dlaczego? W jakim celu? Wzruszyła ramionami.
- Tego nie wiem.
- Czy pani pamięta, w którym roku pocEowano tu Alicję Sarnowską?
- Chyba w siedemdziesiątym pierwszym.
- I według oficjalnej wersji zginęła w wypadku samochodowym?
- Tak. Ale to nieprawda. Jestem pewna, że ją zamordowali.
- Kto?
- Nie wiem.
- Czy pani przypuszcza, że w tę dziwną aferę jest zamieszana pani macocha?
- To niewykluczone, chociaż nie mam żadnych podstaw, aby tak twierdzić.

Wyjąłem z kieszeni notes, długopis i zacząłem krążyć po cmentarzu. Po pewnym czasie udało mi się zanotować dwa nazwiska: Giuseppe Sartollini i Renato Sarboni.

Luiza przyglądała mi się z zaciekawieniem.

- Co pan robi? - spytała. - Do czego to panu potrzebne?
- Uśmiechnąłem się.
- Tak na wszelki wypadek. Pewne informacje mogą nam się przydać... Chciałbym złożyć wizytę w zarządzie cmentarza.

Spojrzała na zegarek.

- Zaprowadzę pana. Mam nadzieję, że jeszcze nie zamknęli.

Przyjął nas chudy, drobny człowieczek z zaczerwienionymi oczami. Wyjaśniłem mu, że przyjechałem z Polski na grób swej kuzynki Alicji Sarnowskiej, ale w żaden sposób nie mogę odnaleźć tego grobu. Dodałem jeszcze kilka uprzejmych słów, a następnie zręcznym ruchem wyjąłem z portfela dwa tysiące lirów i jakby nigdy nic położyłem je w okienku.

Wziął. Ani się nie zawahał, ani się nie zdziwił. Podrapał się w łysinę, przyglądał mocno uczernione wąsiki i zniknął. Po chwili wrócił, niosąc pod pachą potężnych rozmiarów księgę.

- Jak pan powiedział? Jakie nazwisko?

- Alicja Sarnowska. Zmarła w 1971 roku. Szukał bardzo długo. Sapał, wzdychał ciężko, wreszcie powiedział.

- Nie ma.

- Czy macie tylko ten jeden rejestr? - spytałem.

- Z ostatnich lat tylko ten.

Podaliśmy nazwiska Giuseppa Sartolliniego i Renata Sarboniego z tego samego roku. Znowu szukał i znowu powiedział: - Nie ma.

- Czy mogę rzucić okiem na rejestr?

- Proszę, ale musi pan wejść do środka, bo książka nie przejdzie przez okienko.

Wszedłem.

Bardzo szybko przekonałem się, że jedna strona rejestru została zręcznie wycięta żyłką, a wraz z nią znikły takie nazwiska, jak Sarnowska, Sartollini, Sarboni. Teraz już miałem pewność, że Luiza nie fantazjuje.

Serdecznie podziękowałem właścicielowi uczernionych wąsików, zapytując go o samopoczucie oraz o zdrowie całej rodziny. Pożegnaliśmy się jak najlepsi przyjaciele wśród uśmiechów, ukłonów i wzajemnych życzeń wszelkiej pomyślności. Luiza czekała na mnie cierpliwie.

- No i co? - spytała. - Wydarli tę stronę? Wziąłem ją mocno pod rękę.

- Zgadła pani. Ale nie mówmy tak głośno. Kiedy wychodziliśmy z zarządu cmentarza, jakoś instynktownie odwróciłem się w prawo i spostrzegłem, jak ów posepny typ, który pił piwo w kawiarni na Piazza Barberini, wsiadał pośpiesznie do samochodu. Nie mogłem mieć już żadnych złudzeń. Byłem śledzony.

Stwierdzenie tego faktu bynajmniej nie napełniło mnie optymizmem, natomiast utwierdziło w przekonaniu, że moje poszukiwania idą we właściwym kierunku. Należało teraz pomyśleć o zapewnieniu sobie jakiegoś bezpieczeństwa. Złożenie kości na cmentarzu w Trevignano nie pociągało mnie w najmniejszym stopniu. Zaczynałem żałować, że nie skorzystałem z propozycji Downara i nie zabrałem ze sobą pistoletu.

- Teraz się pan przekonał, że nie kłamałam - powiedziała Luiza biorąc mnie pod rękę. - Jestem piekielnie głodna. Chodźmy coś zjeść.

Zgodziłem się chętnie; i ja także czułem potrzebę pokrzepienia nadwątlonych sił.

W skromnej trattorii zamówiliśmy pastasciutę, smażoną rybę, sałatę i pół litra wina.

Podczas jedzenia rozmyślałem nad dalszą akcją. Powiniennem sobie opracować jakiś plan działania, ale nie miałem zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Zrozumiałem, że o wiele łatwiej jest pisać o detektywach, aniżeli samemu prowadzić śledztwo.

Luiza w milczeniu zaspokajała głód. Uporała się ze swoją porcją, wypila wino, wytarła usta papierową serwetką i spojrzała na mnie wesoło.

- No i co? - spytała z nutą triumfu w głosie.

- Ano nic - odparłem ze stoickim spokojem.

- Przekonał się pan, że nie bujałam, co?

- Rzeczywiście ta historia wygląda bardzo podejrzanie - przyznałem.

Pochyliła się nad stolikiem.

- To jest afera na wielką skalę, proszę pana. Przeczuję, że tu jeszcze będzie niejedno morderstwo.

Zrobiło mi się smutno. Przysłowiovymi oczami wyobraźni widziałem moje doczesne szczątki wsuwane przez dobrych ludzi do owej wąskiej i długiej krypty, zaopatrzonej w tabliczkę z imieniem i nazwiskiem oraz dwiema datami.

Szybko jednak otrząsnąłem się z tych melancholijnych myśli. Niepokoił mnie wprawdzie barczysty gangster, który uparcie deptał mi po piętach, ale postanowiłem nie przejmować się nim zbyt. Rozumowałem, jak mi się wydawało, logicznie, że dopóki nie będę stanowił dla nich rzeczywistego zagrożenia, nie zdecydują się na zlikwidowanie mnie. Zamordowanie cudzoziemca może pociągnąć za sobą nieprzewidziane komplikacje. Taką rzecz robi się tylko w ostateczności.

- Wracamy? - spytała Luiza.

Zawahałem się. Miałem ochotę trochę porozmawiać z tą dziewczyną i czegoś się jeszcze dowiedzieć. Zaproponowałem więc, żebyśmy się napili kawy. Uregulowałem rachunek i przenieśliśmy się do pobliskiego malutkiego baru, w którym stały trzy miniaturowe stoliczki. Czytelnikom, którzy nigdy nie odwiedzali Italii, należy się tu wyjaśnienie, że we włoskich barach nie podają wódki, kiełbasy na gorąco i bigosu. Można tam tylko dostać zimne napoje, kawę, herbatę z torebki, czasami jakieś ciastko, sandwicze z szynką i serem oraz gumę do żucia, a także cukierki i bilety na loterię. Kawa była dobra i bardzo mocna.

- Chciałem panią o coś zapytać - powiedziałem.

- Słucham.

- Jak to się stało, że pani dogoniła mnie wtedy na tej drodze koło via Appia Antica?

Uśmiechnęła się.

- Dziwne, że pan dopiero teraz o to mnie zapytał. Odpowiedź jest bardzo prosta. Przyszłam do domu, aby zobaczyć się z Robertem. Dowiedziałam się jednak, że wyjechał. Służący, który otwierał mi drzwi, powiedział, że pan był u nas i dopiero co wyszedł. Pobiełam i... Czy źle zrobiłam?

- Wprost przeciwnie. Zrobiła pani doskonale.

- Jakie ma pan plany? Co pan zamierza? - spytała, przyglądając mi się badawczo.

- Nie wiem - odparłem ostrożnie. - Czy pani uważa, że w ogóle powinienem mieć jakieś plany?

- Nie interesuje pana ta sprawa? Nie jest pan zaintrygowany tymi trzema Alicjami Sarnowskimi?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem okazywać zbytniego zainteresowania. Wprawdzie nie sądziłem, żeby dziewczyna celowo mnie wciągała w tę aferę, ale na wszelki wypadek...

- Bo ja wiem?

- Przecież pan jest autorem powieści kryminalnych - nastawała Luiza. - Powinno to pana fascynować.

- Nie przeczę, że jest to interesująca historia - powiedziałem lekkim tonem - ale w tej chwili mam już tyle materiału, że bez

trudu mogę sobie dorobić dalszy ciąg opowieści, posługując się wyłącznie fantazją.

Wydeła pogardliwie wargi.

- Zawiodłam się na panu. Byłam pewna, że ma pan w sobie coś z prawdziwego detektywa. Szkoda.

- Może mi pani opowie o tej Alicji, która przyprowadziła mnie do państwa na kolację? - zaproponowałem.

- Cóż ja mogę panu o niej powiedzieć? Bardzo niewiele. Przyjechała z Polski.

- To wiem. Czy pani z nią rozmawiała?

- Oczywiście. Wiele razy. Przecież u nas mieszkała.

- Co pani o niej sądzi?

- To była bardzo ładna i miła dziewczyna. - Dlaczego pani powiedziała „była”?

- Bo przecież oboje doskonale wiemy, że ona nie żyje.

- Kto to pani powiedział?

- Nikt mi nie musiał mówić. Wiem. - Skąd ta pewność?

Spojrzała mi w oczy i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Niech pan da spokój. Nie jestem małym dzieckiem. To przecież jasne.

- Co jest jasne? - spytałem ciągle udając, że nie rozumiem.

- No przecież... - Poglaskała mnie po dłoni i roześmiała się.

- Niechże pan przestanie się zgrywać. To naprawdę zupełnie niepotrzebne.

- Kiedy ja rzeczywiście chciałbym wiedzieć, co pani ma na myśli. Być może nasze poglądy na tę sprawę są identyczne, ale wolałbym to sprawdzić.

Machnęła ręką.

- Niech i tak będzie. Więc chodzi panu o to, skąd ja mam pewność, że Alicja numer dwa nie żyje?

- Właśnie.

- To chyba proste. Wystarczy odrobina logiki. Jeżeli pojawiła się Alicja numer trzy, to Alicja numer dwa musiała zniknąć raz na zawsze, tak jak zniknęła Alicja numer jeden. Nie sądzi pan?

Zawahałem się. Nie chciałem się zbyt zdecydowanie angażować.

- Nie sądzi pan? - powtórzyła bardziej agresywnie.

- Wydaje mi się, że pani rozumowanie można by było ewentualnie uznać za prawidłowe, chociaż...

- Ma pan jakieś wątpliwości?! Uśmiechnąłem się.

- Nie może pani zaprzeczyć, że w tej dziwnej sprawie istnieje szereg wątpliwości.

Zamyśliła się. Nie przerywałem milczenia, czekając cierpliwie, co mi zaproponuje. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Jakie ma pan plany? Udałem zdziwienie.

- Nie rozumiem.

- Pytam, co pan zamierza w tej sprawie zrobić.

- Co zamierzam zrobić? Nic.

- Nie ma pan zamiaru dalej prowadzić tego śledztwa?

Tym razem ja ją pogłaskałem po dłoni.

- Mia cara - powiedziałem serdecznie. - Pragnę uprzejmie zwrócić pani uwagę, że ja w ogóle nigdy nie prowadziłem żadnego śledztwa. Nie może więc być mowy o jakimś dalszym ciągu.

Przyjrzała mi się z niedowierzaniem. Czuję, że zaczynam tracić jej zaufanie. To oczywiście nie leżało w moim interesie. Postanowiłem nieco zmienić taktykę.

- Cała ta historia jest oczywiście niesłychanie interesująca. To niewątpliwa sensacja. Nie widzę jednak możliwości, abym mógł coś tutaj zdziałać na własną rękę.

- Ja panu pomogę. Może pan na mnie liczyć. Roześmiałem się.

- Jestem pani niezmiernie zobowiązany za tę gotowość, ale nie wydaje mi się, żebym był w stanie, nawet przy takiej pomocy, zabrać się na serio do prowadzenia śledztwa.

- Pan sobie ze mnie żartuje - powiedziała obrażona.

- Scusa mi, carissima, ale naprawdę nie mam pojęcia, co moglibyśmy zrobić w tej sytuacji.

- Należy się zastanowić.

- Jestem do dyspozycji. Niech” szefowa rozkazuje.

- Znowu pan ze mnie kpi.

- Nie podobnego. Tylko nie widzę żadnych możliwości działania. Może pani ma jakiś genialny pomysł? Słucham!

Potrząsnęła głową.

- Nie mam żadnego pomysłu”.

- A ja mam. Wracajmy do Rzymu”.

Dziarsko dosiedliśmy naszej lambretty i bez zbytniego pośpiechu pocwałowaliśmy po asfaltowej szosie. Zauważyłem, że Luiza straciła humor. Prowadziła skuter w milczeniu. Chwilami odnosiłem wrażenie, że zapomniała o moim istnieniu.

Ja natomiast nie mogłem nie pamiętać o naszym aniele stróżu. Kwadratowa twarz zawodowego boksera i potężne, czerwone dłonie nie opuszczały mojej wyobraźni. Fakt, że jestem śledzony, nie wpływał dodatnio na mój nastrój. Raz i drugi rzuciłem szybkie spojrzenie za siebie, ale w tej nie kończącej się rzece samochodów nie mogłem dostrzec szarego fiata. Nie wątpiłem jednak, że facet jedzie za nami. To spotkanie w Trevignano nie mogło być przypadkowe.

Kiedy Luiza odstawiła mnie do pensjonatu, odetchnąłem z uczuciem prawdziwej ulgi.

- Rozstajemy się? - spytała.

- Chyba tak.

- Na zawsze?

- Ludzie doświadczeni nie używają takich słów, jak „zawsze” i „nigdy” - powiedziałem tonem sentencjonalnym.

- Jakie ma pan plany?

- Jeżeli chodzi o najbliższą przyszłość, to mam zamiar przespać się z godzinkę. Nie kryję, że pani mnie nieco wytrzęsła na tym dziwnym przyrządzie. Nie jestem przyzwyczajony.

Kiwnęła głową.

- Rozumiem. Ciao. Zadzwoń może do pana, jeżeli uznam to za celowe.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, zawróciła, dodała gazu i zniknęła w głębi ulicy.

Z niewypowiedzianą rozkoszą wyciągnąłem się na łóżku. Cały byłem obolały i czułem szum w głowie. Nie miałem

żadnych wątpliwości, że nie zostanę motocyklistą ani w tym, ani w przyszłym roku.

Byłem zmęczony i senny. Zamknąłem oczy i usiłowałem zasnąć, ale na próżno. Niełatwo jest spać, mając na karku bandę groźnych gangsterów, choćby nawet owi groźni gangsterzy byli częściowo wytworem naszej wyobraźni. A przecież ten bandzior o potężnych i czerwonych łapach wcale nie był dzieckiem mojej imaginacji. Trudno było wątpić w jego istnienie.

Zacząłem na serio żałować, że w ogóle dałem się wrobić w tę idiotyczną historię. Przecież powieść kryminalną mogłem napisać, siedząc spokojnie w Warszawie. Rzymskie realia znane mi były wystarczająco, a fabułę mogłem sobie dowolnie wykoncypować. Najchętniej byłbym zrezygnował z roli prywatnego detektywa. Nęcił mnie powrót w domowe pielesze, choćby nawet nie w blasku sławy. Wycofanie się jednak z tej imprezy nie było rzeczą prostą. Po pierwsze, nie bardzo pozwalała mi na to ambicja. Wyobrażałem sobie niezbyt entuzjastyczne powitanie dezertera w Warszawie, kwaśne miny Downara i Bożeny. Poza tym wydałem już trochę pieniędzy, co także nie było bez znaczenia. Jeżeli zdecydowałem się i wziąłem dolary od Downara, to nie mogłem tak ni z tego, ni z owego zrezygnować.

Odsunąwszy od siebie myśl o dezercji, zacząłem się zastanawiać nad dalszym działaniem. Co mogłem w tej sytuacji przedsięwziąć? Miałem dwie ewentualności. Albo ponownie nawiązać kontakt z Alicją numer trzy, albo wrócić do Trevignano i postarać się zaprzyjaźnić z ludźmi z zarządu cmentarza. Ta ostatnia koncepcja wydała mi się bardziej godna uwagi. Postanowiłem nazajutrz wybrać się autobusem do Trevignano.

Późnym wieczorem poszedłem na Piazza S. Silvestro i z Poczty Głównej zatelefonowałem do Downara.

Stefan nie był specjalnie zaskoczony rewelacjami, jakie mu przekazałem. Nie omieszkał pochwalić mnie, mówiąc, iż zrobiłem bardzo dużo i że prawdopodobnie jestem na właściwym tropie. Na pytanie, jak sobie wyobraża moje

działanie, odparł z całkowitym spokojem, że nie może mi dać żadnych konkretnych wytycznych, ponieważ wszystko zależy od dalszego biegu wypadków i od sytuacji, jaka się wytworzy.

Kiedy odłożyłem słuchawkę i zreasumowałem w myśli naszą rozmowę, doszedłem do wniosku, że rady Downara były raczej ogólnikowe i ograniczały się do niezwykle cennej sugestii: „Ja ci radzę, rób, jak chcesz”.

Gmach poczty opuszczałem w nie najlepszym nastroju. Nie miałem ochoty wracać do pensjonatu. Byłem wyspany, a perspektywa pogawędki z signora Ravinelli nie wzbudzała we mnie entuzjazmu. Po krótkim namyśle postanowiłem połączyć trochę po Rzymie.

Z powodu spóźnionej pory ruch na ulicach zmniejszył się znacznie i spaliny mniej agresywnie atakowały gardło i płuca.

Wyszedłem na via del Corso i ruszyłem w kierunku Tybru. Miałem nadzieję, że nad brzegiem rzeki odetchnę trochę swobodniej. Były to złudne nadzieje. Posuwałem się więc dalej, przez Ponte Regina Margherita przedostałem się na drugą stronę Tybru i wylądowałem na Cola di Rienzo. W chwilę potem zacząłem żałować, że nie poszedłem w kierunku Villa Borghese. Zaraz jednak ogarnęły mnie refleksje, że może lepiej się stało, ponieważ o tak późnej porze w słabo oświetlonym parku nietrudno o jakąś niemiłą przygodę. Szedłem więc, a raczej wlokłem się po tej szerokiej, jaskrawo oświetlonej ulicy, która jest na Zatybrzu jedną z najbardziej reprezentacyjnych arterii. Czulem ogarniające mnie zniechęcenie. Samotność zaczęła dawać mi się we znaki. Ani się spostrzegłem, jak ukradkiem podpełzła ku mnie zdradliwa tęsknota za Bożeną, za naszym mieszkaniem na Kruczej i za Warszawą. Miałem ogromną ochotę z kimś sobie pogadać, jeżeli nie po polsku, to choćby nawet po włosku. Zaczynałem nawet żałować, że nie wróciłem do pensjonatu na konwersację z wdową po tureckim magiku. Zawszeć to jakaś żywa istota.

Takie mam nietypowe usposobienie, że uczucie smutku, tęsknoty czy niepokoju zwiększa w sposób zaskakujący aktywność moich soków trawiennych. Nagle poczułem więc, iż

gwałtowny głód szarpie mi wnętrzności. Nie było rady. Musiałem coś zjeść.

W tej chwili już dokładnie nie pamiętam, czy było to przy via Terenzio, via Virgilio, czy też via Siila. W każdym razie tę skromną trattorie znalazłem na jednej z tych niewielkich uliczek biegnących w bok od Cola di Rienzo.

Nastrojowy mrok tuszował nieco nienadzwyczajną schludność lokalu. Stoliki nakryte były wysłużoną ceratą w zieloną kratkę, a w powietrzu unosił się charakterystyczny kwaskowaty zapach wina, pomieszany z ostrą wonią czosnku i smażonej oliwy. Ta typowa kompozycja kulinarnych woni zawsze kojarzy mi się z obrazem słonecznej Italii. Wystarczy, że Bożena podgrzeje w garnku trochę oliwy i wrzuci kilka ząbków czosnku, a już mam przed oczyma cudowny błękit nieba, lazurową grotę albo ozdobione kaskadami glicynii malownicze wille w okolicach Frascati, Marino, Castel Gandolfo.

W głębi drzemał spokojnie łysy jak przysłowiowe kolano właściciel trattorii, z całym zaufaniem pozostawiając swój dobytek pod opieką tłustej dziewczyny o gęstym owłosieniu. Podeszła do mnie leniwym, powolnym krokiem i kołysząc rozłożystymi biodrami, postawiła na stoliku półlitrową karafkę z białym winem.

- Mamy spaghetti, risotto, smażoną rybę i wątróbkę. - Powiedziała to z całkowitą obojętnością, która przypominała mi w sposób rozczulający nasze warszawskie kelnerki.

Nie dodała ani słowa więcej. Czekala cierpliwie na moją decyzję, zapatrzona w dal.

Poprosiłem o risotto i wątróbkę. Miałem wprawdzie ochotę na rybę, ale wolałem nie ryzykować.

Spożyłem z ogromnym apetytem risotto i zabierałem się właśnie do wątróbki, kiedy w trattorii pojawił się nowy gość. Przy tym kolosie mój czerwonoreki prześladowca wydałby się niewątpliwie wiotkim pacholęciem. Przypuszczam, że miał około metra dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Potężne bary, bawoli kark i mięsne rozsadzające obcisły sweter przywiodły mi na pamięć dawne czasy, kiedy to Teodor Szteker walczył z Garkowienką w cyrku Staniewskich na Ordynackiej.

Mimo iż cała sala była wolna, olbrzym usiadł przy sąsiednim stoliku. Zażądał litr wina oraz oliwek i schrypniętym basem zaczął nucić „O sole mio”. Nie wyglądał na Włocha, był natomiast mocno podпиты.

Raz i drugi posłałem w jego stronę szybkie spojrzenie. Twarzyczka nie wzbudziła we mnie zachwytu niezmiernie trudno było oprzeć się wrażeniu, że nowo przybyły mógłby bez większej charakteryzacji dublować oryginalnego goryla w jakimś ogrodzie zoologicznym. To podobieństwo do antropoidalnej małpy potęgował fakt, iż nos tego człowieka wyglądał tak, jakby ktoś po nim przejechał rowerem.

Kończąc wątróbkę czułem, że facet przygląda mi się z intensywną uwagą. Postanowiłem go ignorować. Nie miałem najmniejszej ochoty na nawiązywanie znajomości. Mimo jednak najszczerzych chęci nie zdołałem zachować swej neutralnej postawy.

- A jak bym cię strzelił w mordę, to co? - kolos powiedział to dudniącym głosem, uderzając równocześnie pięścią w stół, który natychmiast się rozleciał w kawałki.

Podskoczyłem na krześle. Nie dlatego, że mnie aż tak przeraziła ta, niezbyt zresztą nęcąca, propozycja, ale dlatego, że słowa te zostały wypowiedziane w mej ojczystej mowie.

- Polak? - spytałem po polsku.

Tamten zamrugnął oczami i otworzył gębę, ukazując mocne uzębienie.

- O, rany! - zawołał radośnie, dźwigając się ze swego miejsca. - Rodak! Niech ja skonam! Dajże pyska.

Wtedy to po raz pierwszy w życiu całowałem się z pijanym gorylem.

Chciał mnie objąć i wyściskać, ale zdołałem tego uniknąć. Zrobiłem zręczny unik i szybko rzuciłem pytanie.

- Dlaczego chcesz mi dać w mordę? Zachwiał się i usiadł przy moim stoliku.

- Ja miałbym lać w mordę rodaka? Nigdy w życiu. Co też ci chodzi po głowie?

Odetchnąłem z niejaką ulgą. Wołałem się jednak upewnić, czy olbrzym nie będzie się upierał przy swoim pierwotnym zamiarze.

- Miałem nawet chęć strzelić cię w mordę, bo mi się zdawało, że mną pogardzasz.

- Skądże znowu - zaprzeczyłem.

- No to w porządeczku. A poza tym nie miałem zielonego pojęcia, że w tej śmierdzącej dziurze spotkam rodaka. Napijmy się.

Podeszła do nas kelnerka, pytając ze stoickim spokojem, jak to będzie z tym połamanym stolikiem.

- Si paga - powiedział mój nowy kumpel, wyjmując z kieszeni spodni pomięte dolary. - Un litro, per favore.

Pojawiła się przed nami nowa karafka, napełniona białym winem.

Atmosfera stawała się coraz bardziej rodzinna. Mój kompan odśpiewał schrypniętym basem „Czerwone maki na Monte Cassino”, po czym próbował zaintonować „Lulajże, Jezuniu...”, ale nie bardzo mu to wychodziło. Urwał i zadumał się. W kaprawych oczkach zabłysły łzy. Nagle wstał, obciągnął na siebie sweter i uklonił mi się.

- Pan wybaczy, ale ja się jeszcze nie przedstawiłem - powiedział oficjalnym tonem. - Pardon. Scusi. Boćwina jestem, Henryk. Przyjaciele mówią do mnie Heniuś, a także nazywają mnie Pieszczoch.

Wypadało mi się także przedstawić. Wstałem i mruknąłem niezbyt wyraźnie moje nazwisko. Imię powiedziałem głośniej.

Znowu zaczął mnie całować z dubeltówki.

- Mów mi Heniuś - dmuchnął mi w ucho z rozczuleniem. - Polubiłem cię, Zygmus. Słowo honoru!

Usiadł i napełnił szklanki winem. Pomyślałem, że teraz nadchodzi godzina zwierzeń. I nie pomyliłem się.

Zaczął się od szczerego stwierdzenia.

- Kapkę żem się zalał. Kiwnąłem głową.

- Nie da się zaprzeczyć.

- Ale nie myśl, że to tym ich sikaczem tak sobie podchromoliłem. Zanim tu przyplynałem, wychlałem z jednym

Italiancem butelkę grappy. Zsunął się chłopina pod stół i został. Nie nadawał się już do rozmowy. To co miałem robić? Zabrałem się i poszedłem. Wątki naród ci Włosi. Trochę się naoliwiłem. To fakt. Ale główka jeszcze pracuje, że ho, ho. A ty co? Tak sobie tu siedzisz w tej szparze i wątróbkę pędzujesz?

- Byłem głodny. I tobie także radziłbym coś przekąsić.

- Masz rację. Co prawda, to prawda. Także samo trochę czczy się zrobiłem. - Odwrócił się w stronę kelnerki i krzyknął: - Signorina! Fegato, per favore! Wątróbka posilne pożywienie. Powiadają, że dobra dla anemicznych.

Wprawdzie Heniuś nie wyglądał na anemicznego, ale przytaknąłem z całkowitą powagą. Przyjrzał mi się bardzo uważnie.

- A ty coś za jeden? - spytał nagle.

- Zygmus.

- Nie pytam się o imię ani o nazwisko. Pytam się, coś ty za jeden? Inteligent?

- Raczej tak - odparłem niepewnie. Gruchnął mnie w plecy z taką siłą, że mało nie spadłem z krzesła i na chwilę dech we mnie zapało.

- Nie bój się, Zygmus - powiedział pocieszająco. - Ja tam nie pogardzam inteligentami. Dla mnie może być i inteligent, byle tylko był fajny kumpel. Bez różnicy. Już taką mam demokratyczną naturę.

- A ty skąd się wziąłeś w Rzymie? - spytałem, pragnąc zmienić temat rozmowy.

Pochylił się nad stolikiem i powiedział dramatycznym szeptem:

- Zwiąłem.

- Skąd zwiąłeś?

- Ze statku. Nie mówiłem ci, że jestem marynarzem?

- Jeszcze nie.

- No to teraz ci mówię. Prawie dziesięć lat pływałem na frachtowcach. A teraz musiałem wiać. W Neapolu. A wszystko przez tych... - Tu popłynęła wiązanka tak soczystych słów, że nie mogę ich powtórzyć.

Odczekałem, aż wygaśnie ten wartki potok ojczystej mowy.

- Słuchaj no, Heniuś, o kim ty się właściwie tak niechętnie wyrażasz? - zapytałem.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczami.

- Niechętnie? A o kimże by, jak nie o tych skurwy...

- Dobra, dobra - przerwałem. - To już było. Teraz mi powiedz, kto ci tak na odcisk nadepnął. Na kogo jesteś taki cięty?

- Jak to na kogo? Na tych moich cholernych kolegów, na tych pierońskich marynarzy.

- Co ci zawinili?

- Co mi zawinili? Jeszcze się pytasz? Przez nich musiałem uciekać ze statku. Heroinę schowali w mojej koi. Z dziesięć kilo. Rozumiesz teraz? Policja byłaby mnie zamkła do pudła. Miałem szczęście, że się w porę kapłem. Nawiałem i tyle. Dobrze, że chociaż dolary zdążyłem zabrać.

- Nie boisz się, że cię szukają? Poruszył potężnymi ramionami.

- A niech szukają. Co mi tam. Nie znajdują. Zresztą ja ci coś powiem, Zygmus. Tyle teraz tych wszystkich szmugli, że jakby każdego chcieli szukać, toby musieli całą armię zmobilizować. Jak kto im wpadnie w rękę, to trzymają, ale żeby mieli tracić czas na szukanie...

- Może zjesz tą wątróbkę, bo wystygnie - zaproponowałem wskazując talerz, który kelnerka postawiła na stole.

Wcale nie mała porcja zniknęła błyskawicznie. Widocznie rozochocił się, bo krzyknął, żeby mu przynieśli jeszcze raz to samo. Wątróbka dobrze mu zrobiła, wyglądało na to, że już trzeźwieje. Mówił coraz przytomniej i nie pogrążał się w melancholijnych zadumach. Wiedziałem jednak, że nie wykręcę się od biograficznej opowieści.

- Może opowiedziałbyś mi coś o swoim życiu. Na pewno miałeś dużo ciekawych przygód - zaproponowałem.

- Chciałbyś posłuchać? - spytał radośnie. Tak jak przypuszczałem, czekał tylko na tę okazję.

Życiorys był trochę chaotyczny i pełen zbędnych dygresji, ale przy dobrych chęciach mogłem sobie to wszystko jakoś do kupy złożyć. Okazało się, że Heniuś pochodzi ze wsi, spod Jędrzejowa. Od dziecka marzył o podróżach po szerokim

świecie. Kiedy podrósł, uciekł z domu, pojechał do Gdyni i tam zamustrował się na frachtowiec płynący do Ameryki Południowej. Potem pracował na różnych statkach, a że był niezwykłym osiłkiem, bardzo prędko zyskał sobie sympatię przełożonych i należyty respekt wśród kolegów. Próbował także kariery sportowej. Trenował zapaśnictwo, boks, podnoszenie ciężarów. Osiągał nawet niezłe wyniki. Jednakże sport wyczynowy nie pociągał go. Wolał podróżować. Ciekawy był świata i ludzi. Miał zdolności językowe. Mówił trochę po angielsku, po włosku i po niemiecku. Marzył o tym, żeby pójść do szkoły morskiej. Wszystkie jednak plany zostały pokrzyżowane przez ową fatalną historię z heroiną. Nie byłem zupełnie pewien, czy mogę wierzyć w jego całkowitą niewinność, ale Heniusz wydawał mi się szczerym chłopakiem. Zresztą nie miał właściwie powodu, żeby kłamać. Mógł przecież w ogóle nie wspominać o tej aferze i wymyślić jakąś inną wersję usprawiedliwiającą jego pobyt w Rzymie. W końcu nie było to dla mnie istotną rzeczą.

Zrobiło się bardzo późno. Właściciel trattorii kręcił się niespokojnie, dając nam do zrozumienia, że goście powinni już opuścić lokal. Przypuszczam, że jedynie imponujące bary Heniusia powstrzymywały go od powiedzenia nam tego wprost. Nie było sensu przedłużać tej sytuacji. Powiedziałem:

- Czas iść spać. Gdzie mieszkasz?

- Właściwie to nigdzie - ziewnął szeroko Heniusz. - Mam metę w Fiumicino, w porcie, u jednego Sycylijczyka. Cholerny bandzior, ale równy kumpel. Rzuca nożem jak cyrkowiec. Teraz tam już za późno jechać. Zresztą o tej porze nie idzie żaden autobus. Prześpię się gdziekolwiek. Pod jakim krzakiem. Jestem przyzwyczajony. Muszę tylko uważać, żeby mnie gliny nie przywałyły.

Zawahałem się. Nie miałem wątpliwości, że taki facet jak Heniusz mógłby mi się bardzo przydać. Trudno było sobie wyobrazić lepszą obstawę. Z drugiej jednak strony nie byłoby zbyt rozsądnie wiązać się w jakikolwiek sposób z człowiekiem poszukiwanym przez policję. Obrzuciłem tęsknym spojrzeniem

bawoli kark,” potężne bicepsy i nieprawdopodobnie szerokie bary i powziąłem decyzję.

- Przenocujesz u mnie, w pensjonacie. Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Żartujesz chyba?

- Dlaczego? Mówię zupełnie poważnie. Prześpisz się w moim pokoju, a jutro pogadamy.

- Chciałbyś wziąć do siebie na noc nieznanomego faceta?

- A dlaczego nie?

- Równy gość z ciebie. Zygmus. Jak pragnę Boga. Rzadko się takich ludzi teraz spotyka. - Rozczulił się. Objął mnie. - pocałował i zaszlochał. - Przyjaciela znalazłem. Przyjaciela znalazłem. Rodaka - powtarzał ocierając łzy. - Kto by się spodziewał, że w tym cholernym Rzymie znajdę takiego człowieka?

Udało mi się wreszcie przerwać te żenujące nieco czułości. Uregulowałem rachunek i wyciągnąłem Heniusia na ulicę.

Do mojego pensjonatu był kawał drogi. Żaden z nas nie czuł się na siłach, żeby pokonać tę przestrzeń na własnych nogach. Na szczęście pojawiła się taksówka. Henius machnął swą potężną łapą i wepchnął mnie do wozu.

- Siadaj, Zygmus, siadaj. Ja funduję taryfę. Stać mnie na to - powiedział sadowiąc się koło mnie.

Wdowa po tureckim prestidigitatorze już oczywiście spała, co bardzo było mi na rękę. Prawdę powiedziawszy, wolałem odłożyć do rana rozmowę na temat mojego sublokatora.

Nie robiąc najmniejszego hałasu, zaprowadziłem ziewającego Heniusia do mego pokoju.

- Ale luksus, kurczę blade - powiedział rozglądając się. Znowu ziewnął, tym razem tak potężnie, aż przeraziłem się, że mu szczęki wyskoczą i nie będzie mógł zamknąć ust.

Zaczęliśmy się przygotowywać do spania. W związku z tym wynikły pewne trudności. W pokoju znajdowała się wprawdzie oprócz łóżka kanapka, ale w żaden sposób nie można było na niej ułożyć gigantycznego ciała pijanego marynarza. Wreszcie Henius zdecydował, że najwygodniej będzie mu no podłozie. Złożył na pół dywan, przykrył go narzutą zdjętą z mojego łóżka,

owinał się kocem z kanapki i nieomal natychmiast zasnął. Mnie natomiast nie od razu to się udało. Z mroków nocy wypełzły podstępne niepokoje. Wydawało mi się, że Heniusz jest specjalnie nasłanym na mnie drabem i tylko czyha na okazję, żeby mnie wykończyć. Przecież jedną ręką bez trudu może mnie powalić. Zacząłem nawet sobie wyrzucać, że sprowadziłem go do siebie. Doszedłem do wniosku, że to bardzo lekkomyślny krok.

Potężne chrapanie, które w pewnym momencie wydobyło się z krtani Heniusia, a mogące stanowić doskonałą ilustrację dźwiękową poobiedniej drzemki stada hipopotamów, podziałało na mnie kojąco. Wydało mi się rzeczą mało prawdopodobną; aby tak szczerze zachowywał się perfidny morderca. Prawdę mówiąc, Heniusz-Pieszczoch nie robił na mnie wrażenia człowieka zdolnego do prowadzenia jakiegokolwiek gry. Uspokoilem się więc i zasnąłem. Śniło mi się, że mój nowy przyjaciel bronił mnie skutecznie przed bandą groźnych gangsterów.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy się obudziłem. Bolała mnie głowa i miałem niesmak w ustach. Przewróciłem się na drugi bok i wtedy zobaczyłem Heniusia. Siedział pod oknem i z zapalem czyścił sobie paznokcie. Był kompletnie ubrany, ogolony, elegancko uczesany, umyty i w ogóle prezentował się wytwornie. Spostrzegłszy, że otworzyłem oczy, uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Buon giorno, maestro. Jak się spało? - zagadnął wesoło.

Odburknąłem, że jako tako, i jęknąwszy głucho, chwyciłem się za głowę.

- Małeńki kacyk? - spytał pogodnie Heniusz.

Spojrzałem na niego z nie ukrywaną niechęcią. Jego świeżość, zdrowy wygląd i bez troski uśmiech zaczynały mnie irytować.

Przyjrzał mi się uważnie i powoli schował do kieszeni pilnik.

- Ciepłe mleczko bardzo dobrze robi - powiedział z przekonaniem.

Poczułem gwałtowne pragnienie. Wypiłem całą karafkę wody i zrobiło mi się trochę lepiej. Byłem już przytomniejszy.

Wstałem z łóżka i zacząłem się ubierać. Wiedziałem, że czeka mnie przeprawa z signorą Ravinelli.

Gradowa chmura na jej czole nie wróżyła nic dobrego. Zebrałem się w sobie i przywoławszy na pomoc jeden z moich najbardziej czarujących uśmiechów, skłoniłem się uprzejmie i powiedziałem ze sztuczną nieco nonszalancją:

- Dzień dobry. Piękną mamy dzisiaj pogodę. Milczała. Tylko jej mocno uczernione brwi ściągnęły się lekko.

- Pragnę panią przeprosić - mówiłem dalej, nie zrażony ponurym spojrzeniem. - Pragnę panią przeprosić, że pozwoliłem sobie bez pani wiedzy przenocować mojego kuzyna.

- Kuzyna? - zdziwiła się głośno.

- Tak. Wczoraj przypadkowo spotkałem go na Zatybrzu, a że nie miał chwilowo mieszkania.. Oczywiście uregulujemy należność za tę noc.

- Żadne pieniądze nie wrócą mi straconego zdrowia.

Tym razem ja się zdziwiłem.

- Straconego zdrowia? Nie rozumiem.

- To nietrudno zrozumieć - zabułgotała ze złością, a oczy jej cisnęły we mnie pęk złowrogich błyskawic. - Spotkałam pańskiego „kuzyna” w korytarzu, kiedy szedł do łazienki. O mało trupem nie padłam. Myślałam, że to King-Kong. Tak się nie robi, proszę pana. To nieuczciwe. Ja muszę wiedzieć, kto śpi w moim pensjonacie.

Znowu zacząłem ją przeproszać, powiedziałem szereg mniej lub więcej udanych komplementów, wyjąłem z kieszeni portfel, słowem, robiłem co mogłem, żeby załagodzić sytuację.

Wreszcie udało mi się jako tako udobruchać rozsierdzoną signorę. Sprowadziłem na pomoc Heniusia, któremu szepnąłem na ucho, że ma występować w roli mojego kuzyna. We dwóch wzięliśmy babę w obroty i doprowadziliśmy wspólnymi siłami do tego, że zupełnie zmiękła i zgodziła się nawet, żeby mio caro cugino jeszcze jedną noc spędził w jej pensjonacie.

- Mam wolny pokój. Może pan go zająć na dzień, dwa.

Pojawiły się nowe trudności, kiedy wynikła kwestia dowodu osobistego, a właściwie paszportu Heniusia. Ale i to jakoś dało się załatwić. Widok dolarów podziałał kojąco na panią Ravinelli.

Kiedy wychodziliśmy z domu, przytrzymała mnie za rękaw.

- Gdyby przypadkiem odwiedzili mnie policjanci, to niech pański „kuzyn” wyjdzie kuchennymi drzwiami. Wątpię, żeby to było potrzebne, ale na wszelki wypadek... - powiedziała konfidentycznie.

Tak więc tymczasowe zakwaterowanie Heniusia zostało pomyślnie załatwione. Bardzo się z tego ucieszył, ale po chwili trochę zmarkotniał i zasepił.

- Wiesz co, Zygmuś? Tak sobie kombinuję, £e może lepiej będzie, jak wrócę do tego Sycylijczyka. Wolałbym, żeby mnie tu gliny nie wymacały. U ciebie będę miał taką metę z doskoku, a na stałe zamelduję się we Fiumicino.

- Dlaczego właśnie tam znalazłeś sobie kwaterę? - spytałem.

- To proste. Chyba wiesz, że Fiumicino to port dla jachtów. Przyplývają z całego świata. Wszystko nadziane towarzystwo, przeważnie milionerzy. Czasem, jak się trafi taka luksusowa łajba, to prawie jak statek. Ze wszystkimi wygodami. Robotę można dobrą dostać. Taki amerykański bogacz nie pyta ani o dokumenty, ani o żadne świadectwa. Zobaczy krzepkiego chłopca, to i bierze go. Co mu tam! Jak kto na kupie dolarów siedzi, to się z niczym nie liczy. Chromoli i przepisy, i prawa. Da w łapę, gdzie trzeba, i odjazd. Chciałbym się na taki jacht dostać. Można sporo waluty zakosić. A poza tym..;

- Co poza tym? - spytałem zaciekawiony.

W wąskich oczach Pieszczocha pojawiły się złe błyski.

- Poza tym ja mam rachunki do uregulowania. Nie myśl, Zygmuś, że ja im to tak łatwo zapomnę. O nie!

- O kim ty mówisz?

- A o tych skurwysynach, co mnie wrobili w te narkotyki. Dwóch było właśnie z takiego jachtu. W nocy wleźli na nasz statek. Niech bym ja ich dostał w swoje ręce.

- Czy wiesz, jak się nazywał ten jacht?

- Wiem. „Golden Monkey”. co po naszymu znaczy złota małpa..

ROZDZIAŁ IV

Mimo iż nie jestem entuzjastą cmentarnych nastrojów, zdecydowałem się na powtórna wycieczkę do Trevignano.

Spokojna jazda autobusem o wiele bardziej mi odpowiada aniżeli sportowe wyczyny na skuterze. Być może, już wyrosłem z tych lat, kiedy człowiek zachwyca się vespa czy lambretta. Nie wykluczam jednak i tej ewentualności, że nigdy nie miałem przekonania do pojazdów mechanicznych, a w szczególności do motorów na dwóch kółkach.

Wehikuł, którym jechałem, odznaczał się stosunkowo dużą stabilnością i nie zmuszał mnie do walki o utrzymanie równowagi, oddałem się więc spokojnemu kontemplowaniu roztaczających się z okien autobusu widoków. Po paru kilometrach łagodne kołysanie autobusu oraz dosyć monotony krajobraz sprawiły jednak, że poczęły ciążyć mi powieki. Przez czas jakiś walczyłem z ogarniającą mnie sennością, aż w końcu uległem.

Obudziłem się w momencie, kiedy dojeżdżaliśmy do Trevignano.

Ponieważ dochodziło południe, postanowiłem najprzód coś zjeść, a dopiero potem udać się na cmentarz. Wiedziałem z doświadczenia, że w porze pastasciuty nie spotkam nikogo na miejscu wiecznego spoczynku.

Idąc w kierunku trattorii, w której posilaliśmy się z Luizą, poczułem nagle przejmujący niepokój. Serce skoczyło mi gwałtownie w piersi, jak koń uderzony ostrogą, i zaczęło walić przyspieszonym rytmem. Na placu w pobliżu trattorii stał zaparkowany popielaty fiat.

Zawahałem się przez chwilę. Wejść czy nie wejść? A może lepiej zrezygnować z jedzenia albo pójść gdzie indziej? Zaraz jednak zdrowy rozsądek przywołał mnie do porządku. Wszedłem do trattorii. Zamówiłem obiad. Argumenty zdrowego rozsądku nie przeszkadzały mi jednak co chwila

spoglądać w kierunku drzwi w oczekiwaniu na krzepkiego gangstera z ogromnymi, czerwonymi dłońmi. Żałowałem, że nie ma ze mną Heniusia-Pieszczocha. Czułbym się o wiele różniej.

Bez specjalnego apetytu spożyłem risotto a la Milanese i smażoną rybę z sałatą. Widok tego wozu popsuł mi humor i odebrał chęć do jedzenia. Nie byłem już w takim radosnym nastroju. Chcąc mieć zupełnie jasny umysł i odzyskać całkowitą sprawność, wypilem tylko ćwierć litra wina, co spowodowało, że moja smażona ryba nie miała w czym pływać. Kuchnia włoska wymaga co najmniej pół litra. Być może zresztą, że moje nieszczególne samopoczucie spowodowane było złym stanem nerwów.

Zwlekałem z wyjściem z trattorii. Instyktownie obawiałem się niepożądanego spotkania. Było to bardzo głupie, irracjonalne uczucie, ale nic na to nie mogłem poradzić. Trudno było jednak siedzenie w trattorii przeciągać w nieskończoność. Kiwnąłem na kelnera, zapłaciłem, ociężale dźwignąłem się ze swego miejsca i wyszedłem.

Popielatego fiata nie było już na parkingu. Od razu poprawił mi się humor. Rozejrzałem się jeszcze wokół, czy nie zobaczę gdzieś w pobliżu mego prześladowcy, a przekonawszy się, że nie ma żadnego zagrożenia, dziarskim krokiem ruszyłem w kierunku cmentarza. Po drodze kupiłem skromną wiązankę kwiatów.

Pomiędzy grobami nie spotkałem prawie nikogo. Dzień był zwyczajny, powszedni i żyjący zajmowali się swoimi doczesnymi sprawami, uważając, i słusznie, że umarli mogą cierpliwie czekać na odwiedziny.

Bez trudu odnalazłem grób, w którym, zgodnie z twierdzeniem Luizy, spoczywały zwłoki Alicji Sarnowskiej numer jeden. Od czasu mojej poprzedniej bytności nic się tu nie zmieniło. Na betonowej tabliczce wyraźnie widniał napis „Anna Maria Toriani”.

Przysunąłem sobie drabinę, którą postawiono do użytku gości cmentarnych, wdrapałem się na nią i położyłem kwiatki na wąskiej półeczce pod nazwiskiem Toriani. Przy tej okazji

uwaznie obejrzałem tablicę. Nie znalazłem żadnego śladu, który pozwalałby przypuszczać, że zmieniono napis. Doszedłem jednak do wniosku, że łatwiej było zmienić całą tablicę, aniżeli bawić się w przemalowywanie napisu. Nie mogłem jednak stwierdzić, czy tablica została wymieniona. Deszcz i inne działania atmosferyczne zatarły wszelkie ślady. Świeży cement można ewentualnie rozróżnić po upływie bardzo krótkiego czasu, ale po wielu miesiącach...

Zszedłem z drabiny, odstawiłem ją na bok i dyskretnie się rozejrzałem. Przyjechałem tu przecież po to, żeby nawiązać kontakt z kimś owiązanym z obsługą cmentarza. Nikogo takiego nie udało mi się jednak dostrzec. Ani dwoje starych ludzi ocierających łzy przed grobem rodzinnym, ani dystygowana dama w czerni, ani piastunka z małą dziewczynką nie mieli nic wspólnego z administracją cmentarza. Błądziłem więc pomiędzy grobami, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób trafić na właściwą osobę. W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło.

Tuż koło bramy drzemał na wąskiej ławeczce pomalowanej na zielono, drobny, chudy człowieczek o pożółkłej skórze i wydatnym spiczastym nosie, upodabiającym go do jakiegoś błotnego ptaka.

Doszedłszy do przekonania, że człowiek ten nie przyszedł tu, aby odwiedzić prochy swych przodków, usiadłem koło niego i zwróciłem twarz ku słońcu. Nie chciałem przerywać mu krzepiącej drzemki. Wiedziałem, że człowiek nagle zbudzony przez nieznanomego osobnika może nie zapalać ku niemu sympatią.

Moim sojusznikiem okazała się niespodzianie duża, jesiennie rozleniwiona mucha. Usiadła bezceremonialnie na ptasim nosie i jęła przechadzać się wolno tam i z powrotem, drażniąc łapkami silnie rozwinięty organ powonienia.

Śpiący poruszył raz i drugi nosem, a ponieważ mucha nie zareagowała, machnął ręką, powiedział „porca miseria” i otworzył oczy, Wtedy zobaczyłem, że dysponuje fenomenalnym zezem.

- Muchy spać nie dają - powiedziałem z życzliwym uśmiechem.

- Kanalie - mruknął gniewnie. - Przez całe lato męczą człowieka, a jeszcze i na jesieni...

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

- No cóż... Piękną jesień mamy w tym roku. Dużo słońca. Jak w lecie.

- Ale wieczory już chłodne - powiedział i tak lypnął swoim zezowatym okiem, że nie mogłem się połapać, czy patrzy na mnie, czy na łysego jegomościa, który przechodził opodal.

- To prawda. Wieczory już chłodne - przyznałem, nie chcąc mu się narażać.

- To dlatego łamie mnie w kościach - westchnął. Poklepałem się po kolanie.

- A kogo nie łamie? Każdego. Tylko nie każdy się do tego przyznaje.

Znowu na mnie spojrział tym swoim zezem, aż mnie ciarki przeszły.

- Pan to chyba cudzoziemiec.

- Zgadł pan.

- O, ja mam nosa... To znaczy... chciałem powiedzieć, że mam dobre ucho. Zaraz posłyszę cudzoziemski akcent. Chociaż trzeba przyznać, że pan bardzo dobrze mówi po włosku.

- Staram się.

- Znałem kiedyś jednego Anglika. Dwadzieścia pięć lat mieszkał w Italii i nie mógł się nauczyć. To tępy naród. Tylko do interesów mają talent, ale nie taki jak Amerykanie. A pan, przepraszam, jakiej narodowości?

- Polak.

- Polak? - ucieszył się. - Miałem przyjaciela Polaka, z armii generała Andersa. To był bardzo porządny człowiek, tylko wypić lubił trochę za dużo. Polacy w ogóle lubią wypić.

- Oj, lubią - przytaknąłem z westchnieniem.

- A proposita, może skoczylibyśmy na kieliszek wina? Tu niedaleko jest trattoria.

- Hm... - zawahał się. - Na kieliszek wina, powiada pan?

- Właśnie. Czegóż mnie strasznie pali.

- Właściwie to ja jestem na służbie. - W zamyśleniu podrapał się za uchem. - Ale przecież nieboszczykom nic się tu złego stać nie może. Niedługo wrócimy.

- Oczywiście, że niedługo. Chodźmy. Szkoda czasu. Cieszę się, że pana spotkałem, bo tak samemu nie lubię pić.

Wstał, otrzepał z kurzu czarną marynarkę i włożył na głowę leżący koło niego ja ławce kapelusz.

- Andiamo - powiedział wesoło.

Po drodze dowiedziałem się, że mój nowy znajomy nazywa się Demetrio Pavelloni, jest emerytem i dorabia sobie, pilnując grobów na cmentarzu.

Zanim dotarliśmy do trattorii, łączyły nas już więzi serdecznej przyjaźni, Gratulowałem sobie w duchu sukcesu.

Okazało się, że Demetrio mimo niezbyt okazałej postury pociąga wcale nieźle. Najwidoczniej znajomość z owym andersowcem nie poszła na marne. Piliśmy wino, zagryzając oliwkami i cieniutkimi frytkami.

Po pierwszym litrze nasza przyjaźń wyraźnie się pogłębiła. Zaczęły się oczywiście zwierzenia. Cierpliwie wysłuchiwałem barwnej opowieści o małżeńskich perypetiach cmentarnego stróża. W prawdziwe zdumienie wprowadził mnie fakt, że ten niepozorny człeczyna ma kochankę, o którą żona urządza mu dzikie sceny zazdrości. W ubiegłym tygodniu musieli nawet interweniować karabinierzy. To mi zaimponowało.

Kazałem podać drugi litr. Teraz już piliśmy wolniej i ostrożniej, zagryzając serem i skórką z pieczonego prosięcia. Demetrio stawał się coraz bardziej wylewny i wcale nie spieszył się z powrotem na cmentarz.

- Co pan robi w Trevignano? Czy pan tu mieszka? - zadał mi w pewnym momencie pytanie, na które od dawna czekałem.

- Nie. Przyjechałem na grób mojej siostry, ale go nie znalazłem.

Zaczął kołysać się na krześle, jak gdyby ta zdumiewająca wiadomość wprowadziła go nagle w ruch wahadłowy.

- Nie znalazł pan grobu swojej siostry?

- Nie znalazłem.

- A jak nazwisko nieboszczki?

- Alicja Sarnowska.

- Czy pan dokładnie wie, w którym miejscu zostały złożone zwłoki?

- Wiem, ale na tablicy zobaczyłem inne nazwisko.

Sięgnął po szklanę, wypił jednym tchem wino i przestał się kołysać.

- Nie miałem jeszcze wypadku, żeby mi jakiś nieboszczyk zaginał albo zmienił miejsce. Musi mi pan pokazać ten grób. Chodźmy.

Wyszliśmy nieco chwiejnym krokiem. Spacer jednak podziałał na nas orzeźwiająco. Nim zaszliśmy na cmentarz, Demetrio Pavelloni był prawie zupełnie trzeźwy.

Zaprowadziłem go na miejsce i pokazałem tablicę z napisem: „Anna Maria Toriani”.

- To tu - powiedziałem.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Opiekun umarłych skurczył się nagle, jakby smagnięty batem, i zaczął zezować obydwojma oczami, co podziałało na mnie nieco deprymująco. Wziąłem go pod rękę. Poczulem, że drży.

- Co panu jest? - spytałem zaniepokojony.

- Chodźmy stąd... Chodźmy stąd... Nie stójmy tu. Wyrwał mi się energicznie i co sił w nogach podreptał ku wyjściu. Poszedłem za nim.

Za bramą zaproponowałem, żebyśmy wrócili do trattorii. Zgodził się bez specjalnych oporów. Przez dłuższy czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Demetrio był tak zdenerwowany, że oczy uciekły mu gdzieś w głąb czaszki.

Wreszcie postanowiłem przerwać przedłużające się zbytnio milczenie.

- Co pana właściwie tak wyprowadziło z równowagi? - spytałem napełniając szklanki winem.

- Ci... Niech pan o tym zapomni - wyszeptał rozkazująco.

- O czym mam zapomnieć? O rodzonej siostrze? Przysunął się do mojego ucha.

- Zwłoki nie zostały ruszone. Wszystko w porządku. To tylko tablica, a czy panu nie wszystko jedno, co tam na tej tablicy napisane?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie jest mi wszystko jedno, amico mio. Poglądził mnie po dłoni uspokajająco.

- Rozumiem, rozumiem, oczywiście. Ale... Ja panu dobrze życzę... Zaprzyjaźniliśmy się trochę i dlatego... Widzi pan... Dla wszystkich będzie lepiej, jeżeli pan zapomni o tej sprawie. Kwiaty i tak może pan położyć, a litery nieważne. Czy to nie obojętne, czyje nazwisko widnieje na tablicy? Najważniejsze, że zwłoki pańskiej siostry są w porządku, nie naruszone.

- Proszę mi wytłumaczyć, o co tu właściwie chodzi - powiedziałem stanowczo - a jeżeli nie, to idę na policję.

Podsłoczył na krześle i dostał czkawkę. W życiu nie widziałem tak potwornego zeza.

- Błagam, niech pan tego nie robi, niech pan nie idzie na policję. Madonna! Niech pan tego nie robi. Niech pana Bóg ma w swojej opiece. On zabije mnie i pana.

- Co za „on”? Kto?

- Armando.

- A dlaczegoż ten jakiś Armando miałby pana zabić?

- Bo powiedział, że jeżeli puszczę parę z gęby, to mnie zabije. A ja puściłem właśnie parę z gęby. To wszystko przez to przekłęte wino, Pan mnie naumyślnie spoił, żeby się dowiedzieć, żeby mnie zgubić.

Wzruszyłem ramionami

- Niech pan nie będzie śmieszny. Czy widzi pan w tym coś dziwnego, że troszczę się o grób swojej siostry?

- Dziwne Czy nie dziwne, oni nas i tak zamordują.

- „Oni”? To znaczy kto?

- Niech się pan nie pyta. Niech się pan o nic nie pyta, jeżeli panu życie miłe.

- Kto to jest Armando?

- Kamieniarz, Ale to bandyta, gangster, morderca. Dla niego zabić człowieka to tyle, co dla każdego z nas wypić szklankę wina.

- Mieszka tutaj w Trevignano?

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Gasparde.
- To on przygotowywał tę tablicę?
- Tak. Chce pan do niego pójść?
- Nie wiem. Może.

Zaklinam pana na wszystkie świętości, niech pan tego nie robi! Zgubi pan mnie i siebie. Pan jest cudzoziemcem. Pan nie wie...

Biedny Demetrio był tak przerażony, że trząsał się jak w ataku febry i nie chciał pić wina. Po paru nieudanych próbach wyciągnięcia z niego jeszcze czegoś, doszedłem do wniosku, że nie warto tracić czasu. Pożegnałem więc mojego zdeprymowanego kompana i wyszedłem z trattorii.

Początkowo miałem zamiar poszukać owego groźnego Armanda. Bardzo prędko jednak zrezygnowałem z tego. Wypite wino dodało mi wprawdzie animuszu i fantazji, nie do tego jednak stopnia, abym czuł się na siłach samotnie stawić czoła kamieniarzowi z gangsterskimi powiązaniem. To mogłoby rzeczywiście smutnie się dla mnie skończyć. Stanowczo należało zrezygnować z nie przemyślanych akcji i działać z rozwagą, nie dając się ponieść temperamentowi.

Pragnąc odzyskać zdolność trzeźwego rozumowania, zacząłem przechadzać się po rynku, by zebrać rozpierzchnięte myśli. W pewnym momencie stanąłem jak wryty. Obok mnie przemknął ten popielaty fiat.

Wytrzeźwiałem momentalnie i natychmiast zacząłem zastanawiać się nad tym, w jaki sposób, i to szybko, można wrócić do Rzymu. Trevignano straciło dla mnie cały urok. Widmo czerwonorękiego gangstera przesłoniło mi to przemile miasteczko.

* * *

Na drugi dzień wczesnym rankiem pojechałem do Fiumicino. Musiałem odnaleźć Heniusia. Dopiero teraz uświadomiłem sobie w całej pełni, jak bardzo może mi się przydać ten atleta.

Zastałem go przy pracy. Pomagał wyprostowywać pogiętą karoserię, której właściciel najprawdopodobniej lubił szybką

jazdę i stracił w pewnym momencie panowanie nad kierownicą.

Warsztat samochodowy prowadził ów Sycylińczyk, o którym wspominał mi Henius. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, o pociągłej, ponurej twarzy, kryjącej pod maską obojętności bezwzględna, brutalną siłę, a nawet okrucieństwo. Patrząc na tego człowieka, trudno było oprzeć się wrażeniu, że obce mu są tak zwane ludzkie uczucia i że nie należy mu wchodzić w drogę.

Spojrzał na mnie z wyraźną niechęcią.

- Desidera? - spytał, a dowiedziawszy się, że szukam Heniusia, krzyknął w głąb warsztatu: - Enrico! Vieni!

Pojawił się Pieszczoch. Usmarowany, z podwiniętymi rękawami koszuli i z potężnym młotem w ręku wyglądał jak mitologiczny Hefajstos.

Ucieszył się szczerze na mój widok.

- Zygmus, jak rany! Fajnie, żeś przyjechał. Na wycieczkę?

Wyjaśniłem, że mam do niego pilny interes i chciałbym z nim pogadać na osobności.

- Gliny? - spytał niespokojnie. A kiedy go zapewniłem, że nie chodzi o policję, odetchnął z widoczną ulgą. - Chwalić Boga. Już się wystraszyłem, że coś nieklawo. A w czym rzecz?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Pomocy? Rzecz jasna, że ci pomogę. Za takiego kumpla jak ty do piekła bym skoczył.

- Nie trzeba tak daleko - powiedziałem z uśmiechem. - Wystarczy do Trevignano.

- A co tam będziem robić?

- Wszystko dokładnie ci wyjaśnię. Kiedy możemy się spotkać?

- Za godzinę. Wyklepię tylko tę blachę. Pochodź sobie tymczasem po porcie, obejrzyj jachty, a potem spotkamy się w kawiarni. A może lepiej przyjdź tutaj po mnie. Pójdziemy razem.

Odwróciłem się i miałem już odejść, kiedy podbiegł do mnie i zastąpił mi drogę.

- A może szykujesz jakieś mordobicie? - spytał szeptem.

Uśmiechnąłem się na widok błysku nadziei w jego oczach.

- To niewykluczone. Ucieszył się.

- Nie myśl, Zygmus, że lubię rozrabiać, ale czasami taka mnie chandra nachodzi, że waliłbym w mordę eon molto piacere. Prawdę powiedziawszy, trochę mi tu nudno. Chciałbym już zamustrować na jaki jacht albo niechby to był i frachtowiec.

Powiedziałem, że postaram mu się o godziwą rozrywkę, mając na myśli mojego czerwonorękiego prześladowcę. Rozstał się ze mną, podniesiony na duchu.

Poszedłem do portu. Zobaczyłem ogromne skupisko jachtów z całego świata. Wszystkie możliwe modele, począwszy od zupełnie skromnych, sportowych, a kończąc na dużych, luksusowych, zaopatrzonych w potężne silniki i przeznaczonych dla milionerów. Taki jacht-statek kosztuje wiele milionów dolarów, obsługiwany jest przez liczną załogę i niewiele ma wspólnego ze sportem żeglarskim. Żagle stawia się na nich raczej dla efektu aniżeli z realnej potrzeby. W dzisiejszych, zmotoryzowanych czasach taki las masztów, dziwny to trochę widok.

O oznaczonej godzinie znalazłem się znowu w warsztacie samochodowym.

Heniusz już na mnie czekał. Był czyściutko wymyty, ogolony, uczesany, a jego puciołowata twarz tryskała zdrowiem i pogodą. Był w doskonałym humorze. Najwidoczniej perspektywa mordobicia tak go optymistycznie nastroiła.

Poszliśmy do pobliskiej kawiarni. Usiedliśmy przy stoliku na świeżym powietrzu.

Kiedy kelner przyniósł nam kawę i coca-cole, Pieszczoch spojrział na mnie wesoło.

- No i co? Będzie rozróżba? - spytał.

- Potrzebny mi jest wóz - powiedziałem. - I dobry kierowca.

Uderzył się pięścią w solidnie rozwiniętą klatkę piersiową, aż echo poszło po porcie.

- Dobrego kierowcę masz przed sobą, a jeżeli chodzi o wóz, to się wykombinuje. Spokojna głowa.

- Ale ja kradzionego wozu nie chcę - zastrzegłem się.

- Coś ty, Zygmus? - oburzył się Henius. - Za kogo ty mnie uważasz? Ja bym miał kraść samochód? Wariat jestem czy jak? Żeby mnie gliny ganiały po całym Rzymie? Ani mi to w głowie. Pożyczę jakiego grata od Emanuela.

- To ten twój Sycylijszyk?

- Tak. Morda może ciut bandziorowata, ale w gruncie rzeczy równy facet. Jak go poproszę...

- Ale to nie może być taki straszny grat. Wóz musi być na chodzie.

- Nie martw się. Nie przyprowadzę ci już takiego kompletnego trupa. Będzie na chodzie. A teraz mów, co to za kombinacja. Bo przecież muszę coś niecoś wiedzieć.

Uznałem słuszność tego żądania i w krótkich słowach zaznajomiłem Heniusia z moim planem. Nie powiedziałem oczywiście wszystkiego, dałem mu tylko do zrozumienia, że chodzi o handlarzy narkotyków. Henius ogromnie się zapalił do tej akcji.

- Grunt to ruch w interesie - powiedział podekscytowany. - Zobaczysz, co ja potrafię.

* * *

Na drugi dzień o rannym brzasku pojawił się Henius. Przyjechał starą, wysłużoną lanią. Ten zabytkowy wehikuł napełnił mnie uczuciem głębokiej melancholii. Nie byłem pewien, czy w tych warunkach mogę się odważyć na bądź co bądź dość ryzykowną eskapadę.

Henius, odgadując mój niepokój, pogodnie gruchnął mnie pięścią w plecy.

- Nic się nie martw, Zygmus - powiedział. - Ten grat ma tylko taki niezbyt reprezentacyjny wygląd, ale silnik jest na sto dwa. Możesz mi zaufać. Wszystko dokładnie sprawdzone. Emanuel mi pomógł. Myśli, że kombinujesz jakiś lepszy skok. Niech myśli. Siadaj. Jadziem.

Ruszyliśmy. Z każdym przebytym kilometrem zaczynałem odyskiwać wiarę w powodzenie naszej akcji. Lancia rzeczywiście spisywała się bez zarzutu. Wprawdzie trochę grzechotała karoseria, ale praca silnika nie budziła żadnych zastrzeżeń, a to przecież było najważniejsze.

Heniusz prowadził dobrze, spokojnie i bez zbędnej brawury. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że żadnemu z nas nie zależy na rozmowie z policją drogową. W pewnym momencie sięgnął do kieszeni i wyjął duży, ciężki pistolet.

- Colt - powiedział. - Wziąłem tego gnata na wszelki wypadek.

To mi się nie bardzo podobało, ale nic nie powiedziałem. W tej chwili wszelkie nauki umoralniające były nie na miejscu i mogły jedynie zdenerwować Pieszczocha.

W Trevignano zaparkowaliśmy lancję w bocznej, mało uczęszczanej uliczce. Heniusz został w wozie, ponieważ nie chciałem, aby wzbudzał sensację swą potężną sylwetką, ja zaś wyruszyłem na zwiady.

Bez większego trudu dowiedziałem się adresu pracowni kamieniarskiej. Wróciłem do wozu i pojechaliśmy.

Niestety, nie zastaliśmy Armanda. Głupawy chłopak o mocnych rękach i śniadej twarzy poinformował nas, że signor Gaspardi poszedł do domu i wróci dopiero po południu.

Po krótkim namyśle zdecydowałem się zaczekać do popołudnia. Pracownia kamieniarska znajdowała się trochę na uboczu, co dogadzało moim planom. Centrum miasteczka nie było zbyt odpowiednie dla naszej akcji.

Poszedłem coś zjeść, a Heniusiowi przyniosłem kilka sandwiczów z szynką i gorącej kawy w termosie pożyczonym od właściciela baru.

Wzmocniony nadwątlone siły, zaparkowaliśmy wóz w pobliżu pracowni kamieniarskiej i cierpliwie czekaliśmy na powrót Armanda.

Wreszcie przyszedł. Wyglądał imponująco, a nawet atletycznie. Zwróciłem na to uwagę Heniusiowi. Zachichotał złowieszczo.

- Żartujesz, Zygmus. Ja takich dziesięciu frajerów jedną ręką...

Uspokoila mnie trochę ta przechwałka. Zresztą rzeczywiście Gaspardi, aczkolwiek mocno zbudowany mężczyzna, nie mógł się równać z moim Pieszczochem.

Po chwili zobaczyliśmy owego głupkowatego chłopca. Szedł wolno, wymachując długimi rękami i podśpiewując. Widocznie szef zwolnił go na obiad.

Heniusz szturchnął mnie łokciem w bok.

- Jest sam - powiedział cicho. - Idziesz? Skinąłem głową.

Gaspari siedział w kantorku i grzebał w jakichś papierach. Dopiero teraz miałem możliwość przyjrzeć mu się dokładniej. Nieproporcjonalnie mała głowa osadzona była na szerokich ramionach. Krótki, gruby kark także nie pasował do tej głowy. Płaska twarz przypominała prymitywne rzeźby wykonane w drzewie. Nie było w niej właściwie żadnego wyrazu i tylko wąskie, czarne jak węgiel oczy błyszczały niewesołym, posępnym blaskiem.

Podniósł głowę i obrzucił mnie szybkim, taksującym spojrzeniem.

- Pan sobie życzy?

- Ja w sprawie pomnika - powiedziałem.

- O jaki pomnik chodzi? - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. Proszę. - Wskazał mi krzesło, ale się nie ruszył.

Pomyślałem, że niewątpliwie należy on do typów, które zazwyczaj gdzieś pod ręką trzymają broń.

- Chodzi mi o pomnik, który ma stanąć w parku, w mojej rezydencji. To niedaleko stąd. Mam wóz. Może zechciałby pan ze mną pojechać i na miejscu zobaczyć.

Gaspari potrząsnął głową.

- Żałuję, ale dzisiaj to niemożliwe. Może jutro albo pojutrze.

- Zależy mi na czasie - nastawałem.

- Może pan przyjdzie jutro - powiedział zdecydowanie Gaspari. - Dzisiaj absolutnie nie mogę.

- Nawet jeżeli pana bardzo grzecznie poproszę? W oczach kamieniarza błysnęło coś, co można było określić jako wzmożoną czujność. Poruszył się niespokojnie. Wstałem i oparłem się o parapet okna. Był to sygnał dla Pieszczocha, że potrzebuję jego pomocy. Po chwili Heniusz stanął w drzwiach kantorka.

Kamieniarz sięgnął błyskawicznym ruchem do szuflady biurka.

Henius był szybszy. Walnął go pięścią w kark i wyłuskał mu z dłoni pistolet.

- Andiamo - powiedział rozkazująco.

Gaspari, ogłuszony uderzeniem, nie stawiał oporu. Pozwolił się zaprowadzić do samochodu. Po chwili wydostaliśmy się na szosę.

- Czego chcecie ode mnie? - zagadnął nas, kiedy przyszedł trochę do siebie.

- Chcieliśmy z panem porozmawiać - wyjaśniłem spokojnie.

- Dziwny macie sposób rozmawiania.

- Być może. Musiał pan jednak wziąć pod uwagę, że nasza rozmowa będzie miała charakter poufny, i

- A jeżeli zacznę krzyczeć, wzywać pomocy?

- Nie robi pan tego. Bo i po co? Mogę przecież zakneblować panu usta, a to nic przyjemnego gryźć jakąś brudną szmatę.

- Albo dostaniesz piąchą w ciemnię, - odezwał się zza kierownicy Henius.

.Gaspari najwidoczniej uznał nieodpartą logiką tej argumentacji, gdyż umilkł i w skupieniu przeżuwał swe niespokojne myśli. Po pewnym czasie znowu się odezwał.

- Dokąd jedziemy? - w jego głosie był lekki niepokój.

- Szukamy zacisznego miejsca - odparłem. Henius skręcił w lewo i zaczęliśmy kołysać się na wyboistej bocznej drodze.

Zmierzchało. Tak niedawno jeszcze barwny krajobraz przesłoniła mglista szarość. Tylko gdzieś tam odbłask znikającego za pagórkami słońca ożywiał wąską smugą dolinę.

W oddali ciemniała grupa drzew. Tam podążała nasza niezmordowana lancia. Byłem pełen uznania dla sprawności tej sędziwej emerytki.

Osiągnęliśmy wreszcie cel naszej podróży. Henius nacisnął hamulec. Wysiadł z wozu i przez chwilę przyglądał się naszemu jeńcowi.

- No i jak będzie z tą szczerą rozmową? - spytał.

Gaspari zdradzał coraz większy niepokój.

- Nie wiem, czego chcecie ode mnie. Wyjaśniłem mu, o co chodzi, starając się nie stracić czasu na zbędne słowa. Słuchał uważnie, potrząsając co chwila głową.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nie wykonywałem takiej tablicy.

- Może pan sobie jednak przypomni - powiedziałem łagodnie - Toriani, Anna Maria Toriani. A na tej tablicy, która została zdjęta, był napis „Alicja Sarnowska”.

- Ja z tą sprawą nie mam nic wspólnego. Nic o tym nie wiem. To jakaś pomyłka.

Heniusz niecierpliwie się poruszył.

- Słuchaj no, przyjacielu - powiedział, pochylając się w stronę kamieniarza - albo będziesz rozmawiał rozsądnie, albo zawieziemy cię na policję. Wydaje mi się, że wybierzesz to pierwsze. - Odszedł kilka kroków i zaczął z uwagą oglądać zabrane kamieniarzowi parabellum.

Gaspardi widocznie zrozumiał wreszcie, że to nie żarty i że byle jakie kłamstwo nie zdoła go uratować.

- Czego chcecie? - spytał schrypniętym, zmienionym głosem.

- Porozmawiajmy spokojnie i rzeczowo - powiedziałem bez gniewu, ale stanowczo. - Jeżeli zdecydowaliśmy się na to, żeby pana zaprosić do naszego wozu i przyjechać tutaj, to przecież nie sądzi pan, że zrobiliśmy to, ot tak sobie, dla żartu. Jesteśmy dobrze poinformowani i wiemy, że to właśnie pan wykonał tablicę z nazwiskiem Anna Maria Toriani. Pragniemy się tylko dowiedzieć, kto zamówił u pana tę tablicę.

- Nie wiem. Nie znam nazwiska.

- Niech pan nie żartuje.

W tej chwili podszedł do nas Heniusz”.

- No i co? Powiedział?

- Jeszcze nie.

- Szkoda czasu - zniecierpliwił się. Jednym potężnym szarpnięciem wyciągnął z wozu kamieniarza i pchnął go w kierunku najbliższego drzewa. - Andiamo! Camina! Sbrigati!

- Czekaście! - krzyknął Gaspardi. - Czekaście! Powiem...

- No to już. Ale szybko. - Diamont.

- Imię?
- Antonio.
- To on kazał ci zmienić tablicę?
- Tak.
- Gdzie go można znaleźć?
- Nie wiem.
- Nie kłam! - zdenerwował się Heniuś. - Gadaj.
- Diamont ma willę w Circeo. Ale czy tam można go teraz zastać, to nie wiem.
- W Circeo?
- Tak.
- Dokładniejszy adres.
- Nie wiem, ale tam go znają;
- No więc jak? - spytał Heniuś”. Do piachu z nim?
Uspokoiłem go ruchem ręki.
Kamieniarz skierował ku mnie niespokojne spojrzenie.
- Przecież powiedziałem... powiedziałem wszystko.
- To bardzo ładnie z pańskiej strony - pokiwałem głową z uznaniem. - A teraz niech pan posłucha, signor Gaspardi, niech pan posłucha uważnie. A więc po pierwsze, jeżeli pan nas wprowadził w błąd, to nikt ani nic pana nie uratuje. Jeżeli pan skłamał, to podpisał pan wyrok na siebie. Capito?
Powiedziałem prawdę. Przysięgam!
- To bardzo dobrze. Cieszę się. Nie lubię pogrzebów. A teraz druga sprawa. Sądzę, że zależy panu na całkowitej dyskrecji. Otóż zapewniam pana, że nikt nie dowie się o naszej rozmowie, pod pewnym warunkiem jednak, że i pan zachowa dyskrecję. Nie radziłbym nikomu opowiadać o naszym spotkaniu, nawet własnej żonie. Kobiety bywają gadatliwe, a to niebezpieczne.
- Może pan być pewny, że nikomu nic nie powiem.
- Znakomicie - ucieszyłem się. - Jest pan rozsądnym człowiekiem. I jeszcze trzecia i ostatnia sprawa: Proszę mi powiedzieć, czy słyszał pan kiedyś nazwisko Monitelli. Mam na myśli hrabinę Matyldę Gonzagę Monitelli.
Energicznie potrząsnął głową.
- Nie słyszałem.
- Na pewno?

- Przysięgam. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.
Skinąłem na Heniusia.

- Wracamy.

Odwieźliśmy z maltretowanego kamieniarza do Trevignano. W drodze powrotnej żaden z nas nie silił się na rozmowę. Jechaliśmy w zupełnym milczeniu. Dopiero w miasteczku raz jeszcze doradziłem Gaspardiemu daleko posuniętą dyskrecję oraz zapewniłem go, że jeżeli powiedział prawdę, to nigdy już nas nie zobaczy. To ostatnie oświadczenie przyjął z widoczną ulgą. Nie pałał chęcią nawiązania z nami serdeczniej szych kontaktów, czego zresztą nie miałem mu specjalnie za złe. Nie powiedział nam nawet „do zobaczenia”.

ROZDZIAŁ V

Byłem zadowolony z wyprawy do Trevignano, czego nie dało się powiedzieć o Heniusiu. Nie ukrywał rozczarowania.

- I to ma być mordobicie? Lipa nie mordobicie. Nawet gdyby facet podskakiwał, to i tak żadna rozrywka. Jednym sierpem bym go uśpił. W ogóle nie ma o czym mówić.

- Cierpliwości - pocieszyłem go. - Bądź pewien, że bez solidnego mordobicia nie obejdzie się.

- Co to za historia z tą tablicą na cmentarzu? spytał.

- Później ci wytłumaczę. Teraz musimy się naradzić i zastanowić, co dalej.

- Jedziemy do Circeo?

- Chyba tak. Tylko wolałbym nie tym gratem. Może udałoby się wynająć jakiś bardziej nowoczesny wóz, żeby to żelastwo tak cholernie nie dzwoniło?

Heniusz pokiwał głową.

- Racja. Pomyśli się. Jak jest forsa, to i wóz będzie. Pogadam z Emanuelem. Coś się wykombinuje. Kiedy chcesz jechać?

- Jak najprędzej.

- I za kuper tego Antonia.

- Spróbujemy.

- Może ma obstawę - powiedział z nadzieją w głosie Heniusz.

- To niewykлучzone.

- Chciałbym, żebyś zobaczył, jak ja w razie potrzeby daję sobie radę.

- Wierzę ci na słowo.

- Co tam słowa. Ważny jest faktyczny ruch w interesie. Pamiętam kiedyś w Buenos Aires...

- Już mi to opowiadałeś - przerwałem jego wspomnienia.

- A o tej drace ze Szwedami w Hamburgu?

- Także już słyszałem.

Heniusz zamyślił się.

- Nie nadwerężaj pamięci - powiedziałem wesoło. - Co było, to było. Zostawmy wspominki na stare lata. W tej chwili musimy myśleć o teraźniejszości, a nie o przeszłości.

- Co racja, to racja - pokiwał głową Heniuś. Wyjął z kieszeni swojego colta, dwa zapasowe magazynki i położył cały ten arsenał na stole. - To dla ciebie, Zygmus. Mam nadzieję, że umiesz się z tym obchodzić.

- A ty? - spytałem, wsuwając nabój do lufy i sprawdzając bezpiecznik. - Zostaniesz bez broni?

Heniuś uśmiechnął się.

- Tak źle nie będzie. Mnie wystarczy parabellum tego kamieniarza. Zabrałem. Po cholere ma się bawić taką armatą. Jeszcze by się postrzelił. Nerwowy facet. Takiemu nie wolno dawać broni do ręki.

Zważyłem pistolet na dłoni.

- Ciężki - powiedziałem. - Nie wiem, czy to dobrze, żebyśmy chodzili uzbrojeni. Pieszczoch wzruszył ramionami.

- Jak uważasz. Mnie się tam wydaje, że jak zadarliśmy z gangsterami, to lepiej się zabezpieczyć. Tacy faceci jak ten Antonio, do którego się wybieramy, nie żartują.

Nie mogłem nie przyznać mu racji. Czulem, że zabrąłem już bardzo daleko i że czekają mnie ciężkie chwile. Nie czas było myśleć o odwrocie. „Alea i acta est” - westchnąłem z melancholijną determinacją.

- Jakie ale...? - spytał Heniuś.

- Nic, nic. Tak sobie mruczę.

Zrobiło się późno. Zdecydowaliśmy więc, że mój adiutant zanocuje u mnie. Nie było sensu po nocy telepać się do Fiumicino.

Nadmiar wrażeń nadwątlił nieco nasze siły. Obaj byliśmy solidnie zmęczeni i obiecywaliśmy sobie porządnie się wyspać. Ale... L'homme propose et Dieu dispose, jak powiadają Francuzi.

Z pierwszego snu wyrwał mnie jakiś nieprawdopodobny harmider. Krzyczała signora Ravinelli, posługując się niezbyt cenzuralnymi słowami. Ataki te odparowywał dziarsko inny kobiecy głos, jak mi się wydawało, także znajomy. W ten

damski duet wdzierał się od czasu do czasu dudniący bas wspomagany przez tenora operującego na najwyższych rejestrach wokalnych.

Obaj równocześnie, jak na komendę, zerwaliśmy się i wciągnęliśmy spodnie. Zdążyłem zauważyć, że Heniuś z zatroskaną twarzą zatknął za pasek parabellum.

- Jakaś cholerna draka - mruknął, przyczesując palcami zwichrzoną czuprynę. - Obława czy co?

Nie zdążyłem nic powiedzieć, bo w tej chwili drzwi się otworzyły z hałasem i do pokoju wpadła Luiza.

Włosy miała w nieładzie, pałającą twarz, wzrok dziki. Robiła takie wrażenie, jakby ją ktoś gonił albo jakby napotkała przypadkowo stadko upiorów.

Spostrzegłszy olbrzymią postać Pieszczocha, który pośpiesznie doprowadzał do porządku swą garderobę, zatrzymała się na chwilę, zaraz jednak dopadła do mnie i chwyciła mnie za ręce.

- Niech pan ratuje...! - zawołała. - Błagam...! Niech go pan ratuje!

Przyznaję, że byłem kompletnie oszołomiony nagłym przebudzeniem i tą niespodziewaną wizytą.

- Proszę się uspokoić... Niech się pani uspokoi... - wybełkotałem.

- Ratujcie go! Ratujcie! Błagami

- Kogo mamy ratować? - spytałem rzeczowo, jako tako opanowując zdumienie.

- Roberta! Santa Madonna! Oni go zabijają! Ratujcie go!

- Kto ma zamiar to zrobić? - nie przestawałem pytać.

- Bandyty! Gangsterzy! Prędkiej! Prędkiej! Ratujcie go!

- Dlaczego pani nie zawiadomi policji?

- Nie mogę. To się na nic nie zda. Nie mogę.

- Z glinami nie ma co zaczynać - wtrącił się Heniuś. - Jadziem, Zygmus. Szkoda czasu. Tylko gdzie mamy jechać?

- Do Fiumicino, do portu. Tam go zawieźli. Na jacht.

- Ma pani wóz?

- Oczywiście. Stoi przed domem.

Ubraliśmy się pospiesznie i wybiegliśmy z pensjonatu. Kątem oka zobaczyłem chmurną twarz wdowy po tureckim magiku oraz sylwetki dwóch szczupłych mężczyzn, którzy dodawali jej otuchy. Wszyscy troje jednak nie odważyli się na jakąś energiczniejszą ingerencję, zapewne przez wzgląd na Pieszczocha. Pomrukiwali tylko z cicha, okazując swą dezaprobatę. Pomyślałem, że będę zmuszony poszukać sobie innej kwatery.

Na dole stał zielony fiat 1500. Wsiedliśmy i Luiza z miejsca rozwinęła dużą szybkość.

- Co się właściwie stało? - próbowałem się czegoś dowiedzieć.

- Później wszystko panu opowiem. Nie teraz.

- Nie widzisz, że dziewczyna zajęła kierownicą? - powiedział Henius.

Na szczęście o tej porze ruch był dużo mniejszy i mogliśmy się nie obawiać natychmiastowej kraksy. Nie lubię się spieszyć, a tym bardziej wówczas, kiedy za kierownicą siedzi młoda, bardzo zdenerwowana dziewczyna. Wolę już lecieć samolotem.

- Wspomniała pani, że chodzi o jakiś jacht - odezwałem się po chwili.

- Tak. „Golden Monkey”.

- Co takiego?! - Henius aż podskoczył. - „Golden Monkey” to jacht handlarzy narkotyków.

- Oczywiście - potrząsnęła głową Luiza i skrzyła z takim rozmachem, że o mało nie spadłem z siedzenia.

- Może trzeba było jednak zawiadomić policję? - zauważyłem.

- Żeby wsadzili Roberta do więzienia? Nigdy bym tego nie zrobiła. Nigdy. - Luiza najwidoczniej nie była entuzjastką włoskich organów ścigania.

- Ona ma rację - poparł ją energicznie Henius. - Z glinami lepiej się nie zadawać. Nigdy nie wiadomo, co zrobią. Na co nam kłopoty. Sami sobie damy radę.

Szaleńcza jazda wśród nocy miała w sobie coś niesamowitego. Dziewczyna prowadziła po wariacku, ale wykazywała opanowanie doświadczonego kierowcy. Co chwila

wydawało mi się, że to już koniec, że kraksa jest nieunikniona. W ostatnim momencie jednak Luiza potrafiła wyprowadzić wóz z beznadziejnej zdawałoby się sytuacji. Czułem, jak strużki potu spływają mi po plecach. Byłem przygotowany na najgorsze.

I nagle krew uderzyła mi do głowy, a serce jeszcze bardziej przyspieszyło swój i tak już niespokojny rytm. Tuż przed nami zobaczyłem szarego fiata. Kiedy wyprzedzaliśmy go, spojrzałem na człowieka siedzącego za kierownicą. Byłem prawie pewien, że to czerwonoręki.

Obejrzałem się. Tamten dodał gazu i gnał tuż za nami. Trąciłem w bok Heniusia.

- Widzisz ten wóz ze nami?
- Widzę. Jedzie jak wariat.
- To bandzior, który mi depcze po piętach.
- Dobra jest. Załatwi się. Możesz na mnie polegać.

Jechaliśmy dalej. Szary fiat ciągle nam asystował. Nie miałem już wątpliwości, że za kierownicą siedzi mój prześladowca.

Wreszcie na horyzoncie ujrzelśmy ciemną taflę wody. Fiumicino.

Luiza zwolniła, a następnie nacisnęła hamulec i gwałtownie osadziła rozpędzony wóz - Do portu Prędko! - krzyknęła.

Wysiedliśmy. O kilkanaście metrów za nami wysiadł także z szarego fiata czerwonoręki i ruszył w naszym kierunku.

Nie mogłem pozwolić na to, żebyśmy mieli zablokowany odwrót. Należało działać błyskawicznie.

- Załatw go - powiedziałem rozkazująco do Heniusia, który natychmiast ochoczo skoczył na spotkanie wroga.

I wtedy stała się rzecz zupełnie nieprzewidziana. Heniuś jakąś tajemniczą siłą został wyrzucony w górę, zakreślił w powietrzu efektowny łuk i runął z takim rozmachem, że ziemia jęknęła. Najwidoczniej jego przeciwnik był mistrzem dżudo.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość memu przyjacielowi - pozbierał się błyskawicznie. Zaklął szpetnie, zerwał się i nim czerwonoręki zdążył ponowić swój chwyt, objął go wpół i zdusił w potężnym uścisku.

Czerwonoreki zrobił się cały czerwony jak piwonia, następnie zsiniał i po chwili wykrztusił z trudem:

- O, kurwa!

Słowo to wypowiedziane w ojczystym języku zabrzmiało tak swojsko, że oniemiałem. Heniusz widocznie także był zaskoczony, gdyż zwolnił uścisk, nie rezygnując jednakże z dalszej walki.

- Puść go! - rozkazałem; - To Polak. Zmaltretowany rodak odzipnął z wysiłkiem, raz i drugi zaczerpnął głębiej w płuca powietrza i powiedział schrypniętym jeszcze głosem:

- Byłbyś mi żebra połamał, idioto.

- Kim pan jest? - spytałem.

- Porucznik Kudela.

- Polak? - spytał głupio Heniusz.

- Przecież nie Hotentot.

- Wojskowy? - prowadziłem dalej indagację.

- Funkcjonariusz Komendy Głównej MO.

- Co pan tu robi?

- Pilnuję pana.

- Mnie?! - zdumiałem się.

- Prędeż, prędeż! - krzyczała Luiza, szarpiąc mnie za rękę.

Pobiegliśmy w kierunku lasu masztów. Na tle ciemnego nieba zobaczyliśmy białe żagle. To „Golden Monkey” wychodziła w morze.

Długo nie mogliśmy uspokoić zrozpaczonej dziewczyny.

- Zabijają go... na pewno go zabijają... - powtarzała ze łzami w oczach.

- Może nie - próbował pocieszyć ją Heniusz. - Dlaczego mieliby go zabijać?

- Może nam pani teraz wytłumaczy, co się stało - zaproponowałem.

- Żeby pan nie napadł na mnie, panie poruczniku, to byłibyśmy ich mieli - rozsierdził się nagle Heniusz.

Kudela zrobił oburzoną minę.

- Kto na kogo napadł? Chyba nie ja.

- Dajcie spokój. Nie czas teraz na sprzeczki - próbowałem łagodzić.

Heniusz jednak nie dawał za wygraną. Był wściekły.

- Uciekły nam, dranie, psia ich mać! Uciekły! A tak byliśmy blisko. Niech to szlag trafi! Popłyną teraz czort wie dokąd i szukaj wiatru w polu.

- Zabiją go... Zabiją Roberta... - szlochała Luiza.

Wziąłem dziewczynę pod rękę i zaprowadziłem do samochodu. Chciałem się czegoś od niej dowiedzieć, ale była w stanie takiej depresji, że wszystkie pytania musiałem odłożyć na później.

- Dokąd jedziemy? - spytał Heniusz.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Co do jednej rzeczy byłem tylko zupełnie pewien. Nie mogłem całego towarzystwa zaprosić do mojego pensjonatu. To musiałoby się skończyć interwencją policji.

- Jedziemy do mnie, do hotelu - zaproponował Kudela.

- A może najprzód odwieziemy tę szlochającą dziewicę? - zapytał po polsku Heniusz. - Już mnie strzyka w kościach od tej wilgoci.

Przetłumaczyłem na włoski jego propozycję. Luiza zgodziła się.

- Ale ja poprowadzę. Żaden z was nie trafi.

- Jest pani bardzo zdenerwowana - zauważyłem.

- Już jestem spokojna. Co będzie, to będzie. Płacz i zdenerwowanie nic nie pomogą.

- Bardzo słusznie. Jest pani dzielną dziewczyną.

Jechaliśmy wolno. Teraz nikomu nigdzie się nie spieszyło. Luiza sama zaczęła mówić. Z jej chaotycznego opowiadania wynikało, że późnym wieczorem Roberto przyszedł do niej. Był bardzo podniecony, ponieważ zupełnie przypadkowo odkrył, że jego towarzysze - członkowie zespołu muzycznego - trudnią się handlem narkotykami. Doszło między nimi do awantury. Roberto zagroził, że doniesie o tym policji. Kiedy wyszli razem z domu, napadnięto na nich. Roberta wepchnięto do samochodu i porwano. Wtedy Luiza wzięła wóz ojca swej przyjaciółki i przyjechała do mnie.

- Sądzę - powiedziałem, wysłuchawszy całej tej sensacyjnej historii - że nie powinna pani obawiać się o życie brata. Gdyby

mieli zamiar zlikwidować go, zrobiliby to na miejscu, bez porywania i zabierania go na jacht.

- Tak pan przypuszcza? - spytała z nadzieją w głosie.

- Jestem zupełnie pewien. Porywanie żywego człowieka to zawsze sprawa bardzo kłopotliwa, a nawet niebezpieczna. O wiele prościej zastrzelić na ulicy i uciec.

Obserwowałem uważnie twarz dziewczyny. Wydało mi się, że moje rozumowanie trafiło jej do przekonania. Trochę się uspokoiła.

- Co oni z nim zrobią?

- Tego nie wiem, ale na pewno nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

- Gdzie go zawiozą?

- Pewnie gdzieś go ukryją. Nie jest wykluczone, że chcą go mieć jako zakładnika.

- Jako zakładnika? Dlaczego? W jakim celu? Wzruszyłem ramionami.

- Niech pani nie żąda ode mnie zbyt wiele; Nie znam przecież tej całej sprawy. Nie wiem, jakie są powiązania, komu na kim zależy, w jaki sposób, czym i kogo można szantażować.

- Jest pan bardzo mądrym człowiekiem - szepnęła.

To stwierdzenie sprawiło mi pewną przyjemność.

* * *

Po odwiezieniu Luizy, wsiedliśmy do wozu porucznika Kudeli i pojechaliśmy do jego hotelu.

Był to bardzo skromny hotelik w okolicach Stazione Termini, typowo umeblowany, bez śladu wielkomiejskiego luksusu. Porucznik zajmował w nim niewielki pokój, po którym z trudem mógł się poruszać równocześnie z Heniusiem. Na dobrą sprawę dla mnie miejsca już nie było. Po paru próbach jakoś udało się nam jednak ulokować. Wtedy porucznik schylił się, wyciągnął spod łóżka walizkę i otworzył ją. Naszym oczom ukazała się półlitrowa butelka czystej wyborowej. Henius aż westchnął z rozkoszy.

- Pozdrowienia z ojczyzny - uśmiechnął się Kudela.

Poszły w ruch szklaneczki do zębów. W zapasach zapobiegliwego przedstawiciela MO znalazły się także kabanosy, ser i trochę czerstwe, ale smaczne obwarzanki.

Kiedy pokrzepiliśmy już należycie nadwątlone siły, zwawiej potoczyła się rozmowa.

- Proszę nam wybaczyć, poruczniku - powiedziałem kończąc kabanosa - ale przez cały czas traktowałem pana jako mojego prześladowcę.

Kudela dotknął mimo woli obolałych żeber.

- A ja tymczasem odgrywałem rolę pańskiej obstawy. - Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Heniusia.

- Może pan mówić zupełnie swobodnie - upewniłem go. - To mój serdeczny kumpel. Równy facet.

Henius kiwnął głową, pomrukując z zadowolenia.

- Pan za mną przybył z Warszawy? - spytałem.

- Tak. Na prośbę majora Downara. Nie chciał pana zostawiać bez żadnej asekuracji.

- Kochany chłop - wzruszyłem się. - Ale dlaczego pan się nie ujawnił?

- Takie otrzymałem instrukcje - odparł porucznik. - Rozkaz to rozkaz.

Chciałem ustalić plan dalszego działania, ale okazało się to niewykonalne. Wszyscy byliśmy nazbyt zmęczeni, a czysta wyborowa także nie sprzyjała rozważaniom. Bardzo prędko doszliśmy do przekonania, że naradę wojenną należy odłożyć do następnego dnia.

ROZDZIAŁ VI

Przeprawa z właścicielką pensjonatu była wcale niełatwa.

Signora Ravinelli przyjęła mnie niczym gradowa chmura. Jej ponura i zacięta twarz nie wróżyła nic dobrego. Udałem, iż nie zauważam tego i z wesołym uśmiechem powiedziałem jej, że uroczo dziś wygląda i że mało można w Rzymie spotkać kobiet tak godnych pożądania.

Komplementy te całkowicie zbiły ją z tropu i pokrzyżowały wojenną strategię. Nie wątpiłem, że w tym momencie zapomniała tekstu przemówienia, które sobie zapewne bardzo starannie przygotowała. Jako człowiek doświadczony, postanowiłem nie dać jej otrząsnąć się z zaskoczenia. Powiedziałem jeszcze parę miłych słów i położyłem na stoliku pudło wedlowskich czekoladek, które udało mi się wycygnąć od Kudeli. Ten manewr przeważył szalę zwycięstwa. Uregulowanie z góry należności za pobyt dopełniło mego triumfu. Prawdę mówiąc, wcale mi się nie uśmiechała perspektywa poszukiwania nowego lokum. Zmiana mieszkania z wielu względów była dla mnie bardzo kłopotliwa.

Załatwiwszy sprawę z panią Ravinelli, udałem się na spotkanie z porucznikiem Kudela.

Czekał na mnie w tej samej kawiarni na Piazza Barberini, w której zobaczyłem go po raz pierwszy, podejrzewając, iż jest to gangster dybiący na moje życie.

Nie bardzo wiedziałem, jak zacząć tę rozmowę. To znaczy... wiedziałem, tylko było mi jakoś głupio...

Zauważył moje zakłopotanie.

- Co panu jest? - spytał. - O co chodzi? Głęboko wciągnąłem w płuca powietrze

- Proszę się na mnie nie gniewać, poruczniku, ale zanim przejdziemy do szczegółowego omówienia sytuacji, pragnąłbym mieć całkowitą pewność, że pan jest rzeczywiście z Komendy Głównej MO.

Pokiwał głową

- Nie tylko nie mam tego panu za złe, ale uważam, że jest to zachowanie niezbędnej ostrożności. - Sięgnął do kieszeni. - Proszę, to jest moja legitymacja służbowa, to paszport, a w tej kopercie znajdują się wszystkie dane dotyczące sprawy zamordowania Alicji Sarnowskiej.

Uważnie obejrzałem dokumenty.

- Czy to panu wystarcza? - spytał.

- Tak, oczywiście, to mi absolutnie wystarcza. A teraz niech mi pan powie, dlaczego przez tak długi czas zachowywał pan incognito i nie skomunikował się pan ze mną bezpośrednio?

- Takie miałem instrukcje. Może chodziło o to, żeby pana przez jak najdłuższy czas nie pozbawiać samodzielności i swobody działania. Inaczej człowiek postępuje, kiedy wie, że ma obstawę, a inaczej, jeżeli jest pozostawiony wyłącznie samemu sobie.

- To możliwe - przytaknąłem. - Zresztą nieważne. W tej chwili musimy wspólnie ustalić plan działania.

- Może pan mnie zapozna ze sprawą - zaproponował.

Opowiedziałem więc w skrócie całą historię. Mój domniemany prześladowca słuchał uważnie, zadając od czasu do czasu jakieś rzeczowe pytanie. W trakcie tej rozmowy stwierdziłem z ogromną satysfakcją, że porucznik Kudela, mimo swej niezbyt pociągającej aparycji jest człowiekiem bystrym, inteligentnym, umie szybko kojarzyć fakty i wyciąga prawidłowe wnioski. To mnie podniosło na duchu. Dotkliwie odczuwałem brak kumpla z głową na karku. Poczciwy Heniuś mógł być traktowany wyłącznie jako siła pomocnicza.

- Co pan dalej zamierza? - spytał Kudela.

- W tej chwili widzę dwie możliwości. Albo pojechać do Circeo i próbować rozpracować tego Antonia, albo zaatakować Alicję numer trzy i próbować zmusić ją do mówienia.

Porucznik śledził tok mojego rozumowania z dużym zainteresowaniem.

- Wydaje mi się, że jedno nie przeszkadza drugiemu - powiedział. - Chodzi tylko o zastosowanie odpowiedniej kolejności. Czy najpierw mamy jechać do Circeo, a potem

rozmawiać z ową damą, czy też odwrotnie? A może jednocześnie?

- Jednocześnie?

- Nie tak. Przecież jest nas w tej oliwili trzech.

- Myślę, że «dwóch» - uśmiechnąłem się. - Mimo najszczerzych chęci nie można Heniusia zaszeregować inaczej niż jako siłę pomocniczą. Krzepki chłopak, ale...

- Oj, krzepki - przyznał Kudela, dotykając swych żeber. - Chyba pan ma rację. Lepiej zrobimy tak: ja pojedę do Circeo, a pan będzie tutaj uwodził Alicję numer trzy.

Taka koncepcja nie bardzo trafiała mi do przekonania. Po pierwsze, Kudela zaledwie mógł się jako tako porozumieć po włosku, a po drugie, wolałem nie osłabiać naszego oddziału.

- Jakie języki pan zna? - spytałem.

- Mówię niezłe po niemiecku i po rosyjsku. Od biedy dogadam się także po angielsku.

- Obawiam się, że w Circeo będzie potrzebny włoski - powiedziałem. - Dlatego wydaje mi się, że nie ma sensu się rozstawać. Proponuję, żebyśmy się najpierw zajęli Alicją, a następnie wszyscy trzej pojechali do Circeo. Co pan o tym sądzi?

Kudela nie zgłaszał sprzeciwu i wobec tego postanowiłem wieczorem wybrać się w odwiedziny do Alicji.

Kiedy wróciłem do pensjonatu, zastałem Heniusia pogrążonego w ponurych rozmyślaniach.

- Co ci jest? - spytałem niespokojnie. - Źle się czujesz?

- Cholera - jęknął olbrzym. - Gdyby nie ta kretyńska bijatyka, tobym ich miał. A teraz co? Nigdy już nie uda mi się dowieść mojej niewinności. A byłem tuż, tuż. Żeby tego porucznika jasny grom spalił. To nie mogłem, idiota, powiedzieć, że on z milicji?

- Może chciał, ale nie zdążył - zauważyłem.

- Diabła tam chciał. Widziałeś, jak mnie gruchnął o kamienie. Aż mi dech zaparło. Żebyś mi nie przeszkodził, to byłbym chyba drania zabił.

- Daj spokój. Co było, to było. Nie warto o tym myśleć. Eądź co bądź zaprosił nas na wyżerkę.

- To fakt, że kabanosy były pierwszorzędne - powiedział z przekonaniem udobruchany nieco Heniuś. - A i gorzała także mi wtedy pasowała. Co wino, to wino, a co wódka, to wódka.

Nie miałem zamiaru kwestionować tej złotej myśli. Przez chwilę przyglądałem się zgnębionemu Pieszczochowi, a następnie zmieniłem temat rozmowy.

- Powiedz mi, Heniuś, czy ty jesteś zupełnie pewien, że to chodzi właśnie o ten jacht?

- No chyba! - oburzył się. - Wtedy nie byłem pijany. Dobrze widziałem.

- Opowiedz mi jeszcze raz tę historię - poprosiłem.

Heniuś się zdenerwował.

- Ile razy mam jedno i to samo opowiadać? Przecież już ci mówiłem, jak było.

- Ale nie wszystko dobrze zapamiętałem. Opowiedz no jeszcze raz.

- Nie mam tak wiele do opowiadania. Nasz frachtowiec stał na redzie, a tamci kręcili się w pobliżu tym jachtem.

- Widziałeś dokładnie, że się nazywa „Golden Monkey”?

- Tak jak ciebie widzę w tej chwili. Przecież sobie nie wymyśliłem.

- No i co było dalej?

- Ano nic. Widocznie zwąchali, że będzie rewizja. Przerzucili towar na nasz frachtowiec.

- Musieli mieć u was wspólników.

- Jasne. Nie wzięli tylko pod uwagę, że u nas także zrobią rewizję.

- I co?

- Wybrali sobie dranie koję największego frajera, to znaczy moją. Schowali narkotyki i dobra jest. A policja musiała dostać cynk, bo szukał; jak cholera. I znaleźli. Na co miałem czekać? Żeby mnie Italiancy wsadzili do pudła? Prysnałem.

- Nie wiesz, kto tak ci się przysłużył?

- Tego nie wiem.

- A poznałbyś kogoś z tego jachtu?

- Chyba tak. Jeden taki był z kaprawą mordą. Ryży. Wyglądał na Niemca. Chyba i po niemiecku szwargotał, a może i po szwedzku. Nie mogłem dobrze rozróżnić.

- I policja zarekwirowała wtedy cały transport?

- Czy cały, tego nie wiem. Ale to, co było w mojej koi, znaleźli i zabrali. Dranie, żeby tak mnie zrobić. A teraz pozwoliłem im odpłynąć. Szlag by to trafił.

Staralem się uspokoić Heniusia, ale nie miałem zbyt wiele czasu. Musiałem przygotować się do mojej wieczornej wizyty. Trzeba było wymyślić jakiś mniej więcej prawdopodobny pretekst. Bo właściwie w jakim celu miałbym odwiedzać Alicję numer trzy? Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

Po obiedzie trochę się zdrzemnąłem, potem poszedłem do fryzjera. Chciałem wyglądać schludnie.

Około siódmej przyjechał do mnie eleganckim wozem Kudela. Nie dopytywałem się, w jaki sposób go zdobył. Nie chciałem być zanadto wścibski.

- Odwiozę pana i zaczekam gdzieś w pobliżu - powiedział. - Tak na wszelki wypadek.

- Nie sądzę, żeby mogło mi coś grozić.

- Nigdy nic nie wiadomo. Sicher ist sicher.

W milczeniu zajechaliśmy na via Appia. Powiedziałem, gdzie należy skręcić. Porucznik uśmiechnął się.

- Wiem, wiem. Znam ten teren.

- Czy wtedy także mnie pan ubezpieczał? - spytałem.

- Oczywiście.

- Nie zauważyłem. Znowu się uśmiechnął.

- Mówią, że jestem niezłym fachowcem od tych rzeczy. Czy chce pan, żebyśmy wjechali do środka? Sądzę, że lepiej nie.

Przyznałem mu rację, ale pomyślałem, że w razie czego nie mógłby mi przyjść z pomocą, pozostając na zewnątrz. Mur był wysoki, a brama tak solidna, że zdołałaby chyba wytrzymać regularne oblężenie.

- Niech się pan nie obawia - powiedział Kudela, jakby zgadując moje myśli. - W razie czego mogę błyskawicznie znaleźć się po tamtej stronie muru. Zbadałem już to za pierwszym razem. W jednym miejscu są tam takie występy, po

których można wejść prawie tak wygodnie, jak po schodach. Czy ma pan broń?

- Mam.

- To dobrze. Gdyby panu groziło niebezpieczeństwo, niech pan strzela. Przyjdę z pomocą.

Uśmiechnąłem się. Wydawało mi się, że porucznik nazbyt demonizuje sytuację. Nie wierzyłem, żeby ktoś chciał nastawać na moje życie. Kiwnąłem głową i ruszyłem w kierunku masywnej bramy.

Długo dzwoniłem i stukałem. Pusto, głucho, ciemno. Już miałem zrezygnować, sądząc, że wszyscy wyjechali, kiedy posłyszałem ciężkie, powolne kroki.

Otworzył bramę ten sam co poprzednio człowiek, a może inny, tylko podobnie ucharakteryzowany. Kapelusz miał nasunięty na oczy, ciemne okulary, długi płaszcz z podniesionym kołnierzem. Twarzy właściwie wcale nie było widać.

- Pan do kogo? - spytał, niezbyt gościnnie zastępując mi drogę.

Wyjaśniłem, iż pragnę widzieć się z panią Alicją Sarnowską, z którą rozmawiałem przed kilkoma dniami. Wręczyłem cerberowi mój bilet, wizytowy. Zatrzasnął mi bramę przed nosem i zniknął. Czekałem. Trwało to bardzo długo, tak mi się przynajmniej zdawało. Wreszcie jednak zgrzytnęły zasuwki i powtórnie ujrzałem ponurego furtiana, tym razem w towarzystwie krzepkiego lokaja, który podczas owej pamiętnej kolacji podawał do stołu.

Wpuszczono mnie do środka.

- Pan pragnie się widzieć z signorą Sarnowską - powiedział lokaj ni to tonem pytania, ni twierdzenia. Mówił po włosku z twardym, cudzoziemskim akcentem.

Przytaknąłem.

- Un momento, prego.

Zniknął, a ja czekałem w ciemności, walcząc z ogarniającym mnie niepokojem. Pomyślałem, że naradzają się, co ze mną zrobić. Nie wiedzą, po co przyszedłem, i nie są zdecydowani, jak mają mnie przyjąć. Mimo woli dotknąłem kolby pistoletu

tkwiącego w wewnętrznej kieszeni obszernej tweedowej marynarki. Świadomość, iż nie jestem bezbronny, dodała mi animuszu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mogli mnie przecież w ogóle nie wpuścić albo powiedzieć, że signora Sarnowska wyjechała. Jeżeli tego nie zrobili, to znaczy, że chcą ze mną rozmawiać. Czy wiedzą, że byłem w Trevignano? Jeżeli tak, to jaka będzie ich reakcja? A może będą mieli ochotę cichutko mnie zlikwidować? Może moja wizyta jest im bardzo na rękę? Może z własnej i nieprzymuszonej woli znalazłem się w paszczy lwa?

Tak byłem pogrążony w smętnych rozmyślaniach, że nawet nie zauważyłem nadchodzącego lokaja. Dopiero na dźwięk jego głosu drgnąłem gwałtownie i o mało nie wyciągnąłem pistoletu. Zreflektowałem się w ostatnim momencie.

Ponury drab zaprowadził mnie do dobrze mi już znanego salonu. Wskazał fotel i prosił, żebym zaczekał. Zaczynałem się niecierpliwić. Dostyc już miałem tego cholernego czekania. Czulem, że jeszcze chwila, a zacznę kłać we wszystkich znanych mi językach albo strzelać do portretów.

Na szczęście tym razem czekanie nie trwało długo. Drzwi się otworzyły i do salonu majestatycznym krokiem wkroczyła owa staruszka, która podczas pierwszej mojej wizyty w tym domu siedziała przy kolacji na honorowym miejscu.

Babcia Luizy zaskoczyła mnie zupełnie. Nie byłem przygotowany na to, że ją zobaczę.

Powitała mnie zdawkowym, konwencjonalnym uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. Wyczułem, iż traktuje mnie z pewnym protekcyjnym dystansem. Ruchem udzielnej księżny albo nawet królowej wskazała mi wyściełane krzeselko, sama zaś ulokowała się w wygodnym fotelu.

Byłem podwójnie zaskoczony. Po pierwsze, nie spodziewałem się, że będę rozmawiał ze starą damą, i to mi zdecydowanie pokrzyżowało szyki. Po drugie zaś, kobieta, którą w tej chwili miałem przed sobą, niczym nie przypominała poczciwej, głuchawej babuni z czasów owej proszonej kolacji. Teraz była to energiczna, pewna siebie władczyni, nie znosząca jakiegokolwiek sprzeciwu.

- Przyszedł pan, aby odwiedzić Alicję? Skinąłem głową.

- Tak. Byłem w tych okolicach i pomyślałem, że...

- Bardzo mi przykro, ale moja wnuczka jest cierpiąca. Nie może pana przyjąć. Czy ma pan do niej jakąś konkretną sprawę?

- Wszystko zależy od tego, jakie sprawy uważamy za konkretne - odparłem wymijająco. - Dla jednego sprawą konkretną jest spożycie obiadu albo pójście na spacer, a ktoś inny może być zdania, iż konkretna sprawa, to życie pozagrobowe czy też reinkarnacja.

- Jest pan w filozoficznym nastroju.

- W pewnym wieku nastroje filozoficzne pojawiają się coraz częściej.

- Mam osiemdziesiąt lat - powiedziała niespodziewanie.

Uważałem, iż wypada się zdziwić.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że pani reprezentuje tak piękny wiek.

Kobieta jest zawsze kobietą. Z pewną kokieterią poprawiła włosy.

- A pan wie, dlaczego jeszcze jako tako wyglądam? Dlatego, że przez całe moje życie nigdy nie wtrącałam się do cudzych spraw. To bardzo szkodzi zdrowiu, proszę pana.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. W jej oczach dostrzegłem zimny błysk stali. Nie, stanowczo nie była to pocziwa babcia, za jaką chciała uchodzić wtedy podczas mojej pierwszej wizyty.

- To bardzo cenna zasada - powiedziałem z przekonaniem. - Czy sądzi pani, że dotyczy ona w równej mierze spraw ludzi żywych co i umarłych?

Odniosłem wrażenie, że zeszywniała wewnątrz i stała się bardziej czujna.

- Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

- Nic specjalnego. Po prostu interesuje mnie to, czy pani uważa, że nie należy się wtrącać także i do spraw ludzi umarłych.

- De mortuis aut bene, aut nihil.

Przez cały czas naszej rozmowy nie zauważyłem, żeby żwawa staruszka miała przytępiony słuch. Albo więc

zaopatrzyła się w jakiś tajemniczy, niewidoczny aparat, albo wtedy symulowała głuchotę. To ostatnie przypuszczenie wydało mi się bardziej prawdopodobne.

- Nie jestem pewien, czy pani mnie sobie przypomina - powiedziałem swobodnie. - Byłem kiedyś u państwa na kolacji. Zaprosiła mnie pani hrabina Monitelli za pośrednictwem pani Alicji Sarnowskiej.

- Tak, tak”. Pamiętam. Jeżeli się nie mylę, pan pisuje powieści kryminalne.

- Ma pani znakomitą pamięć.

Obserwowałem ją bardzo uważnie. Nie zauważyłem żadnej zmiany w jej twarzy na wspomnienie tamtej Alicji. Albo ten szczegół wypadł jej z pamięci, albo znakomicie panowała nad sobą, nad swoimi odruchami.

- Dziwne jest życie ludzkie - powiedziała zamyślona. - Znajdujemy się właściwie w nieustannym zagrożeniu. To taki taniec na linie nad przepaścią, w której czyha śmierć. Czy warto jeszcze dodatkowo się narażać?

- To zależy od usposobienia.

- A pan? Jakie pan ma usposobienie? Uśmiechnąłem się.

- Trudno mi tak jednym zdaniem na to odpowiedzieć.

- Czy zaryzykowałby pan życie, aby wykryć jakąś tajemnicę, która bezpośrednio pana nie dotyczy?

- Nie wykluczam takiej możliwości - odparłem wolno, patrząc jej uparcie w oczy. - Może się to wydać paradoksem, ale jeżeli ryzykuję, to czynię to w sposób bardzo ostrożny i przemyślany. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem efekciarstwa, głupiej brawury. Nigdy nie lekceważę niebezpieczeństwa i zawsze się asekuruję. - Na ostatnie słowa położyłem specjalny nacisk.

- Widzę, że jest pan rozumnym człowiekiem - powiedziała z uznaniem. Trudno mi było odgadnąć: szczerym czy udanym. - Jak długo ma pan zamiar pozostać w Italii?

- Nie wiem. Nie określiłem jeszcze terminu mojego powrotu do Polski.

- Jest pan Polakiem?

Spojrzałem zdziwiony. Byłem pewien, że ten szczegół jest jej znany.

- Tak. Jestem Polakiem.

- To dzielny naród.

W milczeniu skinąłem głową. Stara dama dyskretnie spojrzała na zegarek i zaczęła nagle zdradzać objawy zdenerwowania.

- A więc co mam przekazać od pana Alicji?

- Przede wszystkim życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. A poza tym, jeżeli panie pozwoli, to któregoś dnia zatelefonuję.

- Będzie nam bardzo miło. Rozmowa z panem sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Tak rzadko w dzisiejszych czasach spotyka się ludzi wykształconych i dobrze wychowanych.

Odwzajemniłem się wiązanką wyszukanych duserów. Na pożegnanie dystygowana matrona królewskim gestem podała mi rękę do pocałowania i wtedy nagle poczułem, że do mojej dłoni wędruje ostrożnie papierowa kulka. Oczywiście nie dałem poznać po sobie zdziwienia ani zmieszania. Wycofałem się w istic dworskich ukłonach, przepraszając, dziękując, życząc zdrowia i wszelkiej pomyślności. Czuję się nieomal jak dworzanin albo muszkieter któregoś z Ludwików.

Do bramy odprowadził mnie ten sam krzepki pacholek, który od pierwszej chwili naszej znajomości nie wzbudził mojej sympatii.

Kawał drogi przeszedłem piechotą, nie oglądając się ani nie czekając na moją obstawę. Musiałem zachować wszystkie możliwe środki ostrożności. Nie miałem przecież pewności, czy nie jestem śledzony. Woląłem nie ryzykować.

Dopiero na via Appia Antica dogonił mnie mój towarzysz. Zręcznie wskoczyłem do wozu i zatrzasnąłem drzwiczki.

- No i co? - spytał Kudela.

- Zaraz zobaczymy.

Rozwinąłem papierową kulkę, którą do tej pory trzymałem w zaciśniętej pięści. Tajemniczy liścik był bardzo lakoniczny:

„Mam do pana zaufanie. Proszę być jutro o godzinie szesnastej na Piazza Navona przy środkowej fontannie”.

Żadnego podpisu.

Przetłumaczyłem, nie będąc pewny, czy porucznik zrozumiał.

- Czy to piękna Alicja usiłuje pana poderwać? - spytał.

Potrząsnąłem głową.

- Nie. To pewna dystyngowana staruszka wręczyła mi po kryjomu ten liścik.

- Staruszka?

Musiałem mu opowiedzieć cały przebieg mojej wizyty. Miał zaszepioną minę.

- Pójdzie pan na to spotkanie? - zapytał.

- Oczywiście. Nie wiem wprawdzie, kto będzie na mnie czekał na Piazza Navona, ale pójść muszę.

- Cholerny świat - mruknął. - Sprawa się komplikuje. Ciekawe, co też za niespodziankę szykuje babcia.

- Zobaczymy. - Wzruszyłem ramionami.

* * *

Miałem zamiar wcześniej pójść spać i porządnie wypocząć. Właśnie zacząłem się rozbierać, kiedy znowu niespodziewanie odwiedziła mnie Luiza. Była ogromnie podekscytowana.

- Jadę wprost z Fiumicino - powiedziała.

- No i co? - spytałem, wiedząc, że czeka na jakąś zachętę z mojej strony.

- Zdaje się, że wiem, dokąd zawieźli Roberta.

- Czyżby?

- Chyba tak. Niech pan sobie wyobrazi, że znalazłam w porcie cieślę, który coś tam reperował na tym ich przeklętym jachcie. Zupełnie przypadkowo podsłuchał rozmowę. Mówili, że płyną do Circeo. - Spojrzała na mnie triumfalnie. - No i co pan na to?

- No cóż... - odparłem bez entuzjazmu. - To nie jest wykluczone, ale również nie możemy mieć pewności, że rzeczywiście udali się do Circeo. Po pierwsze, ci ludzie którzy między sobą rozmawiali, mogli nie być dostatecznie poinformowani, a po drugie, tego rodzaju plany często ulegają nagłym zmianom.

- W każdym razie ja jadę do Circeo - powiedziała zdecydowanym tonem.

Struchlałem. Ta szalona dziewczyna mogła nam bardzo pokrzyżować szyki. Nie miałem pojęcia, jakich argumentów użyć, aby ją odwieść od tego niefortunnego zamiaru. Próbowałem delikatnie jej to wyperswadować, ale natrafiłem na tak zdecydowany opór, że dałem za wygraną. Z dwojga złego wolałem już mieć ją pod ścisłą obserwacją.

- Dlaczego właściwie nie mielibyśmy pojechać razem do Circeo? - powiedziałem.

Ucieszyła się, aż klasnęła w ręce.

- Naprawdę? Chciałby pan?

- Oczywiście. Nie widzę żadnych przeszkód.

- Kiedy wyruszamy?

- Niech pani do mnie zatelefonuje jutro wieczorem. Wolę, żeby pani zadzwoniła, niż przychodziła osobiście. Ze względu na właścicielkę pensjonatu. Pani rozumie?

Skinęła głową i wybiegła w podskokach”. Patrzyłem w ślad za nią, mocno zafrasowany. Nie mogłem przecież przewidzieć, co jeszcze wymyśli ta postrzelona dziewczyna.

Oczywiście wybiłem się ze snu. Zacząłem rozmyślać nad tym, jakie nowe komplikacje mogą powstać w związku z pojawieniem się w Circeo jachtu „Golden Monkey”. Nie było zresztą wykluczone, iż handlarze narkotyków mają powiązania z owym Antoniem, który nas interesuje. Oznaczałoby to poważne wzmocnienie sił wroga. Miałem wprawdzie teraz godną pozazdroszczenia obstawę, ale nec Hercules contra plures.

W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma najmniejszego sensu nadweręzać szarych komórek i zacząłem czytać jakieś nudne sentymentalne powieści. Na kryminały stanowczo nie miałem ochoty.

Rano obudziłem się rześki i w dobrym nastroju. Zaraz po śniadaniu zameldował się Kudela. Doszliśmy do wniosku, że należy trochę czasu poświęcić życiu kulturalnemu. Zaproponowałem, żebyśmy poszli do muzeum, do Villa Borghese. Porucznik zgodził się chętnie, ponieważ ten przybytek sztuki znał tylko ze słyszenia.

Już mieliśmy wychodzić, kiedy w drzwiach pojawił się Henius. Był uśmiechnięty, wesolutki i sprawiał wrażenie zadowolonego z życia.

- Ciao - rzucił gromkim głosem. - Wybieracie się dokądś?

Wyjaśniłem, że idziemy do muzeum.

- To świetnie! - ucieszył się, poruszając ochoczo olbrzymimi barami. - Pójdę z wami. Nigdy w życiu nie byłem w żadnym muzeum.

To szczere wyznanie wzruszyło mnie, ale towarzystwo Pieszczocha nie bardzo było nam na rękę. Jego gigantyczna sylwetka zbyt rzucała się w oczy, co w naszej sytuacji nie było rzeczą pożądaną. Próbowałem więc przedstawić zwiedzanie muzeum jako coś niesłychanie nudnego i nieatrakcyjnego, ale Henius uparł się, twierdząc, że od dawna marzył o tym, żeby zobaczyć, co jest w środku muzeum. Wreszcie zgodziliśmy się zabrać go ze sobą.

Dzień był pogodny, słoneczny i nadspodziewanie ciepły. Ciągle jeszcze trudno było uwierzyć w nadchodzącą zimę. Jedynie kolorowe liście gęsto zaścielenające aleje parku wskazywały na późną jesień.

Henius, jak to zresztą przewidywaliśmy, zwracał powszechną uwagę. Co chwila ktoś przystawał, odwracał się i patrzył zdumiony. Słysząc było pełne podziwu okrzyki: „Guarda, guarda chi si vede! Maciste!” Najwidoczniej brano naszego przyjaciela za legendarnego mocarza, bohatera seryjnych filmów jarmarcznych.

Dochodziliśmy właśnie do drzwi muzeum, gdy posłyszałem nad moją głową groźne zgrzytanie zębami. Spojrzałem zaskoczony i zobaczyłem nagłą zmianę w twarzy Heniusia. Beztroski uśmiech zniknął bez śladu, a na jego miejsce pojawił się wyraz dzikiej zaciętości.

- Co ci jest? - spytałem niespokojnie, chwytając go za rękę.

- Nareszcie... nareszcie mam skurwysyna. Widzisz tego ryżego bandziora? Tam...

Szarpnął się. Przytrzymałem go mocno. Z drugiej strony chwycił go Kudela.

- Uspokój się - powiedziałem rozkazująco. - Kto? Gdzie?

- Tam... Ten ryży... To on wtedy... To on z tego jachtu...

Spojrzałem we wskazanym kierunku i... osłupiałem. W drzwi muzeum wchodził spokojnym, powolnym krokiem Fryderyk Hassel, wiedeński handlowiec, którego poznałem na kolacji u hrabiny Monitelli i którego, jak twierdziła Luiza, zastrzelono w Neapolu.

- Puszczajcie! - warknął Heniuś. - Puszczajcie do wszystkich diabłów! Ja mu pokażę, draniowi.

Z największym wysiłkiem udało się nam powstrzymać rozsierzonego Heniusia.

- Posłuchaj, idioto - powiedziałem stanowczo. - Przestań się, do jasnej cholery, awanturować i stój spokojnie. Nie będziesz tutaj urządzał żadnych skandali. To nic nie da, a skończy się na tym, że zamkną cię do pudła. Nie zależy ci chyba, żeby zadzierać z włoską policją?

- Ja muszę... Nie mogę go wypuścić... Muszę dać mu porządny wycisk...

- Żadnego wycisku nie będziesz nikomu teraz dawał. Ja znam tego faceta. Jeżeli się nie mylisz, to znaczy, że jest to lepszy numer. Musimy działać ostrożnie, z głową. Nic nam z tego nie przyjdzie, że go strzelisz w mordę. Wiemy, że jesteś krzepki chłopak, ale nie o to w tej chwili chodzi.

Pod wpływem moich słów Heniuś zaczął się uspokajać.

- No to co robimy?

- Ja pójdę za nim - zdecydowałem. - A wy obstawcie teren. Jakby mi zwał, siadajcie do wozu i jedźcie za nim. Zanotujcie numer rejestracyjny jego samochodu i starajcie się wysledzić, dokąd jedzie. W żadnym wypadku nie należy go zatrzymywać.

Ostrożnie ruszyłem w ślad za Austriakiem. Nie mogłem się zorientować, że jest śledzony. Zresztą nie byłem pewien, czy w ogóle mnie pamięta. Upłynęło przecież sporo czasu od owej prośzonej kolacji, podczas której prawie w ogóle się mną nie interesował. Mógł zapomnieć, jak wyglądam.

Galieria Borghese zawsze robi na mnie ogromne wrażenie. Te imponujące sale wypełnione najwspanialszymi dziełami sztuki na każdego muszą działać urzekająco. Rzeźby Berniniego i Canovy, bezcenne płótna mistrzów renesansu onieśmielają i

zachwycają zarazem, przenoszą w inny świat, pozwalają obcować z dawno nieżyjącymi prawdziwymi artystami. Tym razem jednak nie patrzyłem ani na rzeźby, ani na obrazy. Cała moja uwaga skupiła się na wiedeńskim handlowcu. Musiałem tak lawirować, żeby nie stracić go z oczu, samemu nie będąc widzianym. Dopomagał mi w tym kolor jego krótko przystrzyżonych włosów. Rudawa czupryna widoczna była nawet z dużej odległości.

Wyglądało na to, że herr Hassel nie zamierzał oddawać się kontemplacji arcydzieł. Mijał jedną salę po drugiej i tylko od czasu do czasu darzył roztargnionym spojrzeniem jakąś rzeźbę czy obraz. Pomyślałem, że zapewne ma się tutaj z kimś spotkać. I nie omyliłem się.

Przyznaję, że to był dla mnie szok. Tego się nie spodziewałem.

Stała przed portretem jakiejś pięknej damy. Podeszedł i przywitał ją lekkim skinieniem głowy. Nie podali sobie rąk. Pozornie wyglądali jak dwoje ludzi, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego. Gdybym ich nie śledził, to zapewne nie zorientowałbym się, że się znają.

Zamienili ze sobą parę słów i Austriak z niezwykłą zręcznością wrzucił do otwartej torby jakąś kartkę. Następnie odszedł pośpiesznie. Luiza została przed portretem.

Nie ruszyłem się ze swego miejsca. Byłem tak zaskoczony tym, co zobaczyłem, że nie wiedziałem, jak się mam zachować i co w takiej sytuacji powinienem przedsięwziąć. Zrezygnowałem z dalszego śledzenia. Zresztą byłem pewien, że Hassel nie wymknie się moim kumplom. W pierwszym odruchu chciałem podejść do Luizy, ale zrezygnowałem z tego. Musiałem wszystko dokładnie przemyśleć.

Wyszedłem z muzeum, pochodziłem trochę po parku i wreszcie, zmęczony, usiadłem na ławce. Słońce grzało tak mocno, że można się było opalać. Nic mnie jednak nie cieszyło. Ani piękny dzień, ani ten pełen uroku park, ani zgrabne dziewczęta przechadzające się po alejach. Ogarnęło mnie przygnębienie. Raz jeszcze przekonałem się naocznie, że jako tajny agent jestem zupełnie do kitu.

Luiza. Kto by się spodziewał? Kto by przypuszczał, że ta pozornie szczerą, przyjacielską dziewczyną kombinuje coś po kryjomu z tym austriackim gangsterem. Najpierw wmówiła we mnie, że zabili go w Neapolu. A teraz... Dałem się nabrać. Do diabła! A może to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją zmierzającą do tego, żeby mnie wprowadzić w błąd? Przeraziłem się. Ale zaraz pojawiła się trzeźwa refleksja. Niemożliwe. Dozorca cementarny, zamiana tablicy, kamieniarz... Wszystko to miałoby być udane, zainscenizowane, wyreżyserowane? Niemożliwe. Zresztą po co? W jakim celu? Ale Luiza...? Co ona ma wspólnego z tym drabem? A może to wcale nie gangster? Dlaczego właściwie uważam go za gangstera? Gangster, gangster. Nie ma wątpliwości. Bandzior. Rudy, ohydny bandzior. „Nie każdy rudy jest bandziorem” - podsunął mi nieśmiało zdrowy rozsądek. „Ale ten na pewno jest bandziorem. Nie ma wątpliwości” - odpowiedziałem autorytatywnie.

Było mi piekielnie przykro, że Luiza prowadzi podwójną grę. Przygnębiony wyszedłem z parku. Ogarnęło mnie uczucie ogromnego zniechęcenia. Zjadłem coś w przygodnie napotkanej trattorii i pojechałem do pensjonatu. Byłem w fatalnym nastroju.

Po pewnym czasie pojawili się moi współpracownicy. Kudela był jak zwykle spokojny i zrównoważony, natomiast Heniuś nie ukrywał złego humoru.

- Cholera jasna! Znowu nic z tego. Zamiast wziąć drania za łeb i spuścić mu porządne manto, to czekamy nie wiadomo na co. Jak mnie to wszystko wkurzy, to zostawię was i sam, na własną rękę, załatwię sprawę jak należy.

Zaczekałem, aż się Pieszczoch wygada.

- No i co? - spytałem.

- Pojechał na Piazza Colonna - poinformował mnie Kudela.
- Spotkał się w kawiarni z jakimś typem, posiedzieli chwilę i pojechali na via Nomentana. Tam zaparkowali wóz i weszli do jakiegoś domu. Postaliśmy trochę, ale pomyślałem, że nie ma sensu dłużej czekać.

- Zapisaliście numer tego domu?

- Oczywiście. I numer domu, i numer wozu.
- Jak wyglądał ten facet, z którym się Hassel spotkał?
- Typowy Włoch, czarniawy, elegancko ubrany, w białej koszuli. Modny krawat, buty wyczyszczone do połysku, jak to oni.

- Stary? Młody?
- W średnim wieku. Może ma czterdzieści, może trochę więcej.

- Co robimy, szefie - szepnął Heniuś, który już trochę opanował swoje rozżalenie.

- Jutro z samego rana jedziemy do Circeo. Tak jak to było ustalone. Pojedzie z nami Luiza.

- Po jaką cholere?! - krzyknął Heniuś.

- Spokojnie. Nie denerwuj się. Miała jechać sama. Podobno ten jacht popłynął do Circeo. Wolę ją mieć na oku. Diabli wiedzą, co mogłaby narozrabiać.

- Bardzo słusznie - poparł mnie Kudela. - Lepiej nie pozwolić jej na samodzielne działanie. Ale skąd wiadomość, że ten jacht popłynął do Circeo?

- Powiedziała mi Luiza. Podobno spotkała jakiegoś cieślę, który coś tam robił na pokładzie „Golden Monkey” i podsłuchiwał rozmowę.

Porucznik z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To niepewna informacja, ale zobaczymy. Czy tak, czy owak jedziemy do Circeo.

- Ale jak tam ich dopadnę, to ciemna mogiła - zawołał wojowniczo Heniuś.

Ustaliliśmy, że wczesnym rankiem przyjadą po mnie i ruszymy w drogę.

Byli już w drzwiach, kiedy nagle przypomniałem sobie, że przecież o szesnastej mam tę tajemniczą randkę na Piazza Navona. Nie byłem zdecydowany, czy mam pójść sam czy w towarzystwie mojej obstawy. Zwierzyłem się głośno z tych wątpliwości.

- Coś ty, Zygmuf? - naskoczył na mnie Pieszczoch. - Z byka spadłeś czy jak? Nawet nie wiesz, z kim się masz spotkać, i sam

chcesz iść? Żeby cię tam gdzie nożem pchnęli? Wykluczone. Nie puścimy cię samego.

- Ja myślę podobnie - odezwał się Kudela. - Będziemy pana ubezpieczali. Sicher ist sicher. Nie mamy przecież nic lepszego do roboty.

- Dobrze - zgodziłem się. - Ale ubezpieczajcie mnie ostrożnie, żeby się nikt nie skapował.

- Spokojna głowa.

Za pięć szesnasta byłem na Piazza Navona i udawałem turystę, przyglądając się z zacięciem rzeźbom Berniniego. Naga postać wykuta w białym marmurze błyszczała w słońcu. Opodal, na żelaznych prętach okalających fontannę, siedzieli miejscowi hippisi. Mieli smutne i znudzone miny. Spojrzeli na mnie bez zainteresowania.

Przez parę minut stałem nieruchomo wpatrzony w rzeźbę, ale nie mogłem zbyt długo przeciągać tej kontemplacji. Już miałem powolnym krokiem przejść do następnej fontanny, kiedy za moimi plecami posłyszałem czyjeś kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem... zakonnice.

- Proszę iść za mną, tylko ostrożnie - powiedziała bardzo cicho, nie zatrzymując się ani na sekundę.

Postałem jeszcze krótką chwilę, a następnie ruszyłem w ślad za tajemniczą siostrzyczką. Zdążyłem zauważyć, że była młoda i bardzo ładna. To dodało mi otuchy. Nie wiem dlaczego, ale jakoś większe mam zaufanie do kobiet młodych i ładnych aniżeli do starych i brzydkich.

Przeszliśmy cały plac i zagłębiliśmy się w wąskie uliczki. Na jednej z nich (nazwy już dzisiaj nie pamiętam) stał duży czarny samochód. Nie zdążyłem się nawet zorientować, jakiej był marki, bo energiczna zakonnica błyskawicznie otworzyła drzwiczki i zdecydowanym ruchem wepchnęła mnie do środka.

- Pręgo - powiedziała niezwykle dźwięcznym, melodyjnym głosem.

Ruszyliśmy natychmiast. Dopiero po chwili zorientowałem się, że okna są zasłonięte firankami, a od kierowcy oddziela nas matowa szyba. Poczuję się jak w celi więziennej. Sięgnąłem

odruchowo, aby odsłonić firankę, ale moja towarzyszka przytrzymała mnie za rękę.

- Nie trzeba - powiedziała z czarującym uśmiechem. - E proibito.

- Dlaczego to jest zabronione? - spytałem zdziwiony.

- E proibito - powtórzyła z uporem.

Nie nalegałem. Czulem, że jedziemy dosyć szybko. Po pewnym czasie szum miasta zaczął się oddalać. Nasz samochód zwiększył jeszcze prędkość.

- Dokąd mnie siostra wiezie? - spytałem.

Znowu się uśmiechnęła. Była bardzo piękna. Kiedyś dawno, bardzo dawno temu, za studenckich lat, marzyłem o tym, żeby mieć romans z zakonnica albo... policjantką. Wydawało mi się to wtedy szczytem per wersji. Zresztą nigdy przedtem nie zdarzyło mi się spotkać tak uroczej siostry zakonnej. A teraz nie czas już było myśleć o takich sprawach, tym bardziej że zaczynał mnie ogarniać coraz większy niepokój. „Gdzie ona mnie wiezie, do wszystkich diabłów?” - myślałem niezbyt pobożnie, choć przy mnie siedziała osoba świętobliwa. To zamknięcie w pudle samochodu i odseparowanie od otaczającego świata wpływało na mnie deprymująco. Nie mogłem nawet sprawdzić, czy jadą za mną moi kumple. Tylne okienko także było zasłonięte.

Widząc moje zdenerwowanie, miłosierna siostrzyczka uśmiechnęła się do mnie uspokajająco.

- Niech się pan nie boi. Nic panu nie grozi - powiedziała.

- Ależ ja się wcale nie boję - oburzyłem się. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Tym lepiej.

Wreszcie nasz wehikuł zwolnił i zaczął podskakiwać. Miałem wrażenie, że z asfaltu wjechaliśmy na kocie łby. Przez chwilę trzęśliśmy się niemiłosiernie, a następnie znowu wydostaliśmy się na równą drogę. Samochód stanął.

Na sygnał dany klaksonem skrzypnęły złowieszczo potężne zawiasy. Nie miałem wątpliwości, że wjeżdżamy w jakąś bramę, która zatrzasnęła się za nami z łomotem. Poczulem, że kroplisty pot występuje mi na czoło. Pomyślałem z goryczą, że

sam tego chciałem. Teraz już nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Jeżeli nawet Kudela i Heniusz pilnowali mnie, to zostali po tamtej stronie.

Zatrzymaliśmy się. Ciągłe uprzejmie uśmiechnięta siostrzyczka otworzyła drzwiczki i wysiadła z wozu.

- Venga, per favore - powiedziała. Wysiadłem i rozejrzałem się.

Było to obszerne podwórze klasztorne otoczone wysokim białym murem. Dookoła biegly podcienia ozdobione romańskimi łukami, wspartymi na kolumnach. Oprócz mnie i mojej towarzyszki podróży nie było nikogo. Nawet szofer nie opuścił swojego posterunku i pozostał za kierownicą. Nie mogłem dojrzeć jego twarzy. Nie wiedziałem, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Bez żadnego oporu pozwoliłem się prowadzić przez długie, mroczne korytarze. Zdawało mi się, że nigdy nie doczekam się kresu tej wędrówki. Wyobrażałem sobie, że gdzieś tam przygotowano dla mnie grób. „Żeby tylko załatwili to bezboleśnie” - myślałem ze smętną rezygnacją. Wiedziałem przecież, że tutaj nikt mi nie pospieszy z pomocą. A walka? Uśmiechnąłem się szyderczo do tej myśli. Cóż mogłem zdziałać sam jeden z tym idiotycznym pistoletem w kieszeni? Jak będą chcieli, to rzucają się na mnie i rozerwą na strzępy, zanim zdążę zrobić użytek z broni. Nie, nie miałem żadnych szans.

Wszystko ma swój koniec. Wędrówka korytarzami także dobiegła kresu. Weszliśmy do obszernej, łukowo sklepionej sali. Oświetlona była elektrycznymi lampami, ponieważ przez wąskie, zakratowane okna przedostawało się zbyt skąpe światło. Umebłowanie było nader skromne: ciężki dębowy stół, proste ławy i parę krzeseł z wysokimi oparciami, na ścianie krzyż. To wszystko.

- Un momento, per favore - powiedziała moja opiekunka, obdarzając mnie życzliwym, jakby współczującym spojrzeniem (tak mi się przynajmniej wydawało) i zniknęła.

Zostałem sam ze swoimi niezbyt wesołymi myślami, pełen niepewności i oczekiwania. Stokroć wolę realne, konkretne niebezpieczeństwo aniżeli czekanie na coś tajemniczego,

nieznanego. Wyjąłem z kieszeni pistolet, sprawdziłem magazynek i wprowadziłem nabój do lufy. „Drogo sprzedam życie” - pomyślałem patetycznie. Nie miałem zamiaru poddać się bez walki.

Cicho weszły trzy stare kobiety. Przyniosły gliniany dzban, jak się później okazało, pełen wina, ogromne kryształowe kielichy, chleb, michę dymiącej soczewicy, łyżki i talerze. Całkowicie zignorowały moją obecność. Poustawiały to wszystko na stole i bezszelestnie zniknęły.

„Czyżby szykowały dla mnie ostatnią wieczerzę?” - pomyślałem.

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się zbyt długo nad tą kwestią, ponieważ drzwi otworzyły się z hałasem i do klasztornej komnaty wkroczyła uroczyście babcia Luizy.

Z trudem ją rozpoznałem. Ubrana była w długą, białą suknię, uszytą na kształt habitu zakonnego. Ciężka materia sphywała fałdami aż do ziemi. W pasie przewiązana była grubym, jedwabnym sznurem złocistego koloru, na szyi zaś miała bursztyny, ogromne, pięknie szlifowane, mieniące się barwą leśnego miodu. Z siwych włosów uczesanych w wysoki, misternie ułożony kok opadał na ramiona czarny koronkowy szal.

Powitała mnie uprzejmym skinieniem głowy i przemówiła mocnym, dźwięcznym głosem, który zupełnie nie harmonizował z jej wiekiem.

- Dziękuję, że zechciał pan przyjechać. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Proszę się nie dziwić, że podróż wypadła może trochę dziwnie, ale jestem zmuszona zachować daleko idące środki ostrożności. Sądziłam, że może będzie pan głodny i dlatego... Wskazała ruchem ręki soczewicę. - Proszę, niech pan siada. Proszę wybaczyć ten skromny poczęstunek, aie jesteśmy w klasztorze.

Zupełnie nie byłem głodny. Musiałem jednak zjeść choć odrobinę, aby nie wyglądało, że gardzę „skromnym poczęstunkiem”. Wino okazało się znakomite.

Babcia dziarsko pociągała z kryształowego kielicha. Wkrótce młodzieńcze rumieńce zabarwiły jej policzki.

- Jest pan dzielny, odważnym człowiekiem - powiedziała z ogromną powagą.

- To rodzinne - stwierdziłem, skromnie spuszcając oczy. Zrobiło mi się trochę raźniej. Obraz wykopanego dla mnie grobu poczynął zacierać się w mojej wyobraźni.

- Jest pan dzielny, odważnym człowiekiem - powtórzyła dostojna matrona. - I dlatego postanowiłam z panem szczerze porozmawiać. Liczę na pana. Wierzę w pana. Ufam panu.

Byłem zaskoczony tym nagłym, niespodziewanym wyznaniem. Czułem, że wypada mi coś powiedzieć.

- Bardzo pani łaskawa - bąknąłem niepewnie. - Doprawdy nie zasłużyłem...

- Tak - podjęła swe przemówienie babcia Luizy. - Ufam panu, ponieważ czuję instynktownie, że jest pan nie tylko odważnym, ale i porządnym człowiekiem. To są rzadko spotykane cechy w dzisiejszych trudnych i skomplikowanych czasach. Wiem, jestem pewna, że nie odmówi pan pomocy starej, zrozpaczonej kobiecie.

Znowu ogarnął mnie niepokój.

- Nie chciałbym, żeby pani przeceniała moje możliwości - powiedziałem na wszelki wypadek.

Potrząsnęła głową z młodzieńczą nieomal energią.

- Pańska skromność potwierdza tylko to, co mówi mi moja niezawodna intuicja. Ja wiem że mogę panu zaufać i że pan mi pomoże.

Dla kurażu wypilem duży łyk wina.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi. W czym mógłbym być pomocny?

Uśmiechnęła się z miną łaskawej władczyni.

- Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Najpierw jednak chciałam pana o coś zapytać. Czy pan przynajmniej wie, z kim w tej chwili rozmawia?

Zmieszałem się. Rzeczywiście nie miałem pojęcia, jak nazywa się dostojna staruszka. Bezradnym ruchem rozłożyłem ręce.

- Przyznaję, że... Wiem, że pani jest babcią panny Luizy.

- A widzi pan - zaśmiała się cicho. - Czuję, że pan nawet nie zna mojego nazwiska. Jak na tajnego agenta, jest pan niedostatecznie poinformowany.

- Nie jestem tajnym agentem - zaprzeczyłem ożywieniem. Machnęła ręką.

- Dajmy temu spokój. Nie musi się pan wypierać, a ja nie mam najmniejszego zamiaru wypytywać pana. Najzupełniej mi to wystarczy, że jest pan dzielny, odważny i uczciwym człowiekiem. A więc chciałabym przedstawić się panu. Jestem baronowa Klaudia von Hochmannsthal de domo hrabianka Bramentelli.

Wstałem i ukloniłem się z szacunkiem. W milczeniu podała mi dłoń do pocałowania i odetchnęła z widoczną ulgą. Najwyraźniej dręczyło ją to, że nie znam jej nazwiska. Dla mnie to nie miało najmniejszego znaczenia. W mojej świadomości mogła do końca życia pozostać babcią Luizy.

- Teraz będziemy mogli już zupełnie swobodnie porozmawiać - powiedziała wesoło. - Może pana to dziwi, ale ja jednak ciągle jeszcze jestem przywiązana do dawnych konwenansów. Trudno jest mi się przyzwyczaić do dzisiejszego świata. Myślę, że wszyscy starzy zawsze tak mówili, od początku dziejów ludzkości. Dużo się zmieniło od czasu mojej młodości, bardzo dużo.

- Tempom mutantur, et nos mutamur in illis - wtrąciłem sentencjonalnie.

Pokiwała głową.

- To prawda, że czasy się zmieniają, ale ja, niestety, nie nadążam za tymi zmianami.

Babcia zamyśliła się. Nie przerywałem milczenia. Ciągle nie wiedziałem, o co chodzi. Lżej mi było jednak na duszy. Z tej całej rozmowy wynikało jasno, że nikt nie ma zamiaru strzelić mi w łeb ani pokrajać nożem na kawałki, przynajmniej na razie.

- Ale do rzeczy. - Baronowa ocknęła się z zadumy i łyknęła solidny haust wina. Kryształowe puchary miały co najmniej półlitrową pojemność. - Do rzeczy - powtórzyła w przyływie

nowej energii. - Czy pan może mi przyrzec, że to, co powiem, nie wyjdzie poza ściany tego świętego przybytku?

Wcale nie byłem pewien, czy będę mógł dotrzymać tajemnicy, ale czułem, że nie powinienem dać tego poznać po sobie. Jakikolwiek wahanie mogłoby radykalnie zmienić moją sytuację, czego sobie wcale nie życzyłem.

- Przyrzekam - powiedziałem uroczyście.

- Bo widzi pan... tutaj wchodzi w grę dobre imię naszego rodu.

Poważnie skinąłem głową.

- Rozumiem.

- Nie ma pan pojęcia, młodzieńcze, jak bardzo się cieszę, iż spotkałam pana na drodze mojego życia w tej trudnej sytuacji.

Już od bardzo dawna nikt nie nazywał mnie młodzieńcem. To określenie wobec sześćdziesięcioletniego mężczyzny mogłoby zabrzmieć jak przykra drwina, gdyby nie zostało wypowiedziane - z dostojną powagą. Poczulem się trochę dziwnie, ale mimo wszystko w jakiś sposób polechtało moją próżność. Pełen wigoru, dumnym wzrokiem potoczyłem dokoła, jakby szukając przeciwników, z którymi miałbym się zmierzyć. Nie muszę chyba wyjaśniać, że w gruncie rzeczy nie tęskniłem do walki.

- Czy pan jest skłonny wysłuchać tragicznej opowieści starej, ciężko doświadczonej przez los kobiety? - spytała baronowa, zatapiając w mych oczach badawcze spojrzenie.

- Zamieniam się w słuch - odrzekłem, bliżej przysuwając ciężkie, dębowe krzesło z rzeźbioną poręczą.

- Byłam młodziutką dziewczyną, kiedy mnie poślubił arystokrata hiszpański, Filip Juan Gonzaga - zaczęła swą opowieść babcia Luizy. - Z tego małżeństwa urodziła się Matylda, która następnie wyszła za mąż za hrabiego Arnolda Monitelli. Niestety, mój mąż Filip lubił szybką jazdę automobilem i zginął biedaczysko w tragicznym wypadku. Długo go oplakiwałam, gdyż był dobrym i szlachetnym człowiekiem. Wreszcie jednak zabrakło mi łez i wyszłam powtórnie za mąż za barona Wilhelma von Hochmannstahl, z którym miałam córkę Konstancję, dobrą, pobożną i posłuszną

dziewczyne. Nigdy nie miałam z nią najmniejszego kłopotu. Konstancja poślubiła Polaka, Karola Sarnowskiego. Był to człowiek odważny, taki jak pan o niespożytej energii i olbrzymiej przedsiębiorczości. Już przed wojną; robił jakieś znakomite interesy handlowe, jeździł po świecie, stał się właścicielem kopalni złota czy też diamentów w Afryce Południowej. W czasie wojny wielokrotnie powiększył swój olbrzymi już wówczas majątek. Zmarł na atak serca podczas jednej ze swych licznych podróży do krajów tropikalnych. Zostawił żonę i dwie córki. Jedna z tych córek pochodziła z nieprawego łoża. Obydwie nosiły to samo imię, Alicja. Nie wiem dlaczego, ale widocznie Sarnowski tak sobie życzył. Był to trochę dziwak.

- Czy ta nieślubna córka nosiła jego nazwisko?

- Tak. I to bardzo wszystko skomplikowało. Były dwie Alicje Sarnowskie, które...

- Które pretendowały do olbrzymiego spadku po ojcu - dokończyłem.

Baronowa wykonała potakujący gest.

- Właśnie. Obydwie miały prawo do tej wspaniałej fortuny. Niestety, jedna z nich zginęła w wypadku samochodowym.

- I została pochowana na cmentarzu w Trevignano.

- Tak. Jest pan dobrze poinformowany.

- Czy to była...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

- Tak, tak. To było dziecko z prawego łoża, to była córka biednej Konstancji.

- A ta, która była tutaj... którą poznałem niedawno... która przyjechała z Polski?

- To nieślubne dziecko Sarnowskiego. Uznał ją, dał jej swoje nazwisko. Był to bardzo porządny człowiek, lecz trochę postrzelony, jak to często zdarza się wśród Polaków. O, bardzo pana przepraszam. Popęliłam fatalną gafę. Pardon.

- Nic nie szkodzi - powiedziałem z wyrozumiałym uśmiechem. - Chciałbym panią zapytać, kim wobec tego jest owa dama, która obecnie mieszka w domu państwa i podaje się za Alicję Sarnowską?

Stara dama gwałtownie zatrzepotała rękami. - Niech mi pan o niej nie wspomina! Niech pan nie rozmawia ze mną na jej temat. To jest podła oszustka, podstawiona przez tych zbrodniarzy.

- Nie orientuję się, pod którym adresem wypowiedziała pani ten epitet.

Twarz baronowej stężała w wyrazie ponurej zawziętości. Jej policzki pokryły się ceglastymi wypiekami.

- Jestem bez przerwy śledzona, terroryzowana. Żeby móc z panem swobodnie porozmawiać, musiałam skorzystać z gościny sióstr zakonnych, które od dawna są moimi przyjaciółkami. Tutaj, w tych murach, nikt nas nie może usłyszeć. Wyłącznie tu możemy czuć się całkowicie bezpieczni.

- Kim są pani prześladowcy? - spytałem. Spojrzała na mnie niespokojnie.

- Przyrzekł pan całkowitą dyskrecję. Czy pan pamięta, że mi pan to przyrzekł?

- Doskonale pamiętam - odparłem zdziwiony. - I podtrzymuję moje przyrzeczenie.

- Bo tu chodzi o honor, o dobre imię naszej rodziny.

- Rozumiem.

Pochyliła się ku mnie i zniżyła głos, jakby jednak nie ufając klasztorным murom.

- Moja córka wpadła w bardzo złe towarzystwo, proszę pana.

Nigdy nie byłem zbyt mocny w tak zwanych drzewach genealogicznych, a te wszystkie koligacje, którymi poczęstowała mnie niesamowita babunia, taki wytworzyły zamęt w mej utrudzonej głowie, że zupełnie straciłem orientację.

- Która córka? - spytałem głupio.

- Jak to która? - zdziwiła się baronowa. - Matylda oczywiście, ta, która swego czasu poślubiła hrabiego Monitelli.

- Wpadła w złe towarzystwo?

- W bardzo złe. Zaprzyjaźniła się z jakimś ciemnym typem. Mam wrażenie, że to po prostu gangster. Jestem pewna, że ma powiązania z mafią sycylijską. Błagałam Matyldę, prosiłam, ale

to nic nie pomogło. Kiedy kobieta się zakocha, nie ma na to rady. A kiedy zakochana kobieta nie jest już pierwszej młodości, to sprawa jest zupełnie beznadziejna.

Nie wypadało mi wyraźnie przytakiwać, więc tylko kiwałem głową ze zrozumieniem.

- I wszystko skomplikowało się w bardzo przykry sposób - mówiła dalej stara dama. - Wpływ tego człowieka na Matylde jest tak wielki, że...

- Czy ta osoba, która obecnie podaje się za Alicję Sarnowską jest podstawiona przez niego? - spytałem.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. To jest bardzo zręcznie zainscenizowane. Chodzi przecież o ogromną fortunę.

- No dobrze... a dokumenty stwierdzające tożsamość?

Baronowa uśmiechnęła się smutno.

- Chyba pan się orientuje, że za pieniądze wszystko można załatwić, przynajmniej w tym kraju, a teraz zapewne i na całym świecie. W dzisiejszych czasach uczciwość wyszła z mody.

Chciałem powiedzieć coś na temat Luizy i Roberta, ale zrezygnowałem z tego. Postanowiłem jak najmniej mówić, a jak najwięcej słuchać. Wszystkie te rewelacje wydawały mi się tak nieprawdopodobne, że ogarnęły mnie wątpliwości. Nie byłem pewien, czy pani baronowa na stare lata nie uległa mitomanii i czy te niesamowite zdarzenia nie zrodziły się w jej chorej wyobraźni. Z drugiej jednak strony wszystkie te szczegóły bardzo pasowały do moich odkryć.

- Czy pani nie myślała o tym, żeby zawiadomić policję? - spytałem po chwili.

Energicznie potrząsnęła głową.

- To wykluczone. W ogóle nie biorę takiej ewentualności pod uwagę. Czy pan sobie wyobraża, co za potworny skandal by wybuchł? Nie, nie, nie mogę tego zrobić. Muszę bronić dobrego imienia naszej rodziny. Niech pan pomyśli, jak by się na to rzucili dziennikarze, telewizja, radio. Stalibyśmy się sensacją dnia, i to jaką sensacją. Wolę raczej umrzeć, aniżeli dopuścić do takiej hańby.

- Wcale pani do tego nie namawiam - zapewniłem ją skwapliwie. - Powiedziałem ot tak sobie, kiedy usłyszałem, że mamy do czynienia z gangsterami.

- Jakie to szczęście, że pan się pojawił - westchnęła. - Jestem pewna, że pan sobie z nimi poradzi.

Nie podzielałem tej opinii, ale nie miałem zamiaru zaprzeczać, przynajmniej na razie.

- Czy zechciałaby mi pani wyjaśnić, na czym właściwie ma polegać moja ewentualna pomoc? Do tej pory bowiem nie orientuję się, co mógłbym dla pani zrobić.

- Niech pan ratuje moją córkę..

- Panią hrabinę Monitelli?

- Ależ nie! Mówię o Konstancji, Konstancji Sarnowskiej.

- To ona żyje?

- Sądzę, że jeszcze tak. Nie mają chyba tyle odwagi, żeby ją zamordować.

- A co się z nią dzieje?

- To straszne, tragiczne - zniżyła głos do szeptu. - Zamknęli ją w szpitalu dla psychicznie chorych.

Pomyślałem, że w tej całej już i tak zagmatwanej sprawie brakowało tylko domu wariatów.

- To rzeczywiście przykre - w moim głosie dźwięczało ogromne przygnębienie.

- Przykre?! - wykrzyknęła baronowa, zgorziona swoją zbyt słabą reakcją. - To zbrodnia. To gwałt. To potworna przemoc!

- Czy mam przez to rozumieć, iż pani Sarnowska jest osobą najzupełniej zdrową?

- Oczywiście. Konstancja jest całkowicie przy zdrowych zmysłach. Chciano jej się pozbyć. Rozumie pan? Tak wszystko zaaranżowali, żeby nie zagradzała drogi do tej olbrzymiej fortuny.

- Czy pani się nie orientuje, gdzie znajduje się ta klinika, w której obecnie przebywa pani Sarnowska?

- To jest gdzieś w okolicach Circeo. Pomyślałem, że wszystkie poszlaki prowadzą do Circeo, i utwierdziłem się w zamiarze odwiedzenia tej uroczej miejscowości.

- Została tam niewątpliwie skierowana na podstawie orzeczenia lekarskiego - dodałem.

- Oczywiście. Nie wątpi pan chyba, że i lekarza można przekupić. Właściwie każdego można przekupić. To tylko kwestia wysokości sumy.

- A może pani przypadkiem zna nazwisko tego lekarza?

- Tak. Doktor Bassoni, Alberto Bassoni.

- Mieszka w Rzymie?

- Tak. To dosyć znany psychiatra. Znajdzie pan jego adres w książce telefonicznej. Proszę mi powiedzieć, czy jest pan gotów pomóc mojej nieszczęśliwej córce?

- Spróbuję - odparłem wymijająco. - Muszę się zastanowić, zbadać dokładnie sprawę. To nie takie proste.

- Jestem pewna, że rycerski duch narodu polskiego zwycięży w panu wszelkie wahanie - rzekła patetycznie baronowa.

Pomyślałem, że obecnie coraz częściej zdrowy rozsądek góruje nad „rycerskim duchem narodu polskiego”. Nie zdradziłem się jednak z tą refleksją. Nie chciałem psuć podniosłego nastroju.

- Niech pani będzie dobrej myśli. Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby pani dopomóc.

- Dziękuję. Jest pan naprawdę szlachetnym i dzielnym człowiekiem. A teraz muszę już wracać do domu. Nie chcę wzbudzać podejrzeń.

- Czy rzeczywiście pozostaje pani pod obserwacją?

Zaśmiała się.

- Bez przerwy pilnują mnie. Cała służba należy do ich szajki. Jeden tylko Giuseppe jest mi oddany. Zapewne widział go pan. Taki z bokobrodami. Wszyscy inni - to bandyci. Czy pan wie, że oni trudnią się handlem narkotykami? Niech pan chwilę zaczeka. Zaraz każę pana odwieźć do domu.

- Bardzo dziękuję, ale to niepotrzebne. Moi przyjaciele czekają na mnie z wozem za bramą.

- O, widzę, że jest pan przewidujący - uśmiechnęła się stara dama. - To dobrze, to nawet bardzo dobrze. W pańskim fachu jest to konieczne.

Nie próbowałem już zaprzeczać, iż nie jestem tajnym agentem, wiedząc że to się na nic nie zda. Podziękowałem baronowej za rozmowę i za znakomite wino, pożegnałem się i z uczuciem prawdziwej ulgi opuściłem mury klasztorne.

Moi wierni towarzysze oczekiwali mnie z niepokojem. Heniusz już nawet przyciągnął skądś żelazną belkę, którą miał zamiar forsować bramę

- Niepokoił się o ciebie. Coś tak długo siedział?

- Odbywałem rekolekcje - uśmiechnąłem się.

- Przecież to adwent. Jedziemy. Później wam wszystko opowiem.

Początkowo zamierzaliśmy udać się do mojego pensjonatu, ale Kudela zaprotestował.

- U mnie będziemy mogli spokojniej pogadać - powiedział. - Właścicielka twojego pensjonatu nie przypadła mi do gustu. Wygląda na taką, która podsłuchuje pod drzwiami.

- To niewykłuczone - przyznałem.

Kiedy znaleźliśmy się w hotelu. Heniusz zaczął się rozglądać za butelczyną. Tym razem jednak porucznik poczęstował nas tylko gumą do żucia. Cóż było robić? Żuliśmy.

W krótkich słowach streściłem moją rozmowę z baronową. Obaj słuchali w skupieniu, poruszając rytmicznie szczękami.

- Chyba będziemy musieli złożyć wizytę temu psychiatrze - odezwał się po chwili milczenia Kudela.

Kiwnąłem głową.

Ustaliliśmy, że nazajutrz wczesnym rankiem odwiedzimy pana doktora, a następnie pojedziemy do Circeo. Przypomniałem sobie, że wieczorem ma przyjść do mnie Luiza. Poprosiłem porucznika, żeby mnie odwiózł do pensjonatu.

Nie byłem pewien czy przyjdzie, ale przyszła. Była poważna i jakby zgaszona. Jej temperament i pewność siebie zniknęły bez śladu. Po namyśle doszedłem do wniosku, że nie powinienem zdradzać się z tym, iż widziałem ją w muzeum w towarzystwie Hassela. Nie wspomniałem też ani słowa o mojej rozmowie z baronową. Ustaliliśmy więc tylko, że do Circeo wyruszymy o dziesiątej rano wozem Kudeli.

- Dlaczego tak późno? - spytała.

- Bo mam jeszcze coś do załatwienia - odparłem, nie wdając się w szczegóły. Nie pytałem też, dlaczego jest smutna.

Dopiero po jej wyjściu przyszło mi na myśl, że może i ona jest terroryzowana.

ROZDZIAŁ VII

- Panowie do kogo?
- Do pana doktora Bassoni.
- Pan doktor o tej porze nie przyjmuje. Jest jeszcze nie ubrany.

- Nic nie szkodzi.
- Nie mogę panów wpuścić.

Pchnąłem drzwi i weszliśmy do przedpokoju. Gospoia zapewne miała zamiar krzyknąć, ale Heniuś położył jej na ustach swą olbrzymią łapę.

- Ani słowa. Kto jest w domu?
- Pan i pani - wybełkotała zduszonym głosem.
- Co tam, Klementyno? Czy ktoś przyszedł? - Z pokoju dobiegł kobiecy głos.

Signora Bassoni była ponętą blondynką o zaokrąglonych kształtach. Miała na sobie kokieteryjny różowy szlafroczek przybrany koronkami.

Zaskoczenie było całkowite. Tak się przeraziła, że nie zdołała nawet wydobyć z siebie głosu.

Rozejrzałem się po hallu. Zauważyłem, że drzwi jednego z pokojów są wyłożone dźwiękoszczelną gąbką, a jego okna mają kraty. Jak się okazało, był to gabinet pana doktora. Po chwili wahania wprowadziłem do niego obie kobiety i zamknąłem drzwi. Klucz zabrałem ze sobą.

Pan doktor nieświadom tego, co się dzieje, zupełnie niezłym tenorem śpiewał w łazience arię Cavaradossiego przed rozstrzelaniem. Szum wody świadczył o tym, że znany psychiatra bierze prysznic.

Zaczekaliśmy chwilę, wychodząc z założenia, iż popisy wokalne nie mogą trwać zbyt długo. I rzeczywiście niebawem signor Bassoni wyszedł z łazienki, wyszedł i zdębiał.

Muszę przyznać, że w całym moim życiu nie widziałem tak osłupiałego człowieka. Upuścił na podłogę ręcznik, otworzył

usta i wybałuszył oczy. Jego okrągła, pełna twarz poczęła gwałtownie zmieniać kolor, z czerwonej zrobiła się trupioblada, a następnie znowu wróciła do barwy świeżej łąki. Wszystko to odbywało się w zupełnym milczeniu. Najwidoczniej struny głosowe odmówiły panu doktorowi posłuszeństwa.

- Żeby faceta szlag nie trafił - zaniepokoił się Heniusz. - Bo nic się nie dowiemy.

Słowa te przerwały nader niezręczne milczenie.

- Co to...? Kto to...? Nie rozumiem... - wykrztusił psychiatra.

Wziąłem go pod rękę i zaprowadziłem w głąb mieszkania o imponującym metrażu.

Znaleźliśmy pokój, który zapewne spełniał rolę biblioteki. Półki z książkami, antyczne biurko, wygodne fotele, piękny dywan.

Wskazałem mu jeden z foteli.

- Niech pan siada - powiedziałem rozkazująco. Zbladł, dolna warga opadła mu i zaczęła drżeć.

Patrzył na mnie przerażony, ciągle jeszcze nie panując nad strunami głosowymi. Kąpielowy szlafrok rozchylił mu się na piersiach, ukazując różowe, tłuste ciało.

- Przyszedliśmy z panem porozmawiać - powiedziałem, siadając naprzeciw niego.

Zauważyłem, że odetchnął z pewną ulgą. Moje słowa upewniły go najwidoczniej w przekonaniu, że nie mam zamiaru natychmiast strzelić mu w łeb.

- Porozmawiać? - Głos miał schrypnięty, wpadający w falset.

- Tak. Chcemy otrzymać od pana pewną informację, panie doktorze. Niech nam pan dobrowolnie powie, w której klinice znajduje się pani Konstancja Sarnowska, skierowana przez pana na leczenie psychiatryczne.

Znowu zaczęła mu drżeć dolna warga.

- Nie wiem... Nic nie wiem... Nie rozumiem... Nie słyszałem o pani Sarnowskiej... Nie wiem, czego ode mnie chcecie?

Uśmiechnąłem się. Miał to być drwiący uśmiech, nie jestem jednak pewien, czy mi się udał.

- Niech nam się pan dobrze przyjrzy, panie doktorze - powiedziałem, nie przestając się uśmiechać. - Czy wyglądamy na ludzi, którzy przyszli do pana w odwiedzinę, żeby sobie pożartować?

Bassoni mimo woli powiódł spojrzeniem po naszych twarzach.

- Myślę, że jest pan na tyle człowiekiem rozsądnym, iż spełni pan naszą prośbę - mówiłem dalej, nie chcąc dopuścić do chwilowej nawet zmiany nastroju. - W przeciwnym razie... »- Urwałem, robiąc brzemienne pauzę. - W przeciwnym razie - podjąłem po chwili - czekają pana smutne chwile, Niech się pan nie łudzi, że ktokolwiek przyjdzie panu z pomocą. A teraz słucham. Czekam na pańską decyzję.

Nastąpiła chwila milczenia. Domyśliłem się, że w duszy pana doktora wre walka, że strach przed jego byłymi mocodawcami zmagają się ze strachem przed nami. Jak zazwyczaj bywa, zwyciężyło bliższe niebezpieczeństwo, to znaczy my.

- Circeo - powiedział bardzo cicho i zwiesił głowę na piersi.

- To znaczy, że pani Sarnowska przebywa w klinice dla chorych psychicznie w Circeo?

- Tak. To jest niedaleko Circeo, kilkanaście kilometrów.

- Jak się nazywa ta klinika?

- Tam jest tylko jedna tego typu. Klinika doktora Longo.

- A teraz niech pan posłucha, signor Bassoni. - Bliżej przysunąłem swoje krzesło i spojrzałem mu wymownie w oczy. - Byłoby niedobrze, gdyby okazało się, że rozminął się pan z prawdą. Musielibyśmy wówczas tu jeszcze wrócić.

- Mówię prawdę, mówię szczerą prawdę. Klnę się na Boga.

- Dobrze. Przyjmujemy za dobrą monetę to, co pan powiedział. Dziękujemy za informację. - Wstałem i podszedłem do drzwi. - Nikt się nigdy od nas nie dowie, że pan zdradził tę tajemnicę. Do pana natomiast należy, żeby pańska żona i gosposia jak najprędzej zapomniały o tym, że tu byliśmy. Leży to w pańskim interesie.

- Oczywiście! - wykrzyknął już normalnym głosem psychiatry. - Mogą panowie być pewni, że ani moja żona, ani gosposia...

- To mnie cieszy, panie Bassoni, to mnie ogromnie cieszy. Do widzenia. Przepraszamy za tak niespodziewaną poranną wizytę. - Odwróciłem się do drzwi. - Aha... Dobrze, że sobie przypomniałem. Tu jest klucz do pańskiego gabinetu. Niech pan z łaski swojej wypuści z niego kobiety. Mam nadzieję, że czują się dobrze.

* * *

Przed pensjonatem czekała już na nas Luiza. Ubrana była w welwetowe spodnie i skórzaną kurtkę. Przez ramię przewiesiła dużą sportową torbę. Wsiadła i ruszyliśmy.

W drodze wyparowało ze mnie poranne zdenerwowanie i jak to zwykle bywa w takich wypadkach, pojawiły się trzeźwe refleksje.

Nie ulegało wątpliwości, że brnę coraz dalej w niebezpieczną przygodę. W tej chwili gra szła na całego i nie mogłem liczyć na żadne względy ze strony przeciwnika. Wiedziałem, że jedziemy w przysłowiową paszczę lwa, i ta świadomość działała na mnie deprymująco. Szczerze mówiąc, nie mam w sobie owej rycerskiej brawury, o którą posądzała mnie baronowa. Z natury jestem człowiekiem spokojnym, łagodnym i zawsze staram się unikać przykrych rozmów, scysji, awantur. W tym wypadku jednak czułem, iż nie obejdzie się bez „przykrych rozmów”. Osoba Antonia Diamonta urosła w mej wyobraźni do rozmiarów jakiegoś gigantycznego potwora, ziejącego ogniem i czyhającego na moje życie. Straciłem nawet wiarę w potężne mięśnie Heniusia i talenty Kudeli.

W pewnym momencie Heniusz wymierzył mi potężną sójkę w bok, aż we mnie dech zapało.

- Cóż tak zmarkotniał, Zygmuś?

- Nic... Tak sobie... Myślę... - odparłem wymijająco.

- Popatrz, jakie ładne widoczki dookoła Nic tylko sięść i malować.

Nie zwróciłem nawet uwagi na plastyczne tęsknoty Pieszczocha. W tej chwili nie cieszył mnie krajobraz. W ogóle nic mnie nie cieszyło. Moją wyobraźnię zaprzętało widmo walki z gangsterami.

Wyczerpawszy repertuar tragicznych wizji, poczęłem zastanawiać się nad tym, jak zachowa się sterroryzowany przez nas psychiatra. Było mało prawdopodobne, żeby zwrócił się do policji. Przy tej okazji mogły wyjść na jaw jakieś jego machlojki i mógłby także wsypać współników. Zresztą policja włoska niezbyt chętnie miesza się do spraw rodzinnych i skandali w wyższych sferach towarzyskich. Dosyć mają kłopotu z pospolitymi bandziorami. Nasuwało się pytanie, czy lekarze z tej kliniki są także w zмовie, czy też działają w dobrej wierze. Ostatecznie wariata można zrobić z każdego. Definicja tak zwanego człowieka normalnego jest niezwykle trudna do sprecyzowania. Odchylenia od powszechnie uznanej normalności można znaleźć w każdym niemal osobniku obojga płci. Jeżeli więc uwierzyli autorytetowi lekarskiemu Bassonego, to trzymają w zamknięciu tę nieszczęsną kobietę, leczą ją jakąś tam metodą wstrząsową i kropka. Odpowiednie kwoty w lirach włoskich lub w dolarach zachęcają przedstawicieli wiedzy medycznej do przedłużania kuracji. Prywatna klinika niechętnie się pozbywa takich pacjentów.

Im bliżej byliśmy Circeo, tym bardziej rósł mój niepokój. Próbowiałem pocieszać się naszym arsenałem. Każdy uzbrojony był w pistolet. Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że gangsterzy także nie dzieci i na pewno są zaopatrzeni w różne przyrządy do strzelania. Mają zapewne broń maszynową, granaty, gazy łzawiące. Cóż znaczą przy takim uzbrojeniu nasze skromne pistoleciki?

W samochodzie panowała martwa cisza. Każdy pogrążony był we własnych, zapewne niezbyt pogodnych rozmyśleniach. Nie ulegało przecież wątpliwości, że wdaliśmy się w bardzo ryzykowną imprezę. Handel narkotykami, afera spadkowa pociągająca za sobą morderstwa. Trudno było wątpić w to, że za tym wszystkim stoi mocna, bezwzględna organizacja nie mająca żadnych skrupułów i nie kierująca się zasadami fair play. Gdybym mógł, chętnie wycofałbym się, ale było już za późno. Z chwilą kiedy się powie A, trzeba konsekwentnie brnąć do końca alfabetu i powiedzieć Z. A ja właśnie zbliżałem się do owej fatalnej litery.

Circeo. Potężne skarpy skalne zbiegają ku morzu skąpanymi w zieleni zboczami. Tutaj piękna, czarodziejka Circe usidliła swymi wdziękami uchodźcę z Troi, Ulissesa. Tutaj rzymscy imperatorowie budowali wspaniałe pałace - miejsce wypoczynku i rozrywek. Na szczęście nie pozwolono współczesnej architekturze zniszczyć tego uroczego zakątka. Nie ma tu wieżowców ani ogromnych, wrzaskliwych hoteli. Małe, przeważnie parterowe wille z białego kamienia kryją się dyskretnie w zieleni drzew i krzewów. Nie słychać ogłuszającego jazzu i dzikich porykiwań długowłosych piosenkarzy. Szumi morze, kojąc zmęczone cywilizacją nerwy.

Niestety, nie mogłem zachwycać się pięknem legendarnego miejsca. Nie miałem czasu myśleć o Circe, Ulissiesie i rzymskich cesarzach. Byłem zaabsorbowany bez reszty Diamontem i jego bandą.

Wiedziałem, że zbliża się moment decydującej rozgrywki.

W dalszym ciągu musiałem odgrywać rolę szefa, co zupełnie mi nie odpowiadało. Jestem człowiekiem nie nadającym się do rządzenia, do przewodzenia i do narzucania komukolwiek swojej woli. Żaden ze mnie wódz czy dyktator. W danej sytuacji nie mogłem jednak wymigać się od kierowniczej roli. Dobrze mówię po włosku, nie są mi obce obyczaje potomków starożytnych Rzymian, znam Circeo, gdzie byłem parokrotnie. Wszystko więc predestynowało mnie na dowódcę ekspedycji. Nie było rady, musiałem wziąć na swoje barki ten ciężar.

Problemem numer jeden było zakwaterowanie. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że zamieszkanie w jednym hotelu jest niewskazane z różnych względów. Nie można było wątpić, że Diamont ma wszędzie swoich informatorów i że taka grupka krzepkich mężczyzn nie ujdzie ich uwagi. Szczególnie Heniusz rzucał się w oczy, a i twarzyczka Kudeli dawała do myślenia. Z całej naszej grupy ja miałem wygląd najbardziej neutralny i mogłem uchodzić za zwykłego turystę, jakich wielu. Luiza także nie zwracała niczyjej uwagi. Takich trochę postrzelonych, ekscentrycznych dziewczyn krąży obecnie dużo po świecie.

Ustaliliśmy więc, że każdy z nas zatrzyma się w innym hotelu i że będziemy porozumiewać się bądź telefonicznie, bądź

też w jakimś określonym punkcie zbornym pod osłoną nocy. Luiza miała zamieszkać w tym samym hotelu co ja. Wolałem ją mieć na oku. Nie wtajemniczyłem moich towarzyszy w jej konszachty z wiedeńskim handlowcem. Po pierwsze, sam jeszcze nie bardzo wiedziałem, co o tym sądzić, a po wtóre, nie chciałem wprowadzać do naszego zespołu elementu nieufności.

Jeszcze w samochodzie zaproponowałem następujący podział ról: Heniuś, żeby nie wzbudzać sensacji, miał spokojnie siedzieć w pokoju hotelowym i oczekiwać dyspozycji. Widząc jego strapioną minę, zapewniłem, że żadna bijatyka bez niego się nie obejdzie. Kudela razem z Luizą zostali wydelegowani na poszukiwanie „Złotej Małpy”, ja zaś postanowiłem odnaleźć rezydencję Antonia Diamonta.

Wiedziałem, że muszę działać ostrożnie i z wielką rozwagą. Należało zdobyć potrzebne informacje w taki sposób, żeby w nikim nie wzbudzać żadnych podejrzeń. A to nie było proste.

Starannie się ogoliłem, wziąłem prysznic i włożyłem moje najlepsze ubranie. Tak wyelegantowany wyszedłem z hotelu na zwiady. Wydaje mi się, że dosyć dobrze odgrywałem rolę wążającego się bez celu turysty. Dopomagałem sobie zawieszonym na szyi aparatem fotograficznym, z którego od czasu do czasu robiłem użytek.

Zaszedłem do jakiejś kawiarenki, napiłem się kawy, porozmawiałem z kelnerem. Nie zdołałem jednak skierować pogawędki na interesujący mnie temat. Cameriere miał minę znudzoną i nie zdradzał ochoty do żywszej wymiany zdań. Położyłem na stoliku należność i nieco rozczarowany ruszyłem w dalszą drogę.

Kierując się raczej instynktem aniżeli przemyślanym działaniem, począłem schodzić w dół, ku morzu, i po jakimś czasie dotarłem do kamienistego wybrzeża. Nade mną wznosiło się pokryte gęstą zielenią wzgórze, usiane białymi plamami kamiennych domów.

Błądziłem nad brzegiem morza, myśląc o tym, że może spotkam tu gdzieś legendarną Circe, która weźmie mnie pod swoją opiekę. Zamiast jednak pięknej czarodziejki spotkałem starego rybaka. Może nawet nie był taki bardzo stary, ale twarz

miał pooraną przez wichry i spaloną słońcem. Siedział na bardzo sfatygowanej łodzi i reperował sieć. Jego długie, kościste palce poruszały się z istic małpią zručnością.

Powiedziałem „buon giorno”, na co odburknął mi niechętnie, nie podnosząc oczu znad swojej roboty. Nie zraziłem się tym jednak i spróbowałem nawiązać rozmowę. Początkowo szło mi bardzo opornie. Dopiero kiedy zacząłem mówić o ciężkiej doli ludzi morza, rybak trochę się rozchmurzył i wy dobył z siebie kilka zdań. Speszyłem się cokolwiek, ponieważ wtrącił sporo słów w dialekcie sycylijskim i słabo go rozumiałem. Mimo to nie traciłem nadziei, że czegoś się dowiem.

Zaczęliśmy rozmawiać. Rybak zorientował się wreszcie, że „siciliano” nie jest językiem, którym najlepiej władam i starał się mówić po włosku. Nie szło mu to zbyt składnie, ale już mogliśmy się jako tako porozumieć. Zacząłem go wypytywać o zdrowie, o rodzinę i o pracę. Nie omieszkalem poinformować go, że nie jestem bogatym Amerykaninem, a przeciwnie, dysponuję ograniczonymi środkami finansowymi, zarabiając na życie jako komiwojażer. Powiedziałem, że po raz pierwszy jestem w Circeo, i prosiłem, żeby mi wskazał ewentualnych klientów na wykwintne kosmetyki.

- Mam także coś ciekawszego aniżeli perfumy - dodałem tajemniczo. - Szukam kogoś, kto reflektowałby na ładne kamienie. Nie mam ich oczywiście przy sobie - wyjaśniłem pośpiesznie, obawiając się, żeby temu pocziwcowi nie przyszła ochota na poderżnięcie mi gardła. Właśnie wyjął z kieszeni duży sprężynowy nóż, którym zaczął manipulować przy sieci.

- Ja tam nie znam tych wszystkich przyjezdnych - mruknął, wzruszając ramionami. - Wiem, że mieszka tu jeden taki, który ma kupę pieniędzy. Ale czy pan będzie chciał z nim handlować?...

- Każdy klient jest dobry - zapewniłem go skwapliwie. - O kim pan mówi?

- Nazywa się Diamont.

Z trudem opanowałem radość. Nie spodziewałem się, że tak szybko wpadnę na właściwy trop. Nie dałem jednak poznać po sobie, że to nazwisko zrobiło na mnie takie wrażenie.

- Diamont? - powtórzyłem obojętnie.

- Tak. Ale... Bo ja wiem...? - Znowu wzruszył ramionami. - Różnie o nim ludzie gadają.

- Że niby co? - spytałem.

- Że lepiej z nim się nie zadawać, bo... diabli wiedzą. Ja tam się takimi rzeczami nie interesuję. Co mnie to obchodzi.

- Gdzie mieszka ten signor Diamont?

Rybak podniósł się, przysłonił dłonią oczy i wskazał jedno z piękniejszych zabudowań.

- O, tam wysoko, prawie na samej górze. Widzi pan te białe tarasy na lewo między drzewami? Piękny dom. Ogród, garaże, baseny. To bogaty człowiek, bardzo bogaty. Ja myślę, signore, że do wielkiego bogactwa nie można dojść uczciwą drogą. A pan jak sądzi?

- To zależy - odparłem wymijająco.

Nie chciałem w tej sprawie zajmować zdecydowanego stanowiska. W danej chwili nie było mi to na rękę. Zresztą zdobyłem już potrzebne informacje.

Pożegnałem więc sympatycznego rybaka i począłem piąć się pod górę.

Rezydencja Diamonta była rzeczywiście imponująca. Z dołu nie wyglądała tak wspaniale, ale kiedy znalazłem się na górze, dech mi zapało. Byłem oczarowany tą luksusową willą, zbudowaną w stylu mauretańskim. Białe mury, podsienia i sklezione łuki tonące w morzu egzotycznej roślinności, dawały niezwykle efekty, przywołując na myśl baśnie z tysiąca i jednej nocy. To było takie fantastyczne, takie nierealne, że na chwilę zapomniałem o gangsterach i o mojej misji specjalnej.

Szybko jednak otrząsnąłem się z baśniowych marzeń i powróciłem do rzeczywistości.

Dokładnie obejrzałem siedzibę Diamonta, zbadałem teren, zorientowałem się nawet w nierównościach gruntu i w rodzaju rosnących wokół krzewów. Chodziło o to, żeby w przyszłości

nie wpakować się w jakieś kolczaste gałęzie. Zapoznawszy się możliwie szczegółowo z topografią, wróciłem do hotelu.

Oczekiwała mnie niecierpliwie Luiza.

Zaprowadziłem ją do mojego pokoju, bacznie się rozglądając, żeby nikt nas nie widział razem na korytarzu.

- No i co? - spytałem, kiedy zamknąłem drzwi za sobą.

- Jest - odparła podniecona. - „Golden Monkey” stoi w takiej małej zatoczce. Musimy ratować Roberta. - Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła ku wyjściu, zupełnie tak jakby chciała natychmiast realizować ten zamiar.

- Chwileczkę - powiedziałem, opierając się energicznie i z całej siły wbijając nogi w dywan. - Musimy się naradzić.

- Nie ma się co naradzać. Ratujmy Roberta!

- Niech pani siada i uspokoi się - rozkazałem, sadzając ją siłą na krześle. - Trzeba się zastanowić.

- Nad czym się mamy zastanawiać? Przyjrzałem się jej uważnie.

- Czy dowiedzieliście się, kiedy odpływają? - spytałem.

Uspokoila się trochę i poczęła swobodniej oddychać.

- Mają jakiś defekt silnika. Ze dwa, trzy dni muszą się tutaj zatrzymać.

- To świetnie - ucieszyłem się. - Zdążymy przez ten czas wszystko załatwić. A teraz niech pani idzie do swojego pokoju, położy się i poczyta jakąś interesującą książkę. Trzeba się odprężyć.

Pozbywszy się Luizy, zadzwoniłem do porucznika i zaprosiłem go do siebie na „naradę wojenną”. Następnie połączyłem się z Heniusiem. Był zniecierpliwiony i wykrzykiwał, że nie ma zamiaru kisnąć beczynnie w pokoju hotelowym. Pocięszyłem go, iż niezadługo będzie miał dużo ruchu. Raz jeszcze obiecałem, że generalne mordobicie bez niego się nie obejdzie. Kazałem uzbroić się w cierpliwość i czekać spokojnie.

Po upływie pół godziny zjawił się u mnie Kudela. Był w dobrym nastroju. Potwierdził wiadomości dostarczone przez Luizę. Rzeczywiście jacht stał w zatoce. Przeprowadzano

drobny remont silnika. Najwidoczniej porywacze Roberta nie chcieli zdać się na łaskę samych żagli.

- Czy pan myśli, że chłopak jest jeszcze na jachcie? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Tego nie zdołaliśmy ustalić.

- Ciekawe, w jakim celu go porwali?

- Moim zdaniem są dwie ewentualności - powiedział porucznik. - Albo coś zwąchał i stał się dla nich niebezpieczny, albo chcą szantażować matkę. To drugie jest bardziej prawdopodobne.

- Tak - pokiwałem głową - pańskie rozumowanie wydaje mi się logiczne.

Następnym punktem porządku dziennego naszej narady była sprawa ustalenia kolejności działania.

- Jeżeli uwolnimy z sanatorium panią Sarnowską - powiedział po namyśle Kudela - to co z nią zrobimy?

Pytanie było bardzo na miejscu i świadczyło o praktycznym zmyśle porucznika.

- Rzeczywiście. Co z nią zrobimy? - powtórzyłem zafrasowany, czując, że niezbyt dobrze świadczy o mnie, jako o „wodzu”, jeśli do tej pory się nad tym nie zastanawiałem.

- Myślę, że byłoby najlepiej - ciągnął dalej Kudela - umieścić ją w tym klasztorze, w którym rozmawiał pan z babcią Luizy. Jak widać baronowa jest zaprzyjaźniona z siostrzyczkami...

- To genialna koncepcja! - wykrzyknąłem radośnie. - Pan ma głowę na karku, panie poruczniku.

- E tam... - gangsterska buziunia przedstawiciela MO pokryła się pełnym skromności rumieńcem.

- Ależ tak - podjąłem z entuzjazmem. - To znakomity pomysł. W klasztorze będzie bezpieczna. Przynajmniej na razie, a potem niech sobie robią, co chcą. Nie możemy ich przecież niańczyć do końca życia. A więc musimy najpierw zająć się Diamontem.

- Tak wychodzi - przytaknął Kudela. - Jak go unieszkodlimy, to resztę będzie można spokojnie załatwić.

- Ba... - pokręciłem z powątpiewaniem głową. - Żeby tak mieć pewność, że sobie z nim poradzimy.

- Nie taki Diamont straszny, jak go malują - roześmiał się porucznik. - Nie wolno nam się załamywać.

- Ja też wcale się nie załamuję. Trochę tylko jestem niespokojny. Ten bandzior musi mieć cholerną obstawę.

Kudela uderzył się w wypukłą pierś.

- I my też nie ułamki. Jak nasz Herkules wypocznie... damy sobie radę. Spokojna głowa, żeby tylko...

- A propos - przerwałem mu. - Musimy to wszystko dokładnie przemyśleć i działać z głową.

- Więc co? Na pierwszy ogień idzie gangster?

- Właśnie się nad tym zastanawiam, czy ta decyzja jest słuszna. Bo... założmy najgorsze. Zawsze przecież trzeba brać pod uwagę, że coś nie wyjdzie. Otóż jeżeli nie wyszłoby nam z Diamontem, to zawalilibyśmy sprawę uwolnienia Sarnowskiej i Roberta.

- Też racja - zgodził się porucznik. - Ale jak zaczniemy rozrabiać w tym szpitalu wariatów, to spłoszymy Diamonta. Bo chyba nie ulega wątpliwości, że on jest zamieszany w sprawę Sarnowskiej.

- Na pewno - zgodziłem się. - Ale nie bardzo sobie wyobrażam, żeby do tej pory nic nie wiedział o tym, co się przytrafiło kamieniarzowi z Trevignano i panu doktorowi Bassoniemu.

- Myśli pan, że nie baliby się nas sypnąć?

- Myślę, że baliby się nas nie sypnąć. Wszystko wskazuje na to, że z Diamontem nie ma żartów.

- Ja miałbym pewną propozycję - powiedział Kudela.

- Słucham, poruczniku.

- Otóż nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy przeprowadzić obydwu akcji jednocześnie. Najpierw uwolnimy Sarnowską, przeprowadzimy ją do hotelu i zostawimy pod opieką Luizy. Następnie zaś, nie tracąc czasu, zaatakujemy Diamonta. Zrobimy to tak błyskawicznie, że nikt się w ogóle nie zorientuje, co się stało.

Potrząsnąłem głową.

- Plan byłby znakomity, poruczniku - powiedziałem ze smutnym uśmiechem - gdyby to wszystko było blisko siebie. Ale musi pan wziąć pod uwagę, że klinika dla umysłowo chorych znajduje się w odległości kilkunastu kilometrów od Circeo. Nie możemy liczyć na to, że tę odległość pokonamy w takim tempie, aby nikt się nie zorientował, co się stało. To byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Słusznie - zasępił się Kudela. - Rzeczywiście nie dysponujemy tak szybkim wozem. A gdyby nawet, to przy tutejszym ruchu na szosach...

Zapanowało milczenie. Patrzyliśmy ponuro jeden na drugiego, ale żaden się nie odzywał. Niełatwo było podjąć jakąś decyzję. Nie wiedziałem, że tak trudno być wodzem. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie należycie kłopoty Napoleona. Musiał decydować błyskawicznie i właściwie nie mógł na nikim w pełni polegać. Ja nie mogłem wierzyć Luizie. Co do lojalności Heniusia nie miałem żadnych wątpliwości, ale reprezentował on jedynie siłę fizyczną. Trudno było liczyć na samodzielną działalność jego szarych komórek.

Pierwszy przerwał ciszę Kudela.

- A czego my właściwie chcemy od Diamonta? Pytanie to było pełnym zaskoczeniem.

- Czego chcemy od Diamonta? - powtórzyłem głupawo. Przez cały czas, pogrążony w wirze strategicznych rozmyślań, nie zastanawiałem się nad tym. Bo rzeczywiście... Czego my właściwie chcemy od Diamonta? Ośłupiałe spojrzenie utkwilem w twarz porucznika. - On jest spiritus movens - powiedziałem niepewnie.

- Że co?! - spytał Kudela.

- Nic, nic... Mniejsza z tym. Chciałem powiedzieć... - Powoli zaczynałem odzyskiwać pewność siebie. - No przecież Diamont kieruje tą aferą.

- A skąd ta pewność? - spytał przymilnie Kudela. - Skąd właściwie wiemy, że Diamont jest szefem, centralną postacią?

- No... przypuszczamy...

- O właśnie - ciągnął bezlitośnie porucznik. - Wszystko opieramy wyłącznie na przypuszczeniu. To mało, proszę pana, to bardzo mało.

Czułem, że grunt usuwa mi się spod nóg. Nie miałem kontrargumentów. Znalazłem się w bardzo głupiej sytuacji.

- Co pan proponuje, poruczniku? - spytałem cicho.

Rozłożył ręce.

- No cóż... Musimy trzymać się mimo wszystko hipotezy, że Diamont jest szefem. Jeżeli nawet nie piastuje najwyższej godności, to w każdym razie odgrywa w całej tej aferze poważną rolę. Myślę jednak, że najpierw zajmiemy się Sarnowską, a dopiero potem przyciśniemy Diamonta.

Zgodziłem się.

Ustaliliśmy, że naszą akcję przeprowadzimy nazajutrz o świcie.

- A może wysłać Sarnowską z Luizą do Rzymu? - zaproponowałem.

Porucznik obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Czułem, że jako szef z każdą chwilą coraz bardziej tracę w jego oczach.

- To chyba kiepski pomysł. Mogą zorganizować pogoń. A Luiza to młoda, niedoświadczona dziewczyna. Mogą zawieść ją nerwy, wpadnie w panikę. Raczej spróbujmy porozumieć się telefonicznie z babcią. Niech przygotuje siostrzyczki na przyjęcie nowej pensjonariuszki.

- Nie wiem, czy to możliwe - powiedziałem z powątpiewaniem. - Baronowa jest tam dobrze pilnowana przez służbę. Chyba że telefon odebrały ten stary, zaufany lokaj.

Wyszliśmy z hotelu. Poszedłem do Heniusia, żeby go podtrzymać na duchu. Zostałem go w fatalnym nastroju. Przebywanie w zamkniętym pokoju wpływało na niego przygnębiająco. Zapoznałem go z naszym planem. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, a następnie puknął się palcem w czoło.

- Chybaście upadli na głowę - powiedział z przekonaniem. - Najprzód chcecie iść do tych wariatów?

- Tak.

- Na mózg ci się rzuciło czy jak? Uważałem cię, Zygmuś, za inteligentnego faceta. Czy wy nie rozumiecie, jak pragnę Boga, że jak zrobimy u tych” szmerglowych rozróbę, to gangster tak się obstawi, że trzeba będzie czołgami pod jego wilę podjeżdzać? Słabo wam baśka pracuje, bardzo słabo. Od szefa trzeba zaczynać, za tego gangstera się brać. Jak mu kota popędzimy, jak raz i drugi dostanie w machę, o każe babkę ze szpitala wariatów wypuścić i chłopaka także zwolni. Musimy go zaskoczyć. Najlepiej teraz w nocy. Na co czekać? Na lepsze czasy? Nie ma nadziei. Idziem, Zygmuś, do Diamonta, i to zaraz. Wyciągniemy faceta z pościeli i w ucho.

Rzeczowe przemówienie Heniusia spodobało mi się. Jego argumentacja wydawała mi się logiczna. Zadzwoniłem do Kudeli i umówiliśmy się w jakimś barku otwartym do późnej nocy.

Porucznik spokojnie wysłuchał nowej propozycji.

- No cóż... - mruknął bez entuzjazmu. - Można tak, można inaczej. Nie przeczę, że w tym co mówi nasz kolega, jest pewna słuszność.

- Pewna słuszność?! - podskoczył Henius. - Tylko tak. Inaczej wszystko diabli wezmą. Jak potem facet postawi dziesięciu drabów z automatami, to co?

Ponieważ ja także przychyliłem się do zmiany planu, postanowiliśmy działać niezwłocznie.

Wyszedszy z baru, ruszyliśmy bez pośpiechu w kierunku willi Diamonta. Ja, jako znający teren, szedłem pierwszy, za mną postępował ostrożnie Kudela, a Henius ubezpieczał tyły. Zachowywaliśmy między sobą pewne odstępstwa, aby nasza grupa nie wyglądała podejrzanie. Ot, taki sobie turystyczny spacer w wieczorną porę.

Do willi było dość daleko. Trzeba było przejść kawał drogi. Zrobiło mi się gorąco i czułem, jak pot występuje mi na całym ciele. Nie byłem pewien, czy z wysiłku fizycznego, czy ze strachu. Kiedy zagłębiliśmy się w zarośla gęsto porastające zboczne góry, zrezygnowaliśmy z zachowania ostrożności i szliśmy obok siebie. Teraz słyszałem zupełnie wyraźnie potężne

sapanie Heniusia wspinającego się pracowicie wśród ciemnej zieleni.

- Księżyc, cholera jasna - powiedział, podniósłszy głowę. - U tych Italianców bez przerwy pogoda. A nam zdałoby się parę chmurek. No cóż... wola boska.

Wreszcie poprzez listowie błysnęły białe mury. Wskazałem palcem.

- To tam.

- Jak się idzie, to się dojdzie - powiedział Henius.

Nie mieliśmy zamiaru kwestionować tej złotej myśli. Krok Kudeli stał się jeszcze ostrożniejszy. Henius z zadowoleniem zatarł ręce.

- Będzie mordobicie, Zygmus, no nie?

- Prawdopodobnie - odparłem, zniżając głos do szeptu.

Moje nerwy były napięte, jak przysłowiowe struny. Wyobrażałem sobie, że tak właśnie czuje się żołnierz przed ruszeniem do ataku.

Dotarliśmy do muru otaczającego willę, a raczej pałacyk.

- Ja was przerzucę na drugą stronę - szepnął Henius.

- Nie trzeba - sprzeciwił się Kudela. - Sam przejdę. To żadna sztuka.

- Ale Zygmutia przerzucę - upierał się Henius.

I przerzucił. A zamachnął się tak potężnie, jakbym ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Przefrunąłem przez mur i ciężko gruchnąłem na żwir. Przez parę sekund leżałem nieruchomo, nie będąc pewnym, czy wszystkie kości mam na swoim miejscu. Nic jednak nie potwierdzało moich obaw. Podniosłem się więc, odruchowo otrzepałem ubranie i niechętnie spojrzałem na Heniusia, który już zdołał sforsować przeszkodę.

- A niech cię wszyscy diabli... - jęknąłem.

- Sorry - powiedział Henius, nie wiadomo dlaczego po angielsku.

- Co dalej? - spytał Kudela.

- Idziemy. - Znowu objąłem dowództwo. Ruszyliśmy przez ogród ku białemu pałacowi.

Żwir nieznośnie chrzącił pod naszymi stopami. Natrętny księżyc nie miał zamiaru skryć się za chmurę. Wszystko wokół tonęło w chłodnej, srebrzystej poświacie. Po wyjściu zza drzew byliśmy widoczni jak na dłoni. Przed nami stał dom, duży, milczący. W żadnym oknie nie płonęło światło. Nic nie wskazywało na to, że mieszkają tu ludzie.

W paru susach dopadliśmy ganku ozdobionego białymi kolumnami, po których spływały glicynie. Zatrzymaliśmy się niezdecydowanie. Ostrożnie nacisnąłem dużą mosiężną klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Najwidoczniej nie spodziewano się nieproszonych gości.

- Wszyscy nie możemy się tam ładować - szepnął Kudela.

- Jasne - przytaknął Heniuś. - Dwóch musi zostać tutaj, żeby ubezpieczać. Kto wchodzi do środka?

Obaj spojrzeli na mnie pytająco.

- Ja - powiedziałem odważnie i głęboko zaczerpnąłem powietrza w płuca, jak bym miał za chwilę pogrążyć się w falach oceanu.

Heniuś poklepał mnie po plecach”. Pocziwiec chciał mi dodać otuchy.

Przez chwilę stałem nieruchomo w dużym hallu. Musiałem oswoić się z panującym tu mrokiem. Jedyne światło księżycy wpadające przez wąskie okienka rozpraszało ciemności. Nasłuchiwałem pilnie. Nie doszedł mnie żaden odgłos z głębi domu, żaden szmer. Po przeciwnej stronie hallu znajdowały się drzwi prowadzące na korytarz. Wolno i bardzo ostrożnie począłem ku nim się posuwać.

Korytarz był niezwykle długi i ciemny. Wyjąłem z kieszeni pistolet i szedłem jeszcze wolniej, macając przed sobą posadzkę. Nie muszę chyba dodawać, że moja dusza wywędrowała na ramię. Szedłem i szedłem, a korytarz zdawał się nie mieć końca. Nie sądziłem, że ten dom jest taki duży. Z zewnątrz nie wyglądał na to. Byłem zaskoczony. Rósł we mnie niepokój, jeżeli w ogóle było to jeszcze możliwe. Wreszcie zobaczyłem światło. Podwoiłem ostrożność i mocniej ścisnąłem kolbę pistoletu.

Diamont (później zorientowałem się, że to był właśnie on) siedział przy stole samotnie i jadł kolację. Miał na sobie rozchełstaną koszulę i płócienne spodnie. Żarłocznie obgryzał nogę jakiegoś ptaka, zapewne indyka albo bażanta. Usługiwał mu młody, szczupły chłopak o czekoladowej twarzy. Podawał potrawy w milczeniu i dbał o to, żeby kieliszek gospodarza nie był pusty.

Stałem w ciemnym korytarzu i zastanawiałem się, co robić. Gangster był bezbronny. Mogłem więc wyskoczyć niespodziewanie i sterroryzować obu. Ale co dalej? Czy zdołam ich wyprowadzić do ogrodu? Było to raczej wątpliwe. W tych ciemnościach na pewno by mi uciekli. Nie znałem przecież rozkładu domu. Nie orientowałem się, czy są po drodze jakieś drzwi prowadzące do innych pokoi. A więc co? Wrócić po Heniusia? To wydało mi się najrozsądniejsze. Nie wiedziałem wprawdzie, czy posilający się mężczyzna to Diamont, ale intuicja mówiła mi, że to on. Zresztą niezwykle służalcze i pokorne zachowanie się młodego Mulata wskazywało na to, że służy szefowi.

Kiedy tak tkwiłem nieruchomo, ukryty we framudze drzwi, do mych uszu dobiegł nagle niepokojący odgłos, pospieszny tupot nóg. Ktoś biegł korytarzem w moim kierunku. Zanim zdołałem coś przedsięwziąć, jaskrawe światło rozbiło ciemności i w tej samej chwili...

Zaledwie ją poznałem. Niczym nie przypominała owej wytwornej hrabiny, u której byłem na prozowanej kolacji. Twarz wykrzywiona, włosy w nieładzie, oczy pałające, obłąkane. Nie zwróciła na mnie uwagi. Nie zatrzymując się, wpadła do pokoju.

Na jej widok Diamont otarł serwetką ociekające tłuszczem wargi i wstał.

- Matyldo! Przyjechałaś? Co się stało?

- Łotrze! Kanalio! Zabiłeś Roberta! Zabiłeś moje dziecko!

- Ależ...

Nie skończył. Błyskawicznym ruchem wyjęła z torebki pistolet i strzeliła.

Zrobił krok i upadł. Bezgraniczne zdumienie malowało się na jego twarzy.

Hrabina nie przestawała strzelać. Zapomniałem o niebezpieczeństwie. Podbiegłem do niej.

- Co pani robi? - spytałem niezbyt inteligentnie, bo przecież nie można było mieć wątpliwości co do klasyfikacji jej czynu.

Odwróciła się. Miała nieprzytomne oczy. W tym momencie poczułem silne uderzenie w tył głowy i straciłem przytomność.

ROZDZIAŁ VIII

Dostać pałą w łeb to żadna przyjemność. Jak długo byłem nieprzytomny, nie wiem. Kiedy podniosłem ciężkie, piekące powieki, nie zobaczyłem nic oprócz ciemności. W pierwszej chwili sądziłem, że ciągle jeszcze leżę zemdlony i tylko mi się zdaje, że otwieram oczy. Spróbowałem ruszyć ręką. Ruszyłem. Spróbowałem poruszyć nogą. Poruszyłem. To mnie trochę pokrzepiło na duchu. Przekonałem się bowiem, że nie mam połamanych gnatów i nie jestem związany. To już było coś. Niewielka wprawdzie pociecha, ale zawsze. W dalszym ciągu jednak nic nie widziałem. Pomyślałem, że może oslepiłem na skutek uderzenia. Było to przypuszczenie tak straszne, że aż usiadłem z wrażenia. W tym momencie posłyszałem opodal głuchy jęk.

- Kto tam? - spytałem.

- To ty, Zygmus? - posłyszałem w odpowiedzi.

- Henius, co ty tu robisz? - spytałem znowu niezbyt inteligentnie.

- Leżę. Rozwiąż mnie.

- Gdzie my jesteśmy?.

- Cholera wie. Pewnie w piwnicy. Rozwiąż mnie.

- A porucznik?

- Jestem - odezwał się Kudela. - Także mnie związali.

Dranie.

Żwawo zabrałem się do uwalniania z więzów moich kumpli. Humor znacznie mi się poprawił, kiedy okazało się, że nie grozi mi ślepotą, a nie widzę dlatego, ponieważ siedzę w ciemnej piwnicy.

Byli solidnie związani. Porządnie musiałem się napocić, zanim udało mi się rozsypać te powrozy i druty. Posłyszałem, jak Henius rozmasowuje sobie ramiona i nogi.

- Nie myśl, Zygmus, że nie było mordobicia. Było. Jeszcze jakie. Kilku rozłożyłem. Ale taka gromada ich nadleciała... Nie dało rady.

- Nec Hercules contra plures - powiedziałem pocieszająco.

- Mów po ludzku, bo nie rozumiem.

- I Herkules dupa, gdy ludzi kupa - przetłumaczyłem na ojczysty język.

- A żebyś wiedział, że ich była kupa. Prawda, panie poruczniku?

- Zaskoczyli nas - mruknął niechętnie Kudela. - Ciemno tu jak w grobie.

Trzasnęła zapalniczka. Wąty płomycek oświetlił naszą piwnicę. Masywne żelazne drzwi, a w górze malutkie zakratowane okienko, przez które nawet jedna noga Heniusia nie przeszłaby. O ucieczce nie można było nawet marzyć.

Poczułem się jak Zagłoba w kiejdańskim lochu, z tą wszakże różnicą, że żaden fortel nie przychodził mi do obolałej głowy.

Kudela zgasił zapalniczkę, oszczędzając najwidoczniej benzynę.

- Klawo nie jest - powiedział Henius i głośno pociągnął nosem. Nikt mu nie zaprzeczył. Chwilą milczał, po czym znowu się odezwał:

- Ciekawe, co nami z zrobią te oprychy?

- Diabli ich wiedzą - odparłem.

- Mogą nas rozwalić.

-- A mogą - przyznał Kudela.

- A to mnie pan pocieszył.

- Nie miałem zamiaru nikogo pocieszać. Daliśmy się zaskoczyć jak durnie.

Nie dopytywałem się, jak to było z tym zaskoczeniem. Ostatecznie w tej chwili to już nie miało żadnego znaczenia.

No i co? - Henius nie rezygnował z konwersacji.

- Ano nic.

- Tak będziemy siedzieć i czekać?

- A co innego możemy zrobić? - Może by te drzwi wywalić?

- Spróbuj.

- Niech pan jeszcze zaświeci, panie poruczniku. Znowu trzasnęła zapalniczka.

Heniusz podszedł do drzwi i podparł je barkami. Zaraz jednak machnął ręką i zrezygnował z dalszych prób.

- Kute żelazo, cholera jasna. I otwierają się do wewnątrz. Nie da rady. Głodem nas tu chyba nie zamorzą, co? Bo ja to najbardziej boję się głodowej śmierci. Najpierw zjadłbym pana porucznika, a ciebie, Zygmus, na ostatku. Starszy facet już jesteś. Mięso pewnie żyłaste.

- Przestań się wygłupiać - skarciłem go. - Nie pora teraz na takie żarty.

- A na co pora?

- Musimy pokombinować, jak się z tego wygrzebać.

Heniusz splunął desperacko.

- Co tu można kombinować? Piwnica kamienna, drzwi żelazne, nie mamy żadnych narzędzi.

- Nie tak dawno byłeś związany jak baran, a teraz masz wolne ręce i nogi. To już coś.

- Pewnie, że lepiej być nie związanym jak związanym. A ciebie nie związali, Zygmus?

- Jakoś nie.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Może myśleli, że nie żyję.

- Może - Heniusz znowu splunął. - Nie wiadomo, czy my wszyscy długo pożyjemy. Nie chce mi się jeszcze do piachu. Cholera! I potrzebne mi to było? Mogłem siedzieć u tego Sycylijczyka jak u Pana Boga za piecem. A teraz co? We łby nam wszystkim strzelą, zakopią i koniec pieśni.

- Może nie zakopią - próbowałem go pocieszyć, chociaż sam potrzebowałem na gwałt pocieszenia.

- Co za różnica. Jak będę miał kulę we łbie, to - zakopany czy nie - ganc pomada. A ty, Zygmus, cóżeś tam na górze zobaczył? Widziałeś Diamonta?

Opowiedziałem o przebiegu wypadków w mieszkaniu gangstera.

- Jesteś pewien, że to był Diamont?

- Nie przedstawił mi się, ale wyglądał na szefa.

- I hrabina go kropnęła?

- Kropnęła.

- Z hrabinami w ogóle lepiej się nie zadawać.

Nie bardzo wiedziałem, czy ta maksyma ma jakieś logiczne uzasadnienie, ale nie pytałem Heniusia.

Czas płynął, a nasza rozmowa dotyczyła wyłącznie zagadnienia, czy wystrzelają nas w tej piwnicy, czy też uda nam się ująć z życiem. Nagle Kudela poderwał się.

- Ciiicho! - powiedział rozkazująco. - Słyszycie?

- Faktycznie - przytaknął Heniuś. - Chyba strzelają tam na górze.

- Nie chyba, a na pewno. - Kudela był bardzo podniecony. - Co to może być?

- Jakaś rozróżba między gangsterami.

- Chyba tak.

W pewnym momencie wszystko ucichło. Na krótko, bo po chwili posłyszeliśmy tupot licznych nóg, zgrzytnął klucz w zamku i drzwi otworzyły się z hałasem. Jaskrawy blask oświetlił piwnicę. Pod sufitem były umieszczone jarzeniówki, zapalane od zewnątrz. Zmrużyłem oczy. Tuż przed sobą zobaczyłem wiedeńskiego handlowca z pistoletem gotowym do strzału. Za nim stało kilku uzbrojonych ludzi i Luiza.

- Jesteście panowie wolni - powiedział po niemiecku Hassel, a następnie to samo powtórzył po włosku.

* * *

Na drugi dzień, kiedyśmy już nieco ochłonęli z emocji, Fryderyk Hassel zaprosił nas na obiad. Jedzenie było skromne, ale smaczne i elegancko podane. To, że ten pozornie antypatyczny handlowiec z Wiednia jest jednym z najbardziej aktywnych agentów Interpolu, działających na terenie Italii, było dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Przez cały czas uważałem go za gangstera.

W pewnym momencie Hassel wstał, podniósł do góry swój kieliszek i wygłosił przemówienie na naszą cześć. Z jego słów wynikało, iż dzięki pomocy trzech „bohaterskich Polaków” udało mu się zlikwidować potężną organizację gangsterską, której głównym zadaniem było przerzucanie dużych partii

narkotyków ze wschodu do Stanów Zjednoczonych. Miałem niejaki wątpliwości, czy rzeczywiście przyczyniliśmy się do tego wspaniałego sukcesu, ale skromnie milczałem.

- Bardzo żałuję... - mówił dalej Hassel, ocierając utrudzone czoło - bardzo żałuję, że nie mogę w tej uroczystej chwili podziękować osobiście panie Luizie, mojej dzielnej współpracownicy. Jest ona tak przygnębiona śmiercią brata, że zrezygnowała z wzięcia udziału w naszym obiedzie. Chciałbym wznieść toast na cześć tej dzielnej i pełnej poświęcenia dziewczyny.

Kiedy nieco zasapany mówca usiadł, spytałem:

- To znaczy, że Luiza nas śledziła?

- Oczywiście. To właśnie ona zaprowadziła nas do Willi Diamonta. Przez cały czas błądziliśmy w okolicach Rzymu, nie wiedząc, że główna kwatera gangsterów znajduje się w Circeo. Dopiero panowie...

- Dlaczego pan nie współpracował z nami? - spytałem.

Uśmiechnął się.

- To proste. Proszę mi wybaczyć szczerą, ale nie miałem do was zaufania. W naszej pracy do nikogo nie można mieć zaufania - dodał pośpiesznie. - Tak jest, niestety.

- Az tymi bandziorami pływał pan na jachcie - wtrącił się do rozmowy Heniuś.

Hassel skinął głową.

- Tak. Żeby zdobyć ich zaufanie, musiałem stać się członkiem bandy. Nie przyszło mi to łatwo, ale w końcu jakoś...

- Co się stało z hrabiną Monitelli? - spytałem.

- Odebrała sobie życie. Najprzód zabiła Diamonta, a ostatni nabój zachowała dla siebie.

- Była kochanką Diamonta?

- Tak. To on ją wciągnął w swoje brudne interesy.

- Dlaczego zabili Roberta?

- Chłopak należał do zespołu muzycznego, który odbywał tournée artystyczne na jachcie „Golden Monkey”. Był to oczywiście kamuflaż. Robert zorientował się, że jego koledzy prowadzą na dużą skalę handel narkotykami. Postanowił oddać ich w ręce policji. Schwyтали go więc i uwięzili na jachcie.

Musiało dojść do jakiejś bijatyki, w której został zabity. Akurat wtedy przyjechała do Circeo hrabina. Weszła na pokład, zobaczyła zwłoki swego syna i, będąc przekonana, że to Diamont kazał go zamordować, pobiegła do willi. Nie czekając na żadne wyjaśnienia, zastrzeliła swojego kochanka, a następnie sobie odebrała życie.

Zastanawiałem się nad tym, czy poruszyć sprawę trzech Alicji. Nie byłem pewien, czy mam prawo wtajemniczać w to Interpol. Przyrzekłem przecież baronowej daleko idącą dyskrecję. Z tej niepewności wybawił mnie Hassel.

- Wiem, że panowie specjalnie interesowali się sprawą Alicji Sarnowskiej - powiedział po chwili milczenia. - To duża afera. Inicjatorem jej był także Diamont. Chodziło, jak panom wiadomo, o olbrzymią fortunę pozostawioną przez Sarnowskiego. Miliony dolarów, tych jeszcze dobrych dolarów - dodał z uśmiechem. - Hrabina Monitelli oczywiście w tej sprawie także z nim ściśle współpracowała.

- Trzeba tę Sarnowską wyciągnąć z domu wariatów - wtrącił się Henius.

- Tak, tak - przytaknął Hassel. - To już załatwione. Zajmie się tym policja.

- Skąd pan wiedział...? - spytałem.

- Poinformował mnie o tym pewien znany psychiatra.

- Śledził nas pan wtedy?

- Oczywiście. Nieomal przez cały czas mieliśmy panów pod obserwacją. Ale przyznaję ze skruchą, że do ostatniego momentu nie byłem pewien, jaką rolę panowie odgrywają w tej zawiłanej sprawie. Dlatego nie nawiązywałem z panami bezpośredniego kontaktu.

Milczący dotychczas Kudela trącił się ze mną kieliszkiem i powiedział po polsku:

- Pańskie zdrowie, panie Zygmuncie. Chyba czas nam wracać do kraju. Nic już tu więcej nie zwojujemy. Jak pan sądzi?

- Myślę, że trzeba wracać. Porozumiem się jeszcze w tej sprawie z majorem Downarem.

I rzeczywiście wieczorem zadzwoniłem do Stefana. Zostałem go w domu. Tryskał w rozmowie szampańskim humorem.

- Brawo, Zygmucie. Mamy go.

- Kogo?

- Mordercę Alicji Sarnowskiej, tej z samolotu. Czy wiesz, jak się nazywa? Diamont. Oskar Diamont. To syn tego gangstera, którego nazwisko mi podałeś...

- Przyznał się?

- Oczywiście. Zatrzymaliśmy go w ostatniej chwili na lotnisku. Miał ochotę wyfrunąć.

- Czy mam wracać do Warszawy?

- Jasne. I to jak najprędzej. Bożena bardzo się tu niepokoi o ciebie. Pocięszam ją, jak mogę.

- Oby tylko nie za bardzo.

- Bądź spokojny. Wszystko w porządku. Nie ma mowy o żadnych flirtach.

* * *

Podróż samolotem nie robiła tym razem żadnego wrażenia. Chmury, ogromna wysokość, zawrotna szybkość, potężny zbiornik z benzyną - wszystko to było niczym w porównaniu z tym, co przeżyłem. Spokojnie jadłem śniadanie myśląc o Bożenie. Za mną zajęli miejsca Kudela i Heniuc. Koło mnie siedziała jakaś młoda osoba. Ale się jej nie przyglądałem. Ani razu nawet nie spojrziałem na jej kolana. Dostyc już miałem kolan i znajomości zawieranych w samolocie.

Posiliwszy się należycie, Heniuc spytał:

- Nie wsadzają mnie do pudła, Zygmucie?

- A dlaczego mieliby cię wsadzić do pudła?

- No za te narkotyki. Wiesz. Mówiłem ci. Znaleźli u mnie...

- Nie martw się. Damy sobie radę. Nikt cię nie skrzywdzi.

- A będę pływał?

- Będziesz.

- Dziękuję ci, Zygmucie. Jesteś bardzo fajny kumpel.

Stewardesa zabrała tacę z resztkami jedzenia. Z uczuciem błogiej sytości oparłem głowę o oparcie fotela i przymknąłem oczy. Jak na ekranie filmowym przesuwały się przed moimi

oczami wypadki ostatnich dni. Przypomniała mi się także rozmowa z Hasselem, kiedy nas odprowadzał w Rzymie na lotnisko. Wtedy dowiedziałem się, że Alicja, którą poznałem w samolocie, była agentką Interpolu, i nareszcie zrozumiałem, dlaczego Downarowi tak bardzo zależało na tej sprawie, że zdecydował się wysłać mnie do Włoch. Miałem trochę żalu do Stefana, że nie powiedział mi o tym, ale zapewne tego wymagała tajemnica służbowa. Zresztą teraz to już nie miało żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ IX

Jak zwykle po obiedzie drzemałem w moim ulubionym fotelu, przykrywszy twarz „Expressem Wieczornym”. Weszła Bożena. Położyła maszynopis na biurku i zamierzała odejść, ale ją zatrzymałem.

- No i jak ci się podobało? Uśmiechnęła się.

- Dobrze się czyta. Bardzo mało prawdopodobne, ale zabawne. Powinni ci to chyba wydrukować.

- Co ci się wydaje mało prawdopodobne? - zainteresowałem się.

- Wszystko, a przede wszystkim to, że Downar dał ci tysiąc dolarów. Wierzysz w cuda?

Z powrotem nakryłem twarz „Expressem”. W tym momencie postanowiłem, że moja następna powieść będzie nosiła tytuł: „Moja żona ma zawsze rację”.



Przeszliśmy cały plac i zagłębiliśmy się w wąskie uliczki. Na jednej z nich (jej nazwy już dzisiaj nie pamiętam) stał duży czarny samochód. Nie zdążyłem się nawet zorientować, jakiej był marki, bo energiczna zakonnica błyskawicznie otworzyła drzwiczki i zdecydowanym ruchem wepchnęła mnie do środka.

— Prego — powiedziała niezwykle dźwięcznym i młodym głosem.

Ruszyliśmy natychmiast. Dopiero po chwili zorientowałem się, że okna są zasłonięte firankami, a od kierowcy oddziela nas matowa szyba. Poczulem się jak w celi więziennej. Sięgnąłem odruchowo, aby odsłonić firankę, ale moja towarzyszka przytrzymała mnie za rękę.

— Nie trzeba — powiedziała z czarującym uśmiechem. — E proibito.

Dlaczego to jest zabronione? — spytałem zdziwiony.

— E proibito — powtórzyła z uporem.